



ZYGMUNT ZEYDLER ZBOROWSKI

CZERWONA NITKA

CZYTELNIK

ZYGMUNT ZEYDLER ZBOROWSKI

CZERWONA NITKA



Czytelnik · Warszawa 1972

ROZDZIAŁ I

Za pałacem był park, stary, zaniedbany, od lat zarastający bujnym chwastem. Na ledwie dostrzegalnych ścieżkach panoszyły się pokrzywy, ocienione krzakami leszczyzny i dzikiego bzu. Przez płynącą leniwie mu listą rzeczką przerzucono lekki, półokrągły mostek, o oryginalnym kształcie, jakby wyjęty z japońskiego pejzażu. Ostry zapach wilgoci i gnijących roślin wypełniał powietrze.

Sierżant Kociuba lubił tu przychodzić. Może nęciło go kościelne nieomal dostojęństwo zgrzybiałych, pochylonych drzew, a może próbował odtworzyć sobie obrazy dawno minionych dni: kolorowe lampiony, damy w krynolinach, młodzieńcy połyskujący bielą wykrochmalonych żabotów, muzyka dobiegająca z jaskrawo oświetlonych pałacowych komnat—Wszystko to było kiedyś, przed wieloma laty. Teraz panowały tu niepodzielnie żaby i komary, a z tamtych czasów pozostały tylko kamienne posągi, pokryte zielonkawą pleśnią.

Kociuba nie był typowym wiejskim milicjantem. Podczas gdy jego koledzy czas wolny od służby spędzali w wesołej kompanii przy kieliszku, albo szukali towarzystwa miejscowych piękności, on czytał książki. Już od dzieciństwa porywały go powieści historyczne. Jego ulubionymi autorami byli: Sienkiewicz, Kraszewski, Gąsiorowski, Tetmajer. Trylogię, „Huragan”, „Hrabinę Cosel”, „Koniec epepei” czytał po kilka razy i zawsze z przyjemnością wracał do tych książek, które przenosiły go w minione wieki, mówiły o życiu dawnych Polaków, ukazywały obyczaje tamtych czasów. Dziwny to był chłopak ten Franek Kociuba, taki niedzisiejszy, trochę romantyk, trochę marzyciel, trochę domorosły filozof. Jednocześnie jednak natura obdarzyła go przysłowiowym zdrowym chłopskim rozsądkiem i zdolnością szybkiego

kojarzenia faktów.

Właściwie nikt nie wiedział, dlaczego Franek postanowił zostać milicjantem, a i on sam zapewne nie bardzo zdawał sobie sprawę z pobudek takiej decyzji. Nieraz, kiedy przyjeżdżał do rodziców na niedzielą, matka kiwała głową i mówiła frasobliwie:

— Oj, Franuś, Franuś, nie mogłeś to sobie jakiegoś uczciwego fachu znaleźć? Musiałeś iść na milicjanta? Go też ci synku do głowy przyszło?

— A cóż to mama uważa, że milicjant to nie uczciwy fach? — śmiał się ubawiony Franek.

Stary Kociuba był dumny z syna. Zawsze co władza to władza. Każdy musiał się liczyć z mundurem milicyjnym, a bywało, że ten i ów przychodził po protekcję do koniuszego. Najczęściej zdarzało się to Władkowi Dobrzyckiemu, który lubił sobie mocno popić, a po wódce awanturował się i wszczynał zwady, kiedyś nawet pobił milicjanta. Kociuba, człowiek miękkiego serca, wzruszył się łzami Władkowej żony i pojechał pogadać z synem, ale Franek nie chciał o niczym słyszeć i stanowczo odmówił jakiegokolwiek interwencji. Jeszcze na ojca wsiadł, że się za takim chuliganem i notorycznym pijakiem ujmuje.

— Masz rację, masz rację — westchnął koniuszy. — Tylko, że żał mi kobiety. Czworo dzieci do wykarmienia to nie żarty, a Władkowi znowu z tysiąc złotych wlepią. On ostatnio pracuje na grzywny.

— To niech przestanie chlać — burknął gniewnie Franek. Odziedziczył po ojcu wrażliwość na cudze nieszczęście i chętnie pomógłby matce czworga dzieci, ale wiedział, że nic zrobić nie może. Jakżeby to wyglądało, gdyby próbował zatuszować pijacki wybryk tego łobuza? Poza tym uważał, że takich rzeczy w żadnym wypadku nie wolno puszczać płazem. Zasłużył, powinien zostać ukarany. Porządek musi być.

Kiedy Franek został sierżantem, uroczystość była w rodzinie. Ojciec kupił parę butelek owocowego wina, a matka zabiła kurczęta. Zaproszono sąsiadów, żeby godnie oblać Frankowy awans. Wszyscy byli w doskonałych humorach, jedynie Kociubowa nie poddawała się ogólnemu entuzjazmowi.

— Ja tam bym wolała, żeby Franuś elektrykiem został albo traktorzystą. Milicyjna służba niebezpieczna. Jeszcze mu kiedy jaki bandzior głową rozbije — mówiła ogarnięta niepokojem o najmłodszego syna.

— A cóż to Franek kaleka jaki, żeby się byle komu dał pobić?! — zawołał zadzierzyście koniuszy. — Nie bój się, matka, da sobie radę z niejednym bandziorem.

Biesiadnicy zawtórowali jednogłośnie. Wszyscy znali Franka jako mocnego chłopaka, z którym lepiej nie zaczynać. Poza tym Franek nosił teraz na pasie pistolet. Kogo miałby się bać?

Od tamtego poczęstunku upłynęło sporo czasu. Sierżant Kociuba sumiennie pełnił służbę i wszystko układało się jak najlepiej, ale... Było jednak jakieś „ale”. Musiał walczyć z tym, żeby nie poddać się uczuciu pewnego rozczarowania, które coraz wyraźniej dawało znać o sobie.

Ale właściwie czego się spodziewał, na co liczył? Cieszył się dobrą opinią, był lubiany przez kolegów i przełożonych, szybko awansował... Powinien być zadowolony. Nużyła go jednak jednostajność spraw, którymi musiał się zajmować. Drobne kradzieże, pijackie bójki, jakieś nadużycia, awantury w go-spodzie, wszystko to powtarzało się do znudzenia.

Być może Franek, wstępując do milicji, myślał, że będzie inaczej. Być może, pobudzona przeczytanymi książkami wyobraźnia podsunęła mu wizje pasjonujących spraw kryminalnych, ryzykownych akcji, tajemniczych zbrodni, ciekawych sytuacji. A tymczasem rzeczywistość nie była ani ciekawa, ani pasjonująca. Nie miała nic wspólnego z przygodową fabułą sensacyjnej powieści. Ot, zwykłe wiejskie sprawy. Ktoś komuś ukradł rower, albo gęś, ktoś komuś dał czymś ciężkim po głowie.

Owej niedzieli, kiedy się to wszystko zaczęło, sierżant Kociuba jak zwykle przyjechał motorem do rodziców i po świątecznym obiedzie poszedł przejść się po pałacowym parku.

Był czerwiec. Po dżdżystym i zimnym maju nastały upalne dni, pełne słońca. W starym parku koncertowały żaby, a w jasnych smugach przedzierającego się przez liście słonecznego światła tańczyły komary.

Franek usiadł na porośniętym mchem kamieniu i oparł głowę o pień rozłożystej olchy. Był w melancholijnym nastroju. W czasie rodzinnego obiadu matka znowu go molestowała, żeby rzucił pracę w milicji. — Narobisz sobie wrogów — biadała. — Ludzie cię znienawidzą. Nie będziesz miał chwili spokoju. Skończy się na tym, że cię kto nożem pchnie. Nie na to cię chowałam, abym cię miała stracić dlatego, że ci się do milicji zachciało iść. A co to, mało innej roboty? Musisz akurat ty złodziei łapać?

Próbował się bronić. Mówił, że przecież zabójstwo milicjanta zdarza się bardzo rzadko. Jakby wszyscy rozumowała tak jak matka, to w ogóle nikt by nie pracował w milicji. Muszą być ludzie, którzy pilnują porządku i bezpieczeństwa obywateli. Nie można myśleć tylko o własnej wygodzie i o własnym interesie — argumentował.

— Już ten i ów krzywo na nas zaczyna patrzeć — westchnęła matka. — Wczoraj byłam w sklepie i nikt do mnie nawet słowa nie przemówił. Rozmawiali o czymś, a jak tylko weszłam, od razu ucichli,

— E, zdawało się mamie. A zresztą nie zależy mi na ludziach, którzy się milicji boją.

— Ale nam zależy na ludziach, bo między tymi ludźmi żyjemy. Co ty tam zresztą rozumiesz? Trzeba dłużej pożyć, żeby rozumu nabrać.

Koniuszy tym razem nie stanął w obronie syna. Palił w milczeniu. Nie patrzył ani na żonę, ani na chłopaka.

Franek, siedząc w wilgotnym cieniu starego parku, raz jeszcze przeżywał ten niedzielny obiad. Był zły, że dziś przyjechał. Korzystając z wolnego dnia mógł przecież wybrać się gdzieś z kolegami na wycieczkę, albo poczytać książkę. Wiedział jednak, że staruszkowie będą na niego czekać. Nie chciał im robić zawodu. Przypominał sobie słowa matki, w których, niestety, było dużo prawdy. Kiedy wstępował do milicji, wszyscy bliżsi i dalsi sąsiedzi, przyjaciele, znajomi z entuzjazmem przyjęli jego decyzję. Chwalono go, zachęcano, dodawano odwagi. Dopiero po dłuższym czasie zrozumiał, jakie mieli intencje. Każdy myślał o ewentualnych korzyściach, Jakie

będzie można czerpać z tego, że „pocziwy Franuś” zostanie milicjantem. Tymczasem okazało się, że nie ma on najmniejszego zamiaru łagodzić, tuszować, umarzać, „iść na rękę”. Ku ogólnemu zdziwieniu okazał się większym służbistą niż poprzedni zastępca komendanta posterunku. Tak jak i dawniej zawsze chętnie komuś pomógł w potrzebie, ale tylko wtedy, jeżeli pomoc nie kolidowała z obowiązującymi przepisami i z kodeksem karnym. Wszyscy ci, którzy spodziewali się, że po znajomości Franek przyknie oko na różne nadużycia, ogromnie się zawiedli. Rosła więc niechęć do sierżanta Kociuby, która powoli przenosiła się i na jego rodzinę. Po prostu zawiódł pokładane w nim nadzieje.

Franek myślał o tym z przykrością. Przecież on pracował dla ludzi, dbał o ich bezpieczeństwo, ochraniał ich mienie, starał się być ich przyjacielem i opiekunem. Chciał jak najlepiej, a tymczasem spotykał się z niechętną, a nawet wrogą postawą. Dlaczego? Dlatego, że nie brał łapówek, nie godził się na żadne kombinacje, że z nie słabnącą energią ścigał złodziei, oszustów, awanturników. „A może matka ma rację?” — myślał w chwilach depresji. „Może rzeczywiście lepiej rzucić służbę i robić co innego? Bo jeżeli nie znajduję ani satysfakcji osobistej, ani uznania u ludzi, to po cholere? Po co nadstawiać karku i jeszcze być uważanym za wroga? Niech się kto inny męczy!”

Ale zaraz pojawiała się refleksja. Jak to? Więc tak łatwo miałby rezygnować? Więc dlatego, że jakiś złodziej czy kanciarz krzywo na niego patrzy, miałby rzucić zaczęłą robotę i szukać nie wiadomo czego? A niechże ich wszyscy diabli!

Podniecony tymi rozważaniami, podniósł się z kamienia i zaczął iść wzdłuż rzeczki, obrośniętej po obu brzegach gęstymi krzakami. Spłoszone kaczki podreptały kołyszącym się krokiem ku wodzie. Jakiś ptak zatrzepotał skrzydłami w leszczynie. Powietrze było parne i nieruchome.

Nagle Franek przystanął i wyteżył wzrok. Na przeciwległym brzegu rzeczki, pod zwieszającymi się nisko nad wodą gałęziami dostrzegł jakby kształt ludzkiej ręki. „Wydaje mi się”

— pomyślał i przeciągnął dłonią po czole. To jednak, co zobaczył, nie dawało mu spokoju. Zdjął więc buty, podwinął

spodnie i wszedł do wody. Teraz widział już zupełnie wyraźnie. — O, cholera! — mruknął. W tym miejscu rzeczka była dosyć głęboka- Wyciągnął nogi z mulistego dna, włożył buty i pobiegł do „japońskiego” mostku. W kilka sekund znalazł się na drugim brzegu.

Nie mało się natrudził zanim spomiędzy poplątanych gałęzi i wodorostów wyciągnął topielicę. Śmierć musiała nastąpić niezbyt dawno, bo opuchlizna nie zdążyła jeszcze zdeformować rysów twarzy. Dziewczyna była ładna i elegancko ubrana. Zgrabny kostium ze stalowego tropiku, pantofelki zapewne zagraniczne, z wężowej skóry, na lewej ręce zamszowa rękawiczka.

— Do licha! — denerwował się Franek, patrząc na leżące u jego stóp zwłoki. „Kto to może być? — rozmyślał. — To nikt ze wsi. Jakaś przyjezdna babka. Ale w jaki sposób utonęła? Wpadła w ubraniu do wody? Chyba była pijana...?”

Pragnąc dokładniej obejrzeć trupa, odwrócił topielicę twarzą do ziemi i wtedy zobaczył, że pod lewą łopatką tkwi wbity po rękojeść nóż.

— O, cholera! — zaklął znowu sierżant Kociuba.

ROZDZIAŁ II

Kapitan Grabicki nie był lubiany. Uważał się za asa służby śledczej i miał niezbyt miły zwyczaj traktowania kolegów, a szczególnie niższych rangą, z pewnego rodzaju protekcyjną wyższością. Denerwowało to zarówno jego przełożonych, jak i podwładnych. Nieraz dochodziło na tym tle do krótkich spięć, które powodowały niepotrzebny ferment. Wielokrotnie szef zwracał Grabickiemu ostro uwagę. Obiecywał wtedy, że zmieni sposób postępowania, wyrażał nawet skruchę, ale po pewnym czasie zapominał o swych postanowieniach i wszystko było po dawnemu.

Nikt nie mógł odmówić Grabickiemu zdolności. Przeprowadził kilka skomplikowanych, trudnych spraw, wykazując inteligencję, rzutkość i dużą pomysłowość. Te

sukcesy dodały mu jeszcze pewności siebie i utwierdziły w przekonaniu, że jest wybitnym specjalistą w dziedzinie kryminalistyki.

Franek Kociuba, który po raz pierwszy miał do czynienia z morderstwem, z nie ukrywanym podziwem patrzył na przedstawiciela Komendy Wojewódzkiej, nie zważając, że kapitan odnosi się do niego z pobłażliwym lekceważeniem. Z ogromnym zainteresowaniem śledził wszystkie czynności przeprowadzane przez brygadę śledczo-dochodzeniową, odnotowując sobie w pamięci każdy szczegół. Był bardzo podniekowany. Nareszcie coś się działo, coś niezwykłego, sensacyjnego.

— Więc twierdzicie, sierżancie, że nigdy nie widzieliście na waszym terenie tej kobiety? — spytał Grabicki.

Franek wyprężył się służbowo.

— Nigdy jej nie widziałem, obywatelu kapitanie. To jakaś nietutejsza.

— A wy jesteście tutejsi?

— No jakże? Przecież się tu urodziłem. Znam wszystkich w okolicy. Na posterunku pracuję już trzeci rok.

Grabicki uśmiechnął się.

— Ho, ho... Trzeci rok w milicji! To pewnie z was tęgi fachowiec? No, macie teraz pole do popisu. Spróbujcie znaleźć mordercę tej kobiety.

Franek wyczuł drwinę, ale się z tym nie zdradził. Udał, że bierze za dobrą monetę słowa kapitana.

— Ano spróbuję — powiedział śmiało. — Może mi się uda. Podobno nie święci garnki lepia.

— Ale i nie od razu Kraków zbudowano — zaśmiał się Grabicki. — Niech wam się nie zdaje, że to taka prosta sprawa. Trzeba dobrze głową popracować.

— Głową to w ogóle dobrze jest pracować, obywatelu kapitanie, w każdym zawodzie.

Grabicki uważnie spojrzął na młodszego kolegę. Wziął Franka pod rękę i odprowadził na bok.

— Słuchajcie, Kociuba! — rzekł, zniżając głos. — Wy rzeczywiście możecie mi sporo pomóc. Znacie teren. Rozejrzyjcie się, pogadajcie z ludźmi, posłuchajcie, co zaczną mówić na temat tej zbrodni. Czasem rozmowa podsłuchana w gospodzie może sporo dać. Utrzymujcie ze mną kontakt. Gdybyście się czegoś dowiedzieli, zaraz do mnie telefonujcie do Komendy.

— Tak jest, obywatelu kapitanie. Ale nie wiadomo, czy zabójcą jest ktoś z naszego terenu. Ja myślę, że raczej jakiś przyjezdny. Tyle tych wycieczek tu się ciągle kręci...

— Często przyjeżdżają wycieczki?

— Bez przerwy. Jak nie cudzoziemcy, to studenci, jak nie studenci, to zakłady pracy. Stale autokary i autokary.

— Dawno tu byli jacyś zagraniczni goście? — spytał Grabicki.

— Nawet i teraz są Niemcy. Przyjechali na polowanie. Siedzą już chyba z tydzień. Kozły strzelają.

— Hm... — Grabicki wyjął papierosy i poczęstował Franka. — Powiedzcie mi jeszcze, kto z terenu stadniny wyjeżdżał za granicę.

— Dyrektor jeździ za granicę. Nawet dosyć często.

— A oprócz dyrektora?

Franek zawahał się.

— Bo ja wiem... Słyszałem, że główna księgowa wyjeżdżała gdzieś na wycieczkę. No...

Staszek siedział chyba z rok we Francji.

— Jaki Staszek?

— Maciejczak. Syn leśniczego.

— A cóż on robił we Francji tyle czasu?

— Konie objeżdżał. Jakiś bogaty gość go zaangażował.

— Ale już wrócił?

— Tak. Będzie chyba ze trzy miesiące, jak wrócił. Porządne rzeczy sobie przywiózł. Obsprawił się.

— A skądże wy tak dobrze jesteście poinformowani?

Franek jakby się trochę zmieszał.

— No... znamy się nie od dzisiaj. Wiecie, jak to na prowincji. Wszyscy się znają. Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. Chociaż teraz to powiedzenie trochę ludzie zmienili. Teraz się mówi:

wiedzą sąsiedzi, za co kto siedzi.

Grabicki nagle zmienił temat rozmowy.

— O ile dobrze się orientuję, to wy jesteście synem koniuszego, tak?

— Tak. Mój ojciec przeszło trzydzieści lat pracuje w stadninie. Niedługo idzie na emeryturę.

— Zgodnie żyjecie z ojcem?

— A dlaczegoż nie miałbym żyć zgodnie? Pewnie, że zgodnie.

— A wasz ojciec zna leśniczego, ojca Staszka Maciejczaka?

— Oczywiście. Ale nie rozumiem, obywatelu kapitanie, co to ma do rzeczy?

Grabicki spojrział chłodno na mówiącego.

— Nie musicie wszystkiego rozumieć.. A więc ustalamy, że rozejrzycie się po terenie i jakby wam wpadło coś ciekawego, to dacie mi znać.

— Tak jest!

— Liczę na waszą pomoc.

— Zrobię co będę mógł, obywatelu kapitanie. Powiadają, że kiep ten, co robi więcej niż może.

Grabicki uśmiechnął się. Zaczynał go bawić ten wiejski mądrala.

— Przede wszystkim musimy ustalić kto został zamordowany — powiedział, zwracając ku leżącym na trawie zwłokom. Poproście tu swojego ojca. Może on nam pomoże.

Stary Kociuba kręcił głową zaambarasowany i przejęty. Po parę razy powtarzał, że nigdy nie widział tej dziewczyny i nie ma pojęcia, skąd się wzięła w okolicy.

— To nie ze wsi, panie kapitanie. Wygląda na miastową. Może by dyrektor coś wiedział, albo inżynier, ale ich nie ma.

— A gdzie są?

— Dyrektor wybrał się z Niemcami do lasu a inżynier pojechał gdzieś z żoną wozem.

Podczas gdy Grabicki rozmawiał z koniuszym, Franek rozebrał się i w samych tylko spodenkach gimnastycznych wszedł do rzeki. Zaczął mozolnie brnąć pod prąd. pomagając sobie leszczynowym kijem. Miejscami zapadał się prawie po pas w lepki, śliski muł, a miejscami, gdzie woda była głębsza,

musiał przepływać kilka metrów. Był dobrym pływakiem, a woda w rzece poruszała się leniwie.

Mimo to trochę się zmęczył i zasapał. Jego wysiłki jednak zostały uwieńczone nie byle jakim powodzeniem. W odległości jakichś trzystu, czterystu metrów znalazł w przybrzeżnych zaroślach sportową damską torbę z krokodylowej skóry. Długi pasek zaplątał się w wodorostach i dlatego torba nie popłynęła z prądem ani nie poszła na dno.

Kapitan z uznaniem spojrzął na ociekającego wodą chłopaka.

— Brawo, sierżancie! Dobra robota. Zaraz zobaczymy, co jest w tej torebce.

Dowód osobisty na nazwisko Iwona Tomecka oraz zwykłe, kobiece drobiazgi: chusteczka z wyhaftowanym monogramem I. T., szminka, puderniczka, zielone klipsy, tusz do rzęs, pilnik. Poza tym klucze od mieszkania, czarny, skórzany portfelik, a w nim osiemset złotych i trzy dziesięciodolarowe banknoty. Żadnych notatek, żadnego notesu.

Grabicki uważnie obejrzał wszystkie przedmioty.

— Hm... — mruknął, zaglądając jeszcze raz do dowodu osobistego. — Iwona Tomecka. Historyk sztuki. Ciekawe...

— Pantofle z wężowej skóry — zauważył Franek — torba z krokodyla, francuska szminka... — Podrapał się w głowę. — Wszystko zagraniczne.

— A skądże wy się tak znacie na szminkach? — zdziwił się Grabicki.

— Oficer dochodzeniowy musi się na wszystkim znać, obywatelu kapitanie.

— Nie jesteście oficerem dochodzeniowym.

— Ale mogę nim kiedyś zostać. Nie zawadzi się przygotować.

— O, widzę, że na ambicjach wam me zbywa. To dobrze.

Kończył się upalny dzień i blask zachodu zaróżowił wierzchołki drzew. Od rzeki powiało wilgotnym chłodem.

Zaczęto ładować zwłoki do ambulansu, gdy przybiegł zdyszany chłopak. Już z daleka krzyczał:

— Dyrektor przyjechał z Niemcami! Dyrektor przyjechał z Niemcami. Kozła przywieźli,

Grabicki spojrzął na Franka.

— Poproście tu dyrektora. Powiedziecie, że czekamy.

Dyrektor Stefaniak nie wyglądał na człowieka wsi. Szczupły, pochylony, o bladej ascetycznej twarzy, robił raczej wrażenie urzędnika ministerialnego przebywającego na wczasach. Ruchy miał powolne, opanowane. Mówił cicho, z namysłem, jakby ważąc każde słowo. Nigdy nie podnosił głosu. Niezmiernie trudno było go wyprowadzić z równowagi. Przy każdej okazji lubił podkreślać swą „angielską flegmę” i niczym nie zrażony spokój. Teraz, kiedy tak schodził w dół ku rzece i kiedy zachodzące słońce ozłacało jego siwą, mocno już przerzedzoną czuprynę, przypominał w swym szarym prochowcu średniowiecznego mnicha śpieszącego na wieczorną modlitwę.

Kapitan Grabicki bardzo uprzejmie powitał przybyłego. W krótkich słowach wyjaśnił, o co chodzi.

Stefaniak przyjął wiadomość o wydobyciu z rzeki zwłok bez większego zainteresowania. Dopiero kiedy spojrzął na leżące na trawie nieruchome ciało, twarz mu się gwałtownie zmieniła. Wąskie wargi poczęły drżeć, policzki zabarwiły się ceglastym rumieńcem, w oczach pojawił się żal czy może niepokój.

Grabicki obserwował go uważnie.

— Znał pan tę dziewczynę? — spytał.

— Znałem — odparł cicho Stefaniak, z trudem opanowując wzburzenie.

— Kto to?

— Pracowniczka „Orbisu”. Była tu dwa dni temu z plastikami, z wycieczką... Jak to się stało? W jaki sposób...?

— Ktoś ją pchnął nożem.

— To straszne!

— Czy przedtem nigdy pan jej nie spotkał?

— Nie, nigdy.

— Kiedy przyjechała z tą wycieczką?

Stefaniak przeciągnął dłonią po wilgotnym czole.

— Zaraz, zaraz, niech sobie przypomnę. Dzisiaj mamy niedzielę... To było chyba w piątek. Tak, tak, na pewno w piątek. Przyjechali takim dużym autokarem. Nie bardzo mi to nawet było na rękę, bo właśnie mam gości zagranicznych.

— Niemcy?

- Tak. Z Hamburga. Przyjechali na odstrzał kozłów.
- Dużo ich przyjechało?
- Czterech.
- I mieszkają w pałacu?
- Oczywiście

Grabicki zadał jeszcze kilka pytań, a następnie kazał załadować zwłoki do ambulansu. Był zamyślony. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że dyrektor Stefaniak trochę zbyt przesadnie przejął się śmiercią dziewczyny. Widział ją raz w życiu, przelotnie, zamienili ze sobą kilka zdań. Była dla niego kimś zupełnie obcym. Skąd więc ten wstrząs na widok trupa? Człowiek tak opanowany... Ciekawe...

* * *

Tego wieczora Franek długo nie mógł zasnąć. Był zdenerwowany, podniecony. Wypadki ubiegłego dnia podziały na niego jak dzbanek mocnej kawy. Niespokojnie przewracał się z boku na bok, nadaremnie usiłując zapaść w sen. Wreszcie zbrzydło mu łóżko. Wstał i wyszedł przed dom.

Noc była ciepła, gwiaździsta. Gdzieś w oddali czekały psy, zaby wygrywały chóralną sarabandę. pachniało sianem.

Franek usiadł na pieńku, służącym do rąbania drzewa, zapalił papierosa i zadumał się. Szczerze mu było żal tej młodej, ładnej dziewczyny. Z jakąż satysfakcją powiesiłby bandziora, który wbił jej nóż w serce. Jakże podłym trzeba być człowiekiem, żeby z tyłu... podstępnie... Wyobraził sobie, jak by to było, gdyby on akurat nadszedł w tym momencie. Krótka walka, w której tamten oczywiście nie miałby żadnych szans. Parę ciosów w szczękę i po wszystkim. A w razie czego użyłby przecież pistoletu. Tak plastycznie zobaczył tę scenę, że instynktownie zacisnął pięści. Dopiero po chwili zorientował się, że siedzi przed domem rodziców. Urzędowe czynności trwały do późna i matka zatrzymała go na noc. — Gdzie się będziesz Franuś, tłukł na motorze po ciemku — powiedziała, gładząc go po policzku. — Jeszcze cię kto napadnie. Zanocuj u nas. Za dnia pojedziesz na posterunek.

Zgodził się, ale teraz żałował. Może w swojej kwaterze

prędzej by zasnął?

Nigdy jeszcze nie widział z bliska trupa. Dotychczas zagadnienie morderstwa, w ogóle zagadnienie śmierci było dla niego czymś zupełnie teoretycznym, nierealnym. Dopiero dzisiaj po raz pierwszy... Wzdrygnął się. „A może ja się w ogóle nie nadaję do pracy w milicji?” — pomyślał. „Może w gruncie rzeczy jestem mięczak, niedołęga?” W pierwszej chwili, kiedy przyjechali ci z Komendy Wojewódzkiej, doznał radosnego podniecenia. Nareszcie zdarzyło się coś niecodziennego, nareszcie prawdziwa, poważna kryminalna sprawa. Ale teraz miał przed oczyma umarłą dziewczynę i ogarniało go uczucie ogromnego smutku, przygnębienia. Czyż potrzeba było aż tej tragicznej śmierci, żeby on, sierżant Kociuba, mógł się wykazać swoimi zdolnościami, żeby ewentualnie mógł sobie zasłużyć na awans?

Poczuł czyjąś rękę na swoim ramieniu. Drgnął gwałtownie i odwrócił się. Stała za nim matka.

— Co to, Franeczku, nie śpisz?

— Nie mogę, mamó.

Pogłaskała go po głowie.

— Niemaló się jeszcze zła napatrzysz, synku, niemaló.

Franek wstał, pocałował matkę w rękę i ruszył ku domowi.

* * *

Staszek siodłał Kartacza. Młody koń kręcił się niecierpliwie, rzucał łbem i rozdymał chrapy. Nie lubił dociągania popręgu. Chłopak łagodną przemową i poklepywaniem usiłował uspokoić swojego ulubieńca, ale nie na wiele się to zdało. Kartacz nie dał się osiodłać.

— Stój, psiakrew, cholero jasna... — Jednak i to nie poskutkowało. Najwyraźniej gniady wałach miał inne plany i nie życzył sobie, żeby go krępowano popręgiem. Cofał się, skręcał w miejscu, a nawet próbował stawać deba.

Tuż koło boksu rozległy się czyjeś ciężkie, leniwe kroki. Staszek odwrócił się.

— O, Władek! — zawołał uradowany. — Dobrze, te jesteś. Pomożesz mi potrzytać tego wariata.

— A bo co?

— Nie wiem. Coś mu do łba strzeliło. Nie daje się osiodłać.

— E, bo ty się, idioto, za bardzo pieścisz z bydlakami. Weź pałę, gwizdnij go między ślipia, to od razu zrozumie.

Od Dobrzyckiego mocno czuć było wódkę. Kiedyś był dobrym jeźdźcem i odważnie siadał na najtrudniejszego konia, ale potem się rozpił i nawet musiano go wyrzucić ze stajni sportowej. Teraz obrządzał kobyły i źrebięta, ale przebąkiwano w stadninie, że i w tej pracy długo się nie utrzyma, bo coraz częściej przychodził pijany. Skąd brał na wódkę, tego nikt nie wiedział, bo całą pensję odbierała za niego żona.

— Idź lepiej do domu i połóż się spać — mruknął Staszek. — Sam sobie poradzę.

— Zaczekaj. Pomogę ci.

— Daj spokój. Pijany jesteś.

Dobrzycki roześmiał się hałaśliwie.

— No to co, że sobie ździebko wypilem? Ale konia jeszcze potrafię utrzymać. Nie bój się!

Wszedł do boksu i mocno chwycił Kartacza przy pysku.

— Stój, psia twoja mać!

Staszek zdołał wreszcie dociągnąć popręg.

— Za pomoc coś mi się należy — powiedział Dobrzycki. — Ja nie z tej stajni. Masz papierosa?

— Mam,

— No to daj.

— Dobra, ale jak wyjdziemy na dwór.

— Cóżes się taki ostrożny zrobił? Inżyniera się boisz? A pies z nim tańcował. Ja tam się nikogo nie boję. Mogą mnie wywalić nawet i zaraz. Nie zależy mi. Robotę wszędzie znajdę. Nie takie znowu mecyje gnój spod kobył wyrzucać.

Staszek ściągnął strzemiona i już miał dosięść Kartacza, kiedy Dobrzycki chwycił go za rękę.

— Słyszałeś o tej babce?

— O jakiej babce?

— No o tej, co ją z rzeki wyciągnęli.

— Coś tam słyszałem — mruknął niechętnie Staszek. — Nie interesuję się takimi sprawami.

— Podobno jakaś zagraniczna panna. Może to przypadkiem twoja znajoma?

Staszek spałowiał.

— Oszalałeś?!

— A kto cię tam wie! Obijasz się po jakichś Paryżach. Mogłeś ją gdzieś spotkać. No może nie?

— Odczep się ode mnie.

Ale Dobrzycki nie miał najmniejszego zamiaru się odczepić. Po wódce stawał się rozmowny i nie tak łatwo rezygnował z towarzystwa. Ciągłe trzymał Staszka za rękę, nie pozwalając mu dosiąść konia.

— Ludzie gadają, że tę babkę wyciągnął twój szwagier.

— Jaki znowu szwagier? Nie mam żadnego szwagra.

— Może by było lepiej, żebyś miał... — Dobrzycki przymrużył filuternie lewe oko.

— Co ty bredzisz?! — zdenerwował się Staszek. — Upiłeś się i tyle. Sam nie wiesz, co gadasz.

— Wiem, co gadam. Wszyscy już w okolicy o tym mówią, że twoja siostrzyczka kombinuje z tym cholernym milicjantem. Uważaj, bo ślubu nie będzie, a siostrzeńca będziesz miał i to od razu w milicyjnej czapce. Ha, ha, ha«.

Staszek zaciśniętą pięścią trzasnął w roześmiany pysk z taką siłą, że Dobrzycki zatoczył się i upadł, uderzając głową o boks.

* * *

Pani Maria lubiła się martwić. Zawsze potrafiła znaleźć sobie jakiś powód, żeby pogrążyć się w melancholijnych rozważaniach. Mniej lub więcej wyimaginowanymi strapieniami zatruwała życie sobie i otoczeniu.

Tego ranka była bardziej przygnębiona niż kiedykolwiek. Patrzyła na męża niespokojnie.

Stefaniak był w wyjątkowo złym nastroju. Prawie wcale nie spał tej nocy. Przewracał się z boku na bok, wstawał, chodził po mieszkaniu, pił wodę, zażywał proszki nasenne. Teraz, siedząc przy śniadaniu, spoglądał ze zniecierpliwieniem na zbolalą twarz żony, spodziewając się, że lada chwila zacznie mówić swym jęklwym, żalonym głosem. I nie omylił się.

— Oleczku, co ci jest, kochanie? Co cię gnębi? Nie staraj się zaprzeczać. Przecież widzę. Całą noc nie spałeś i mnie budziłeś...

— Przepraszam cię.

— Nie potrzebujesz mnie przepraszać. Ja się nie gniewam. Wiesz, że jestem bardzo wyrozumiała- Tylko ogromnie się o ciebie niepokoję.

— Przynajmniej masz jakiś konkretny powód do zmartwienia — mruknął niezbyt uprzejmie Stefaniak.

— A może jesteś chory?

— Nie jestem chory.

— Powiedz szczerze, co ci dolega? Wiesz przecież, że masz we mnie najlepszego na świecie przyjaciela. Wszystko mi możesz powiedzieć, ze wszystkiego się zwierzyć.

Ten monotony, bezbarwny głos, przypominający do złudzenia pojękiwania perliczki, doprowadzał Stefaniaka do szaleństwa. Miał ochotę chwycić cukiernicę i cisnąć nią w żonę. „Żeby przestała mówić, żeby wreszcie przestała mówić” — myślał z rozpaczą. „Nie wytrzymam”.

A ona mówiła, ciągle tym samym cierpięcniczym głosem, ani nie ciszej, ani nie głośniej, ani nie prędzej, ani nie wolniej. Jak nastawiony patefon.

— Więc nie chcesz mi powiedzieć, co ci jest?

— Mówiłem ci już, że nic mi nie jest.

— Więc dlaczego jesteś w takim złym nastroju? Przecież widzę.

— Może jestem przemęczony, a może to gorąco? No, nie wiem...

— Chyba nie przejąłeś się aż tak bardzo tą młodą osobą, którą wyciągnięto z wody?

Przecież jej prawie nie znałeś. Rozumiem, że to przykre, ale nie wyobrażam sobie, żeby mogło cię do tego stopnia wyprowadzić z równowagi.

Stefaniak wstał od stołu.

— Nie będziesz pił drugiej szklanki herbaty? — spytała pani Maria.

— Dziękuję. Nie będę.

— Obawiam się, że ty rzeczywiście jesteś niezdrów. Może byś się pokazał lekarzowi?

— Dajże mi spokój, Maryniu! — wybuchnął Stefaniak. — Nic mi nie jest i nie mam zamiaru iść do lekarza. Nie męcz mnie.

Westchnęła.

— Jesteś niesprawiedliwy. Ja przecież dla twojego dobra... Nie mam zamiaru do niczego cię zmuszać. Zupełnie niepotrzebnie się irytujesz.

Zrobiło mu się przykro. Podszedł do żony i pocałował ją w czoło.

— No, nie gniewaj się. Przepraszam. Rzeczywiście jestem jakiś nieswój. Zmęczyli mnie już ci Niemcy. Wyjeżdżają, na szczęście. Aha— zapomniałem ci powiedzieć: jutro jadę do Warszawy.

— Przecież do końca miesiąca miałeś już nie wyjeżdżać.

— No tak, ale się zmieniło. Muszę być w ministerstwie.

— Wozem jedziesz?

— Tak.

— Może byś mnie zabrał ze sobą. Zobaczyłabym się z Janką.

— Nie, nie... Innym razem. Teraz mam dużo różnych spraw. Byłbym skrępowany i ty także nie czułabyś się swobodnie. W przyszłym miesiącu wybierzemy się razem. Nie miej do mnie żalu, ale teraz to jakoś byłoby niezręcznie.

Spuściła oczy i powiedziała bardzo cicho: — Rozumiem.

Stefaniak wyszedł, zamykając starannie drzwi za sobą. Odetchnął z prawdziwą ulgą.

Kiedy wszedł do biura, panna Zosia, siedząca przy centralce telefonicznej, oznajmiła z promiennym uśmiechem, że kapitan Grabicki czeka już na dyrektora od piętnastu minut.

I rzeczywiście — przedstawiciel Komendy Wojewódzkiej siedział w dyrektorskim gabinecie pogrążony w lekturze porannej prasy.

Po oszczędnych słowach powitania, Grabicki, omijając tematykę meteorologiczną, od razu przystąpił do sedna sprawy.

— Domyśla się pan zapewne, panie dyrektorze, że niepokoję pana jeszcze w sprawie tragicznej śmierci tej dziewczyny.

Stefaniak skinął głową.

— Otóż — ciągnął Grabicki — ustaliliśmy jej personalia. Iwona Tomecka, lat dwadzieścia sześć, z zawodu historyk sztuki, pracowała dla „Orbisu”, jeżdżąc z wycieczkami w charakterze przewodnika. Mieszkała stale w Warszawie.

Stefaniak słuchał w milczeniu.

— Podałem panu szczegóły dotyczące zmarłej, ponieważ mam nadzieję, że może pan coś do tego dorzuci — wyjaśnił Grabicki, obserwując uważnie twarz swego rozmówcy.

Stefaniak poruszył się niecierpliwie.

— Powiedziałem już przecież, że tylko raz widziałem tę osobę i nic na jej temat nie mogę powiedzieć. Nie rozumiem, dlaczego pan tak nastaje?

Kapitan uśmiechnął się przepaszająco.

— Proszę się nie gniewać, ale robię, co mogę, żeby rzucić trochę światła na sprawę.

Otworzył brązową skórzaną teczkę i wyjął z niej długi fiński nóż, osadzony w kościanej, czarnej rękojeści.

— Oto narzędzie zbrodni. Niestety, na rękojeści nie udało nam się znaleźć odcisków palców. Czy pan przypadkiem nie widział u kogoś tego noża?

Stefaniak wziął finkę z biurka i przyjrzał jej się uważnie.

— Tego typu noży nie ma teraz u nas w handlu — stwierdził.

— Ale na Zachodzie można je dostać w każdym sklepie z bronią myśliwską. Miałem taki nóż. przed wojną. Pamiętam, że nawet próbowałem nim rzucać, ale rękojeść była za ciężka. Częściej uderzał w drzewo rękojeścią aniżeli ostrzem. A może po prostu nie umiałem się z nim obchodzić. Nie... panie kapitanie, bardzo żałuję, ale u nikogo nie widziałem takiego noża. Chociaż...

— Niech pan sobie przypomni — zachęcił go Grabicki. — To ważne.

Stefaniak przeciągnął dłonią po czole.

— Zaraz, zaraz... Nie, nie... to przecież nie ma sensu.

— O czym pan myśli?

— W tej chwili przypomniało mi się, że jeden z naszych niemieckich gości ma taki fiński nóż.

Oczy Grabickiego zabłysły zainteresowaniem.

— Ciekawe...

— Nie sądzi pan chyba, żeby ten Niemiec...?

— A czy pan może zaręczyć, że nie? — odpowiedział Grabicki pytaniem na pytanie.

Stefaniak uśmiechnął się niepewnie..

— Nie, skądże! Oczywiście, że nie mogę ręczyć.

— No więc właśnie W takiej sytuacji musimy brać pod uwagę każdą ewentualność, nawet najbardziej nieprawdopodobną.

Grabicki wyjął z kieszeni paczkę „sportów”, zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem.

— Chciałbym, panie dyrektorze, żeby mi pan możliwie dokładnie opowiedział o wycieczce plastyków, z którą przyjechała Iwona Tomecka.

— Bardzo chętnie, ale przyznam się panu, że nie mam na ten temat zbyt wiele do powiedzenia. No cóż... Przejechali w piątek, dwudziestego pierwszego, wczesnym popołudniem, zwiedzili pałac, park, zajrzeli do stajni...

— Kiedy wyjechali?

— Tego samego dnia wieczorem.

— I ta dziewczyna także z nimi wyjechała?

— Oczywiście. Przecież ona prowadziła wycieczkę.

— Hm... — Grabicki zamyślił się — Dziwne... Została zamordowana w sobotę... A więc albo wróciła, albo wysiadła i zatrzymała się tu gdzieś w okolicy. Czy nie zauważył pan, żeby rozmawiała z którymś z Niemców?

— Nie zauważyłem, ale to nie jest wykluczone. Gdy wróciłem z Niemcami z lasu, wycieczka akurat zbierała się do odjazdu.

— Ta dziewczyna pewnie dobrze знаła niemiecki?

— O tak, bardzo dobrze.

— A skąd pan wie, że Iwona Tomecka znała dobrze język niemiecki? — spytał, nie ukrywając zdziwienia, Grabicki.

Stefaniak zmieszał się.

— Skąd wiem...? Zaraz, zaraz,... Musiałem jednak słyszeć ją mówiącą po niemiecku. A tak, tak... przypominam sobie. Rozmawiała w tym języku z jakąś panią, która brała udział w wycieczce.

Grabicki pokiwał głową. Nie był przekonany, że to prawda, ale w tej chwili nie chciał rozwijać dyskusji. Widząc, że

dyrektor spogląda dyskretnie na zegarek, spytał:

— Spieszysz się pan gdzieś?

— Tak. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia. Ale służę panu. Jeżeli mógłbym być jeszcze w czymś pomocny...

Grabicki wstał.

— Dziękuję. W razie potrzeby zwrócę się jeszcze do pana.

Po wyjściu kapitana, Stefaniak załatwił kilka najpilniejszych telefonów, podpisał leżące na biurku przygotowane od rana pisma, zamienił kilka słów ze swoim zastępcą, inżynierem Kozłowskim w sprawie dostawy słomy, i szybkim krokiem poszedł do domu.

Pani Maria była zdziwiona.

— Wróciłeś już?

— Tak. Muszę zaraz jechać do Warszawy. Zapakuj mi małą walizeczkę. Być może, że za dwa dni mnie nie będzie.

— Przecież mówiłeś, że jedziesz jutro. Co się stało?

Zrobił niecierpliwy ruch ręką.

— Nic się nie stało, ale mam pewne pilne sprawy do załatwienia. Nie mogę czekać do jutra.

— Chyba nic złego? — zaniepokoiła się.

— Nie, nie, nic złego. Możesz być zupełnie spokojna.

— Bo ja tak nie lubię, Oleczku, jak jesteś zdenerwowany. Zawsze się boję, żebyś nie miał jakichś przykrości. Dzisiaj na każdym kroku człowiek ma przykrości.

— Bądź tak dobra i zapakuj mi małą walizeczkę — powtórzył Stefaniak.

Mimo nawału zajęć, Franek pojechał motorem do leśniczówki. Powiedział komendantowi posterunku, starszemu sierżantowi Szczygielskiemu, że z polecenia kapitana Grabickiego musi jeszcze sprawdzić pewne rzeczy na tamtejszym terenie (co zresztą było częściowo prawdą). Zaniepokoiła go kartka, którą otrzymał od Hanki „Muszę się z Tobą zobaczyć jak najszybciej w ważnej sprawie”.

„Co to może być za ważna sprawa?” — rozmyślał, dodając gazu. Hanka była rozsądną dziewczyną i nie alarmowałyby go

dla byle głupstwa. Coś się musiało rzeczywiście stać, ale co?

Żeby skrócić sobie drogę, zjechał z szosy i ruszył wąską ścieżką, biegnącą między wybujałym żytem. Znał tu każdy dołek, każdą nierówność gruntu. Ciężkie dojrzewającym ziarnem kłosy trącały go, klując w twarz długimi wąsami. Po ostatnim gwałtownym deszczu zboże pochyliło się, a miejscami nawet pokładło, tworząc jakby wydeptane polanki. Kiedy wjeżdżał na drogę wiodącą wzdłuż lasu, dwie kuropatwy poderwały się z głośnym furkotem i zapadły w pobliskim kartoflisku.

Ścieżkami przeciął na ukos las i niebawem zobaczył błyskający czerwienią dach leśniczówki.

Hanka czekała na niego przed domem. Dorodna dziewczyna, postawna, dobrze zbudowana. Ciemnoblonde gęste włosy związane były w koński ogon. Nad czołem równo przycięta grzywka. Oczy podłużne, brązowe, osadzone pod mocno zarysowanymi brwiami błyszcząły zwykle energią i radością życia. W tej chwili oczy te były chmurne, niespokojne.

— Dobrze, że przyjechałeś — powiedziała, wyciągając rękę na powitanie.

— Co się stało? — spytał.

— Chodź, przejdziemy się trochę. Wszystko ci opowiem.

Franek postawił motor koło furtki, wytarł spocone czoło i skinął głową.

— No, to idziemy.

Szli między wysokimi krzakami jałowca. Zapach żywicy zmieszany z gorzkawą wonią ziół wypełniał powietrze. Pierwsza odezwała się Hanka:

— Staszek dał w pysk Dobrzyckiemu — rzekła nie patrząc na Franka.

Wiadomość ta nie wydała mu się najwidoczniej żadną rewelacją.

— No to co z tego?

— Władek Dobrzycki odgraża się. To bandzior. Boję się o Staszka.

Franek lekceważąco machnął ręką.

— Nie przejmuj się takimi głupstwami. Dobrzycki nic Staszкови nie zrobi. Bądź spokojna. Głupi pijak!

— Silny jest Silniejszy od Staszka. A zresztą on i nożem potrafi.

— No, no, niechby spróbował — warknął groźnie Franek. — Już Ja bym go nauczył rozumu. A o co lm poszło?

— O mnie.

Franka tak zaskoczyła ta wiadomość, że stanął jak wryty.

— O ciebie?

— Tak. O mnie się pokłócili.

Potrząsnął głową.

— Nie rozumiem.

— A bo Dobrzycki zaczął po chamsku przygadywać Staszкови, że ja z tobą chodzę. No to Staszek dał mu w pysk.

Franek zacisnął pięści.

— Zdaje się, że ja także mu dołożę. Ale jak ode mnie dostanie, to się nie pozbiera.

Hanka wzięta go pod rękę.

— Dajże spokój, Franuś. Nie po to ci to mówię, żeby wywoływać awantury.

— A cóż to bydlę sobie myśli, że ja pozwolę na takie rzeczy?

— Jest na mnie cięty — powiedziała cicho Hanka.

— Za co?

— Bo się kiedyś do mnie przystawiał, a ja go skląłam i wyrzuciłam za drzwi. Teraz chce się odegrać.

Franek przez chwilę sapał z gniewu i już chciał siadać na motor i szukać Dobrzyckie- go. Opanował się jednak.

— Przecież to nic złego, że my ze sobą chodzimy. Jes zezem ci żadnej krzywdy nie zrobił. A zresztą chcę się z tobą zenić. Chyba, że ty mnie już nie chcesz?

— Może byśmy przyśpieszyli ślub? — szepnęła Hanka. — Ludzie zaczynają gadać... A i ojciec się dopytuje, jak ma być?

Franek zafrasowany poskrobał się za uchem.

— Ja nie od tego... tylko że widzisz Hanuś... chciałem, żebyś wyszła za oficera. Miałem zamiar pójść do szkoły oficerskiej, do Szczytna. Dostałbym porucznika i dopiero wtedy ślub. Ale jak uważasz, że trzeba przyśpieszyć...

- Przecież i po ślubie możesz pójść do szkoły oficerskiej.
- Pewnie, że mogę. Tylko nie wiem, czy po ślubie nie stracę chęci do nauki. Co innego mi wtedy będzie w głowie. No nie?
- Zaczerwieniła się.
- Ej, głupstwa gadasz.
- Żadne głupstwa. Póki człowiek się krótko przy pysku trzyma, to jakoś tam jest, a jak sobie raz wodzy popuści...
- Machnęła ręką.
- Zostawmy na razie to gadanie. Mamy ważniejsze sprawy.
- Ślub z tobą, to jest dla mnie ważna sprawa — obruszył się Franek.
- Dobrze, dobrze, ale ja chciałabym pomówić jeszcze o czym innym.
- O czym innym?
- Tak. Bo widzisz... Spotkałam na drodze Władka Dobrzyckiego, jak jechałam rowerem do sklepu... I wiesz, co mi powiedział...?
- Skąd mogę wiedzieć?
- Powiedział, że widział, jak Staszek wiozł tę babkę motorem.
- Jaką babkę?
- No tę, którą ty wyciągnął z rzeki.
- Franek zaniemówił.

ROZDZIAŁ III

Pułkownik Bielniak był człowiekiem niecierpliwym. Średniego wzrostu, solidnie zbudowany, o szerokiej, mięsistej twarzy, z mocno zarysowaną dolną szczęką, miał w sobie niespożyty zapas energii, który niejednokrotnie przekazywał otoczeniu. Sam szybki w działaniu, wymagał tego samego od swoich podwładnych i biada temu, kto nie potrafił wykazać się należytą operatywnością. Nie znosił bezdusznego urzędowania i był zajadłym wrogiem biurokracji. Ten tylko w oczach pułkownika znajdował uznanie, kto potrafił przeprowadzać błyskawiczne akcje, nie odkładając niczego do jutra. Dlatego

też Grabická cieszył się specjalnymi względami u szefa, mimo iż od czasu do czasu pułkownik zwracał mu surowo uwagę za przejawy megalomanii i niezbyt miły stosunek do kolegów.

Bielniak skończył czytać raport, uderzył wierzchem dłoni w kartkę papieru i spytał:

— No i co?

— Na razie to wszystko — powiedział Grabicki.

Pułkownik zmarszczył brwi.

— Mało, diabelnie mało. Nic konkretnego. Byliście w Warszawie?

— Jeszcze nie. Właśnie miałem zamiar...

— Co to znaczy „miałem zamiar”? — zachnął się Bielniak. — Zamiast siedzieć tutaj przed moim biurkiem, powinniście już w tej chwili działać w Warszawie, Trzeba nawiązać kontakt z Komendą Miasta, trzeba przeprowadzić rewizję w mieszkaniu dziewczyny, trzeba wreszcie porozumieć się z „Orbisem”. Nie muszę was chyba pouczać, co w takiej sytuacji należy przedsięwziąć. Przecież...

— Właśnie o tym wszystkim chciałem z wami porozmawiać, obywatelu pułkownika — wtrącił speszony trochę Grabicki.

— Tu nie ma o czym rozmawiać. Trzeba siadać do wozu i jechać. Szkoda czasu na gawędy. Każda chwila jest droga. A co miał do czynienia ze sprawą sierżant Kociuba?

— Znalazł zwłoki. Podąłem to w raporcie.

— Kociuba... Kociuba... — powtórzył pułkownik. — Skąd ja znam to nazwisko? Ktoś mi chyba musiał o nim mówić. Nie mogę sobie przypomnieć. Czy macie zamiar wciągnąć go do tej sprawy?

— Jeżeli to będzie potrzebne, skorzystam jeszcze z jego pomocy, ale nie sądzę...

— Pamiętajcie, że potrzebujemy zdolnych, młodych ludzi — powiedział pułkownik, wyciągając rękę na pożegnanie. — Jedźcie. Życzę powodzenia.

I Grabicki pojechał.

W Warszawie wiedziano już o zamordowaniu Iwony Tomeckiej. W Pałacu Mostowskich skontaktowano Grabickiego z porucznikiem Olszewskim, który miał pomóc koledze z

Komendy Wojewódzkiej. Początkowo Grabicki nie był zbyt zachwycony asystą, ale bardzo prędko zorientował się, że Olszewski nie ma najmniejszego zamiaru przejmować inicjatywy w prowadzeniu śledztwa. Uspokoił się więc i życzliwszym okiem zaczął patrzeć na młodego porucznika. Nie tracąc czasu ustalili plan działania.

— Przede wszystkim trzeba się czegoś dowiedzieć o tej babce — powiedział Olszewski. — Może zrobimy tak, że ja pojedę do prokuratury po nakaz rewizji, a wy pogadacie w „Orbisie”. Pracowała tam przecież.

Starszy, szpakowaty pan z wyraźnie zarysowującymi się skłonnościami do tycia robił wrażenie szczerze strapionego smutną wiadomością.

— Co za nieszczęście... Co za nieszczęście... — powtórzył parę razy. — Taka młoda, ładna dziewczyna,..

Grabic kiego zawsze bardzo denerwowały banalne słowa, które ludzie zwykli wypowiadać w podobnych sytuacjach. Postanowił, nie zwlekając, skierować rozmowę na konkretny temat.

— Czy pan osobiście znał denatkę? — spytał, częstując dyrektora papierosami.

— Tak. Oczywiście.

— Co pan może powiedzieć na jej temat? Chodzi mi o jak najdokładniejszą charakterystykę.

— Hm... No cóż... — Szpakowaty pan odruchowo zapalił papierosa, zaciągnął się i wypuścił dym nozdrzami. — To była bardzo miła, zdolna, kulturalna dziewczyna. Straciliśmy dobrą pracownicę. Ciągłe jeszcze trudno mi się pogodzić z tym faktem. Taka nagła śmierć...

— Niech mi pan powie, panie dyrektorze — przerwał Grabicki — czy Iwona Tomecka wróciła z wycieczką plastyków do Warszawy, czy też została gdzieś po drodze?

Dyrektor był najwidoczniej zaskoczony pytaniem.

— Nie zdarza się, żeby osoba prowadząca wycieczkę zostawała gdzieś po drodze. Możemy się jednak upewnić. — Nakręcił numer i przez chwilę rozmawiał z urzędniczką, do której zwracał się per „droga pani Zofio”. Następnie odłożył

słuchawkę i spojrzął na Grabickiego.

— Tak, jak przypuszczałem, pani Tomecka wróciła do Warszawy z wycieczką w piątek wieczorem.

— I to jest zupełnie pewne? — nastawał Grabicki.

— Najzupełniej. Nie rozumiem pańskich wątpliwości, panie kapitanie.

— Już taki jestem, że nieustannie dręczą mnie jakieś wątpliwości— uśmiechnął się Grabicki. — Czy w tej wycieczce brali udział sami Polacy, czy także i jacyś cudzoziemscy goście?

— Nie potrafię panu zaraz odpowiedzieć. Bardzo możliwe, że był z nimi i jakiś cudzoziemiec. To się zdarza.

— Czy mógłby mi pan przygotować listę osób — uczestników wycieczki?

— Naturalnie. Zaraz wydam odpowiednie polecenie. Za godzinę będzie pan mógł odebrać u nas taką listę.

— Dziękuję. I jeszcze jedna prośba: chciałbym porozmawiać z kimś, z kim Iwona Tomecka bliżej żyła. Może jakaś przyjaciółka...

Na twarzy dyrektora odmalowało się wahanie.

— Wie pan... to dosyć trudna sprawa. O ile się orientuję, pani Iwona nie była osobą zbyt komunikatywną. Nie wiem, czy miała tu przyjaciółkę. Raczej wątpię. Zaraz spróbujemy się czegoś w tej sprawie dowiedzieć.

Znowu zatelefonował do wszystkowiedzącej „drogiej pani Zofii” i rozmawiał z nią przez chwilę, kiwając poważnie głową. Kiedy odłożył słuchawkę, był radośnie ożywiony.

— Dobrze się składa — powiedział, częstując swego gościa papierosami. — Właśnie jest w biurze pani Wanda Szypulska, która podobno bliżej żyła z Iwoną Tomecką. Mój zastępca wyjechał do miasta. Zaprowadzę pana do jego gabinetu. Będzie pan mógł swobodnie porozmawiać sobie z tą dziewczyną.

— Doskonale! — ucieszył się Grabicki,

Wanda Szypulska była bardzo efektowną, postawną blondyną, przypominającą urodą modne hollywoodzkie piękności. Porcelanowa twarz małej dziewczynki, ogromne niebieskie oczy, patrzące z rozbrajającą naiwnością, zgrabne, długie nogi, ponętnie zarysowane biodra

i wydatny biust. Poruszała się z wystudiowaną afektacją, świadoma wrażenia, jakie jej osoba wywierała na mężczyznach.

Na widok „sex-bomby” Grabicki przełknął ślinę i przez chwilę zaniemówił.

Udała, że nie zauważyła jego zmieszania. Wyciągnęła rękę na przywitanie, usiadła i, wysuwając wargi jakby do pocałunku, powiedziała:

— Chciał pan ze mną mówić, panie kapitanie.

Grabicki czuł, że jeżeli się natychmiast nie opanuje, zupełnie zapomni o śledztwie. Wziął się więc energicznie w garść i wykazując dużą siłę woli, oderwał spojrzenie od jej biustu. Odetchnął głębiej.

— Tak. Chciałem panią prosić o chwilę rozmowy. Czy pani została już poinformowana o tragicznej śmierci Iwony Tomeckiej?

— To straszne! Przerazające! Dosłownie nie mogę uwierzyć. Przecież tak niedawno rozmawiałam z Iwoną, byliśmy razem w kinie. Doprawdy jestem wstrząśnięta, panie kapitanie, jestem do głębi wstrząśnięta. Kto mógł przypuszczać, że już nigdy... że już nigdy jej nie zobaczę... U progu życia... Biedactwo!

Grabicki był już zupełnie spokojny. Nieszczere słowa pełne egzaltacji podziały na niego jak zimny prysznic. „Po jaką cholere babka tak się zgrywa?” — myślał zaintrygowany. — „Chce coś przez to osiągnąć, ale co?”. Głośno zaś powiedział:

— Słyszałem, że pani przyjaźniła się z Iwoną Tomecką.

— Och, przyjaźń to wielkie słowo, panie kapitanie. Lubiliśmy się, ale nie wiem, czy można to nazwać przyjaźnią.

— Czy pani Tomecka była mężatką?

— Rozeszła się z mężem.

— I powtórnie nie wyszła za mąż?

— Nie.

— A może się pani orientuje, co robi jej były mąż?

— Wiem tylko tyle, że siedzi gdzieś za granicą, ale nawet nie potrafię panu powiedzieć, gdzie. We Francji czy w Szwajcarii...

— Czy często pani widywała panią Tomecką?

— Bardzo różnie. Czasami widywałyśmy się dosyć często, a czasami nie widziałam jej i ze dwa miesiące. Nie mam zbyt

wiele czasu na utrzymywanie stosunków towarzyskich. Ciągłe jest coś do roboty.

— Czy pani także jeździ z wycieczkami?

— Tak. Naturalnie.

— I poznała pani panią Tomecką w pracy?

— Tak.

— Czy para wyjeżdża z wycieczkami także i za granicę?

— Oczywiście. Władam trzema językami; francuskim, angielskim i niemieckim.

— A pani Tomecka?

— Iwona mówiła biegle po rosyjsku, niemiecku i francusku. O ile mi wiadomo, angielskiego nie znała.

— Jak by pani scharakteryzowała panią Tomecką? Jaka ona właściwie była?

— Iwona była czarująca.

Grabicki uśmiechnął się.

— To dosyć ogólnikowa charakterystyka. Chciałbym się dowiedzieć czegoś bliższego, czegoś bardziej konkretnego.

Wanda wzruszyła nieznacznie ramionami.

— Cóż Ja mogę panu powiedzieć? Chyba tylko tyle, że to była bardzo fajna babka, ładna, efektowna, umiała się ubrać, a do tego inteligentna, sympatyczna, no jednym słowem z biglem. Faceci za nią szaleli. Prawie tak, jak za mną — dodała ciszej, skromnie spuszczać oczy i wygładzając na udach przesadnie krótką sukienkę.

— A propos: czy pani Tomecka miała adoratora?

— O, niejednego.

— Ale mnie chodzi o takiego stałego, z którym..

— Z którym by sypiała? Nie, o nikim takim nie wiem. I muszę panu powiedzieć, że Iwona prowadziła się bardzo przyzwoicie. W naszym zawodzie nie brak okazji, żeby z jakimś sympatycznym turystą... Ale jeżeli chodzi o Iwonę, to naprawdę była cnotliwa, czasem może nawet za bardzo. A przecież powinno się korzystać z życia, bo tylko raz się żyje. Prawda, panie kapitanie?

Pochyliła się ku przodowi. Udał, że nie zauważył zalotnego spojrzenia dziecięcych oczu. Szybkim ruchem poprawił krawat

i spytał;

— Czy pani Tomecka miała jakąś rodzinę, ojca, matkę, braci?

— Iwona była sierotą. Jako dziecko straciła oboje rodziców w katastrofie samochodowej. Wychowywała się u ciotki.

— Czy ta ciotka żyje?

— Tak. I cieszy się dobrym zdrowiem.

— Czy pani Tomecka mieszkała razem z ciotką? — spytał Grabicki, chociaż był już w tej sprawie poinformowany.

— Ach nie! Skądże znowu! — wykrzyknęła Wanda. — Iwona już dawno nie mieszkała z ciotką. W ogóle się z nią nie widywała.

— Jakies nieporozumienia rodzinne?

— Coś tam nie grało. Wie pan, jak to starsi ludzie...

— Czy zna pani może adres ciotki?

— Nie... nie pamiętam. Ale na pewno dowie się pan u pani Zofii. Ona wszystko wie.

Grabicki czuł, że mimo wszelkich usiłowań obecność tej dziewczyny pozbawia go zdolności prawidłowego myślenia. Postanowił skończyć rozmowę i pójść, aby dowiedzieć się o adres ciotki.

Pani Zofia, na szczęście, nie wzbudzała żadnych niepokojów. Groźnie patrzyła spoza dużych okularów, zwilżając od czasu do czasu czubkiem języka górną wargę, jakby w poszukiwaniu resztek smakowitego deseru. Miała dość opryskliwy sposób bycia i od dawna zakorzenioną niechęć do mężczyzn. Podała adres ciotki i z posępną twarzą spojrzała wyczekująco na intruza, który przerwał jej pracę.

— Czy coś jeszcze panu potrzeba? — spytała energicznie.

Grabicki wiedział z doświadczenia, że nie ma żadnych szans, aby od takiej kobiety można się było czegoś dowiedzieć, ale postanowił spróbować. Sprawa była poważna i nie wolno mu było niczego zaniedbać. Uśmiechnął się więc czarująco i nadając głosowi możliwie jak najbardziej aksamitne brzmienie, powiedział:

— Byłbym niesłychanie zobowiązany, gdyby pani zechciała udzielić mi jakichś informacji dotyczących pani Iwony Tomeckiej.

— A jakich ja mogę udzielić informacji? — burknęła niezyczliwie urzędniczka, poprawiając za duże okulary, które uparcie zsuwały się po długim, cienkim nosie.

— Każdy szczegół dotyczący pani Tomeckiej jest dla mnie istotny — nie rezygnował Grabicki. — Może pani zechciałaby ją scharakteryzować trochę dokładniej. Chciałbym wiedzieć, jakiego typu to była kobieta.

— Dobra pracownica, solidna, punktualna. To wszystko, co mogę o niej powiedzieć — ucięła krótko pani Zofia.

„Nic już nie wydebię od tego babsztyla” — pomyślał zawiedziony Grabicki. Zdobył się z pewnym trudem na jeszcze jeden czarujący uśmiech, pożegnał się i wyszedł. Był zawiedziony. Zdawał sobie sprawę, że nie potrafił wykorzystać dobrego źródła informacji, ale nie miał pojęcia, jak przełamać opór starej panny. „Nie umiem rozmawiać ani z młodymi, and z podstarzałymi babkami” — mruczał niezadowolony z siebie. „Tamta była za ładna, a ta znowu za brzydka. Cholerna sytuacja”.

Pani Wiktoria Mazurska mieszkała w Otrębusach. Odziedziczyła po mężu mały domek z ogrodem i hodowała kwiaty i króliki. Otrzymywała dość wysoką rentą, a poza tym dorabiała lekcjami. Uczyla niemieckiego, francuskiego i angielskiego. Mimo iż minęła jej sześćdziesiątka, była jeszcze kobietą pełną życia i energii. Wiedziała już o tragicznej śmierci siostrzenicy i odwiedziny przedstawiciela milicji wcale ją nie zdziwiły.

— To się musiało tak skończyć. Niestety, to się musiało tak skończyć.

— Dlaczego pani uważa, że to się musiało tak skończyć? — spytał Grabicki.

— No bo, proszę pana, jeżeli ktoś sobie tak organizuje życie, jeżeli ktoś się tak prowadzi... Ja chciałam jak najlepiej. Zrobiłam wszystko, żeby dziewczyna miała szczęśliwe życie. Pracowałam nad siłą, aby ją wychować, wykształcić, żeby był z niej człowiek jak się należy, a ona... Skończyła studium ję-

zykowe. Prosiłam, żeby zrobiła magisterium na romanistyce. Mówiłam, że jej pomogę, że przecież może u mnie mieszkać, że dam jej jeść, ale gdzie tam... Poleciała jak szalona. Nie chciała mnie znać. Ostatnio nawet wcale do mnie nie przyjeżdżała. Wiedziałam, że z tego nic dobrego nie może wyniknąć.

— Ale co konkretnie ma pani do zarzuceń, nia siostrzenicy? O ile się orientuję, pracowała, zarabiała uczciwie na utrzymanie.

Pani Wiktorja wybuchnęła drwiącym śmiechem.

— Powiada pan, że zarabiała uczciwie na utrzymanie. Ona się puszczała, zwyczajnie, ordynarnie się puszczała, jak pierwsza lepsza.

Te wszystkie wojaże, wycieczki, ci zagraniczni goście... Ach, proszę pana, to był tylko pretekst, to był teren działania. Wynajdywała sobie bogatych jegomościów z dolarami... Umiała robić te rzeczy, umiała omotać mężczyznę. Nic dziwnego, że Adaś ją rzucił.

— Jaki Adaś?

— No... Adaś Tomecki, jej mąż, prawdziwy, ślubny mąż. Nie mógł znieść tego wszystkiego i uciekł od niej.

— Czy pani się nie myli? — próbował oponować Grabicki — Może ktoś panią tle poinformował? Bo z tego, co ja słyszałem...

— Co pan mógł słyszeć? Co pan w ogóle może wiedzieć o Iwonie? Kto panu powie prawdę? Ja, tylko ja mogę panu powiedzieć prawdę. Nie wyobraża pan sobie nawet, jakie to dla mnie bolesne. Kochałam ją jak własną córkę. Wychowałam od dziecka. Kiedy miała dwa lata, jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Wzięłam dziecko do siebie Ale co tam teraz wspominać. Bóg mi świadkiem, że chciałam jak najlepiej. No cóż— nie udało się. Widocznie w życiu nie wystarczają dobre chęci. Zabili— zabili ją.

Grabicki czuł, że poza pełnymi goryczy słowami kryje się rozpacz, że ta kobieta byłaby skłonna wszystko przebaczyć siostrzenicy, byleby tylko do niej wróciła. Bał się jakiegoś gwałtowniejszego wybuchu, spazmów, płaczu— Dlatego też postanowił ograniczyć wizytę do kilku konkretnych pytań i przejąć inicjatywę w rozmowie.

— Może mi pani łaskawie powie, co się dzieje z byłym mężem

pani siostrzenicy?

— Przebywa stale za granicą. Mieszka w Paryżu.

— Czym się zajmuje?

— Pracuje w filmie, ale dokładnie nie wiem, co robi. Wiem tylko, że dużo podróżuje.

— Czy przyjeżdża do Polski?

— Tak. Nawet dosyć często.

— Czy odwiedza panią?

— Czasami.

— Kiedy go pani widziała po raz ostatni?

— W zeszłym roku na jesieni. To chyba był październik. Tak, tak, początek października.

— Czy wtedy rozmawiała z nim pani na temat pani Iwony?

— Nie. Nigdyśmy na jej temat nie rozmawiali.

— Czy to było małżeństwo z miłości?

— Tak. Adam bardzo ją kochał. I... wydaje mi się, że nie przestał jej kochać.

— Czy pani Iwona miała wrogów?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Ale w świecie, w którym żyła, nietrudno chyba o wrogów.

— Czy pani się jednak nie myli co do sposobu tycia siostrzenicy? Może doszły do pani jakieś nieprawdziwe wiadomości, złośliwe plotki?

Niecierpliwym ruchem odgarnęła kosmyk włosów spadający jej na czoło.

— Proszę mi takich rzeczy nie sugerować. Wiem, co mówię i odpowiadam za swoje słowa. Nie mam zwyczaju słuchać „złośliwych plotek”. Co pan sobie w ogóle wyobraża? Chyba nie oczerniałabym bezpodstawnie dziewczyny, którą kochałam jak rodzoną córkę.

— Przepraszam. Nie chciałem pani urazić

— powiedział Grabicki ze skruszoną miną. — To są ogromnie bolesne sprawy i przykro mi, że muszę z panią mówić na ten temat, ale...

Przerwała mu niecierpliwym ruchem ręki.

— Rozumiem, doskonale rozumiem. Nie potrzebuje się pan usprawiedliwiać. Prowadzi pan śledztwo i musi pan zdobyć jak

najwięcej informacji dotyczących Iwony. Co pan chce jeszcze wiedzieć?

Grabicki zawahał się. Pytanie, które od dłuższego czasu nie dawało mu spokoju, było bardzo drastyczne. Postanowił jednak zaryzykować.

— Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pani mogła mi wskazać kogoś, kto udzieliłby mi dodatkowych wiadomości o pani Tomeckiej.

— Nie wiem, o kogo panu chodzi. Iwona miała wielu znajomych.

— Chodzi mi o osobę, która była bliżej związana z panią Iwoną. Konkretnie: chciał, bym się dowiedzieć, czy pani Tomecka miała przyjaciela.

— Mówiłam Już przecież panu, że miała bardzo wielu przyjaciół.

— Tak, ale mnie chodzi o tego najważniejszego.

Wzruszyła ramionami.

— Nie interesowałam się życiem erotycznym mojej siostrzenicy. Słyszałam, że ostatnio żyła z jakimś malarzem, ale nie wiem, czy to prawda.

— Czy może zna pani nazwisko tego malarza?

— Nie.

Grabicki wstał.

— Dziękuję pani za rozmowę i przepraszam, że zabrałem tyle czasu.

Odprowadziła go do drzwi. Na pożegnanie w milczeniu skinęła głową.

Jadąc do Komendy, Grabicki poddał się niemiłemu uczuciu niepokoju. Kiedy obejmował prowadzenie tej sprawy, wierzył we własne siły i był pewien sukcesu. Teraz zaczynały ogarniać go wątpliwości. Czy sobie poradzi? Czy podola? Cała historia wyglądała na niezmiernie skomplikowaną i im dłużej się nad nią zastanawiał, tym bardziej pogłębiał się jego niepokój. Dotychczas w służbie śledczej sprzyjało mu szczęście. Zdobył sobie opinię dobrego fachowca i nie miał ochoty jej stracić, a jeżeliby się potknął na tej sprawie, to... Nie chciał jednak ulegać nastrojom depresyjnym. Otrząsnął się więc z chwilowego

przygnębienia i zaczął się zastanawiać nad dalszym działaniem.

Tak był pogrążony w rozmyślaniach, że nawet nie zauważył, kiedy samochód zatrzymał się przed Pałacem Mostowskich.

— Jesteśmy na miejscu, obywatelu kapitanie — powiedział kierowca, widząc, że jego pasażer nie ma zamiaru wysiąść.

Porucznik Olszewski czekał już z gotowym nakazem rewizji,

— No i jak wam poszło? — spytał.

Grabicki opowiedział mu o przeprowadzonych rozmowach.

— To wszystko zapowiada się interesująco — zakończył. Nie wspomniał oczywiście ani słowem o swoich niepokojach.

Olszewski pokiwał głową.

— Tak. Muszę wam się przyznać, że przeczuwam jakieś dodatkowe komplikacje. Sprawa nie wygląda na banalną. Już w tej chwili mamy sporo różnych powiązań. W ogóle nie wiadomo, czy my to będziemy prowadzić?

— Dlaczego? — zachnął się Grabicki. — Oczywiście, że ja to będę prowadził.

— Czasami tego rodzaju sprawy przejmuje kontrwywiad — uśmiechnął się Olszewski. — Ale nie uprzedzajmy wypadków. Chcecie teraz jechać do mieszkania Tomeckiej?

— Oczywiście. Trzeba to jak najprędzej załatwić.

Iwona Tomecka mieszkała na Saskiej Kępie. Duży, ładny pokój i równie duża kuchnia. Metraż nieprzepisowy. Umeblowanie typowe: tapczan, stół, małe biureczko, dwa foteliki, trzy wyściełane krzesła, telewizor, półki na książki. Wszystko nowe, wszystko z Centrali Meblowej. Na ścianach parę reprodukcji z Klubu Prasy i Książki, a na podłodze tani dywan z Cedetu. Wnętrze najzupełniej bezosobowe. Tylko wędnące na balkonie, dawno nie podlewane pelargonie wskazywały, że właścicielka tego mieszkania lubiła kwiaty.

— Ładnie babka mieszkała — powiedział Grabicki.

Olszewski pokiwał głową.

— Tak. Metraż co najmniej na trzy osoby. Przyjemnie urządzone. Od czego zaczniemy?

— Zajmijcie się biurkiem, a ja zajrzę do szafy w przedpokoju.

Zaledwie jednak Olszewski zdążył otworzyć szufladę biurka,

kiedy posłyszał wołanie:

— Kolego, pozwólcie tu na chwilę!

Grabicki stał nad stertą rzeczy, leżących bezładnie na podłodze. Drzwi szafy były otwarte.

— Spójrzcie! Wszystko wypadło, jak tylko pociągnąłem za drzwi. Nieprawdopodobne, żeby kobieta miała taki potworny bałagan w szafie.

Olszewski potrząsnął głową.

— Wygląda na to, że ktoś nas uprzedził. Nie my pierwsi przeprowadzamy tu rewizję. Proponuję, żebyśmy nie rozpoczynali naszej działalności, zanim nie zdobędziemy odcisków palców. To nam się może bardzo przydać.

Podczas gdy Olszewski łączył się z Komendą, Grabicki dokładnie zbadał zamki przy drzwiach wejściowych.

— Zaraz tu będą — powiedział porucznik, odkładając słuchawkę. — Obejrzelście drzwi?

— Tak. Żadnych śladów włamania. Ten ktoś musiał mieć klucze. — Grabicki wskazał foteliki i wyjął papierosy. — Chyba usiądziemy. Nie będziemy tak na stojąco na nich czekać. Macie zapalki?

— Nie. Ja nie palę. Widziałem w kuchni zapalniczkę, ale chyba lepiej jej nie ruszać.

— Zapalniczka? — zainteresował się Grabicki. — Ciekawe. Z sekcji zwłok wynika, że Tomecka była niepaląca. Oczywiście, że na razie nie będziemy ruszać tej zapalniczki. Musimy uzbroić się w cierpliwość.

Nie czekali zbyt długo. Po upływie pół godziny pojawili się fachowcy od daktyloskopii i nie tracąc czasu zabrali się do roboty.

Grabicki nie mógł ukryć podziwu. Pochylił się ku porucznikowi i szepnął:

— Fantastycznie pracują. Co za precyzja ruchów.

Olszewski uśmiechnął się.

— Kwestia wprawy. Mają ogromną praktykę. Jakby zaczęli się bawić, moglibyśmy tu i tydzień siedzieć.

Mimo wszystko to trwało jednak około dwóch godzin. Zarówno Grabickiemu jak i Olszewskiemu zależało na

skrupulatnym zabranii materiału daktyloskopijnego w całym mieszkaniu.

Kiedy wreszcie zostali sami, zaczęli przeprowadzać dokładną rewizję, która jednak dłuższy czas nie dawała żadnych rezultatów.

Powątpiewali już, czy w ogóle zdobędą tu coś ciekawego.

— Psiakrew! — klął Grabicki. — Nic, zupełnie nic. Przeszukałem wszystkie rzeczy w tej szafie — bez rezultatu. No, owszem, sporo zagranicznych ciuchów, ale wiemy, że babka podróżowała. Nic nowego.

W pewnej chwili Olszewski wyjął z biurka stary, wyblakły zeszyt, w którym były jakieś notatki służbowe, rozliczenia, spisy osób, biorących udział w wycieczkach-.. Wszystko ko sprzed roku. Spomiędzy kartek wypadł na podłogę list, pisany na bibułce, jakiej się używa do korespondencji lotniczej. Porucznik przebiegł go oczami i podał koledze.

Grabicki przeczytał i zmarszczył brwi.

— Miłosny list — powiedział, obracając w palcach kartkę papieru. — „Twój na zawsze Stach”. Hm. Trzeba będzie poszukać tego Stacha. To musi być ktoś, kto rzadko zajmuje się korespondencją, bo ani daty, ani miejscowości, skąd list został napisany. Nie ma tam gdzieś koperty?

— Nie. Czy zauważyliście, że oprócz wyznań miłosnych są tu i groźby?

Grabicki skinął głową.

— Oczywiście. — Przeczytał głośno: „Błagam cię, wróć do mnie. Zrobię wszystko, co zechcesz. Nie wyobrażam sobie życia bez Ciebie. Jeżeli nie wrócisz, to stanie się coś strasznego. Zabiję Cię, a później odbiorę sobie życie. Nie doprowadzaj mnie do ostateczności.”

— Sformułowania raczej banalne — uśmiechnął się Olszewski. — Ale treść najzupełniej przejrzysta.

— To prawda — przytaknął Grabicki. — Treść przejrzysta. Nie wiem dlaczego, ale odnoszę wrażenie, że za tymi stereotypowymi słowami kryje się rzeczywistość, nie udana rozpacz.

— Może dlatego tak wam się wydaje, że groźba została

spełniona. Dobrze byłoby sprawdzić, czy jakiś Staszek w ostatnich dniach nie odebrał sobie życia.

Grabicki ożywił się.

— A wiecie, że to dobra myśl. Tylko takie sprawdzenie jest dosyć skomplikowane. Nie wiemy, gdzie facet mieszka, ani jak się nazywa. List został pewnie przesłany pocztą lotniczą. Jeżeli mieszka stale za granicą...

— Żeby zabić, musiał tu przyjechać — zauważył Olszewska. — Nie sposób jednak przesłuchać wszystkich Stanisławów, którzy w ostatnich miesiącach przyjechali do Polski.

— Właśnie — westchnął Grabicki. — To zupełnie niemożliwe. Zresztą nie mamy przecież pewności, że autor listu jest mordercą. Nieraz dużo się mówi i pisze, a potem....

— Otóż to! Często ludzie wyzywają się w groźbach, których w gruncie rzeczy nigdy nie mają zamiaru spełnić.

Wrócili do przerwanej roboty. Na nic jednak interesującego nie natrafili. Nie znaleźli nawet nic takiego, co by pozwoliło rzucić jakieś światło na osobowość właścicielki mieszkania. Wszystko tu było niesłychanie bezosobowe. Pozostała więc tylko zapalniczka. Grabicki obejrzał ją bardzo dokładnie.

— Jest nawet monogram — powiedział — A. S. Dziwne, ale wydaje mi się, że ja już gdzieś widziałem tę zapalniczkę. A. S. Pierwsze litery imienia i nazwiska zgadzałyby się. Ciekawe. Muszę to sprawdzić.

— Kogo macie na myśli? — spytał zaintrygowany Olszewski.

Grabicki pokręcił głową.

— Nie, nie, nie chcę na razie o tym mówić. Prawdopodobnie to są tylko przypuszczenia, nie mające nic wspólnego z rzeczywistością. Wiecie co, kolego? Miałbym wielką ochotę odnaleźć malarza, z którym Tomecka podobno romansowała.

— Ale gdzie go szukać?

— Malarza najlepiej szukać między malarzami. W „Orbisie” obiecali mi przygotować listę uczestników wycieczki. Pojadę zaraz do nich i spróbuję się czegoś dowiedzieć o tym amancie. Brać artystyczna lubi sobie poplotkować. Jestem pewien, że ktoś tam coś będzie wiedział na ten temat. Trzeba spróbować. A może właśnie malarz okaże się owym zakochanym do

szaleństwa Stanisławem?

— A jak ma na imię były mąż Tomeckiej? — spytał Olszewski.

— Adam. Także pasuje. A propos: warto by sprawdzić, czy ten facet przebywa obecnie w Polsce.

— Zupełnie słusznie — przytaknął porucznik. — Wobec tego miałbym taką propozycję: wy pojedziecie do „Orbisu” po listę, a ja zajrzę do biura paszportowego i ewentualnie do MSW. Dowiem się o Tomeckiego.

Grabicki z zadowoleniem przyjął plan działania. Nie chciał wszędzie występować w towarzystwie Olszewskiego. Trochę się jednak obawiał, że później będzie się musiał z nim dzielić ewentualnym sukcesem.

Pojechał do „Orbisu”. Lista już była przygotowana. Grabicki przejrzał ją uważnie, ale nazwiska nic mu nie mówiły. Ze światem artystycznym nie miał przecież nic wspólnego. Na chybił trafił wybrał Annę Mierzwińską i pojechał do niej w Aleje Jeruzolimskie. Uważał, że kobieta lepiej będzie zorientowana w romantycznych przeżyciach swych kolegów. I nie omylił się.

Pani Anna rezydowała na szóstym piętrze. Był to kawałek strychu przerobiony na pracownię malarską. Duża przestrzeń pozwalała na szeroka rozmach twórczy. Można tu było z powodzeniem namalować nową wersję bitwy pod Grunwaldem. Ani śladu przysłowiowego artystycznego bałaganu. Wszędzie w najmniejszym nawet kąciku, wyczuwało się staranną, kobiecą rękę. Czyściutko, każda rzecz na swoim miejscu. Świeże kwiaty w glinianych wazonach, dokładnie zamieciona podłoga, wyczyszczony dywan...

Grabicki doznał jak gdyby uczucia pewnego zawodu. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie pracownię malarską. Był nawet trochę zażenowany panującym tu nieomal pedantycznym porządkiem.

Malarka odsunęła sztalugi, na których zielenił się wiosenny pejzaż i wskazała gościowi duży, staroświecki fotel.

— Proszę, niech pan siada. Napije się pan kawy?

— Nie, nie, dziękuję bardzo — zaprotestował energicznie Grabicki. — Ja... właściwie... do pani w sprawie urzędowej.

Uśmiechnęła się.

— Czy sądzi pan, że nie można rozmawiać o sprawach urzędowych przy filiżance mocnej kawy?

— Chyba można... — Nie wiadomo dlaczego był coraz bardziej speszony.

— No więc właśnie! Ja także mam ochotę na kawę. Zaraz zaparzę. Woda się zagotowała. Nic nie stoi na przeszkodzie.

Z zaciekawieniem obserwował jej zgrabną sylwetkę. Poruszała się lekko i zwinnie. Siwe włosy, upięte w wysoki, stylowy kok, oryginalnie kontrastowały z mocno opaloną, niestara jeszcze twarzą. Trudno było określić wiek tej kobiety. Mogła mieć zarówno czterdzieści parę jak i sześćdziesiąt lat.

Ustawiła filiżanka z kawą na niskim stoliczku, na kryształowy talerzyk wysypała krusze ciasteczka i z umiarkowanym zaciekawieniem spojrzała na Grabickiego.

— Jestem z milicji — powiedział.

— O! — Była wyraźnie zaskoczona. — Czyżbym coś przeszkrobała? Doprawdy nie przypominam sobie. Samochodu, na szczęście, nie posiadam, nikogo nie okradłam ani nie popełniłam żadnej zbrodni...

— To nie chodzi o panią. — Nie podjął jej żartobliwego tonu. — Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa.

— Interesujące! Nigdy nie miałam nic wspólnego ze sprawą kryminalną, ale nie bardzo się orientuję....

— W zeszłym tygodniu brała pani udział w wycieczce.

— Tak. Zwiedzaliśmy zabytkowe pałace.

— Wycieczkę tę prowadziła pani Iwona Tomecka.

— Tak. Bardzo miła, kulturalna osoba. Ma dużo wiadomości.

— Została zamordowana — przerwał Grabicki.

Ręka malarki zadrżała gwałtownie. Postawiła na stoliku filiżankę. — Niemożliwe!

— Niestety .

— Straszne... Dlaczego...? Kto to zrobił...?

— Usiłuję się tego dowiedzieć. Właśnie w tym celu pozwoliłem sobie odwiedzić panią.

Była bardzo zmieszana.

— Cóż ja...? Ja jej przecież prawie nie znałam. Drugi czy

trzeci raz towarzyszyła nam podczas wycieczki.

— A tamte wycieczki, gdzie były organizowane, na jakich terenach?

— Raz jeździliśmy do Drezna, żeby zwiedzić Galerię Drezdeńską, a drugi raz byliśmy na Dolnym Śląsku.

— Czy pani Tomecka mówiła dobrze po niemiecku?

— Nie znam niemieckiego, ale słuchając odniosłam wrażenie, że chyba bardzo dobrze.

— Czy podczas ostatniej wycieczki była z państwem jakaś Niemka?

— Austriaczka, wiedenka, malarka z Wiednia. Przyjechała do Warszawy na zaproszenie naszego związku.

— I pani Tomecka rozmawiała z nią po niemiecku?

— Tak. Czy widzi pan w tym coś niezwykłego?

Grabickiemu wydało się, że w pytaniu zadźwięczała ironia. Nie zwrócił jednak na to uwagi. Spytał:

— Czy nie odniosła pani wrażenia, że pani Tomecka już dawniej знаła tę austriacką malarkę?

— Nie. Nie zauważyłam. Zresztą przyznam się panu, że specjalnie się nad tym nie zastanawiałam. Czy to jest powód pańskich odwiedzin?

— Niezupełnie. Pytanie zadałem raczej przy okazji. Widzi pani... Prowadząc śledztwo w sprawie tego morderstwa, muszę, rzecz jasna, zebrać jak najwięcej materiału informacyjnego dotyczącego osoby pani Tomeckiej. Jeżeli mam się pokusić o zdemaskowanie sprawcy zbrodni, muszę coś wiedzieć o zamordowanej.

— To zrozumiałe.

— No więc właśnie! Muszę się zorientować, kim była, jakie miała usposobienie, jakie zamiłowania, z kim się przyjaźniła, w czym towarzystwie najczęściej przebywała, czy miała wrogów...? No, jednym słowem, potrzebne mi są szczegóły, które pozwolą rzucić trochę światła na kulisy sprawy.

Patrzyła na niego uważnie. W dużych, ciemnych oczach błyszczało zainteresowanie

— Chętnie bym panu pomogła, ale doprawdy nie mam pojęcia, jak to zrobić.

— To proste. Proszę mi tylko pomóc ustalić pewne fakty.

— Jakie fakty?

— Zbierając informacje dotyczące osoby pani Tomeckiej, zdołałem się dowiedzieć, że przyjaźniła się z jakimś malarzem. Niech mi pani pomoże ustalić nazwisko tego malarza, od którego niewątpliwie mógłbym się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy.

W oczach pani Mierzwińskiej pojawiło się wahanie.

— Nie interesuję się flirtami moich kolegów — powiedziała wolno. — Chyba źle pan trafił.

Grabicki w Jednej chwili zorientował się, że musi uderzyć mocno i zdecydowanie. Postanowił zabluffować.

— Chyba pani sobie nie wyobraża, że przyszedłbym tutaj, nie wiedząc, że właśnie pani może mi w tej sprawie udzielić informacji.

Była zdenerwowana.

— Czego pan właściwie chce ode mnie? — spytała odwracając głowę.

— Chcę się dowiedzieć nazwiska malarza, który był kochankiem Iwony Tomeckiej.

— Chyba pan nie przypuszcza, że to on ją zamordował?

Ładunek emocjonalny zawarty w tych słowach był tak widoczny, że Grabicki nie miał już wątpliwości, iż zupełnie przypadkowo trafił na właściwą osobę. Musiał wykorzystać ten przypadek.

— Proszę mi wierzyć, że nie mam najmniejszego zamiaru robić pani przykrości. Chodzi mi tylko i wyłącznie o nazwisko tego człowieka. O nic go nie podejrzewam, ale rozmowa z nim jest mi niezbędna do uzupełnienia informacji dotyczących pani Tomeckiej. Jeżeli jednak będzie się pani upierać, to, oczywiście, zaistnieją niepotrzebne komplikacje. Będziemy musieli zaprosić panią na przesłuchanie do Komendy. Chciałem oszczędzać pani przykrości, ale...

Poskutkowało. Powiedziała bardzo cicho: — Marek Świdnicki. — Następnie wstała i sprzątnęła ze stolika filiżanki.

Marek Świdnicki miał pracownię na Nowym Mieście. Legendarna stajnia Augiasza mogła być uważana za wzór czystości i porządku w porównaniu z tym pomieszczeniem. Dziesięciu Heraklesów miałyby pełne ręce roboty. Tego już nie można było nawet nazwać artystycznym nieładem. To był po prostu chlew.

Grabicki doznał uczucia pewnej satysfakcji. Okazało się bowiem, że jego wyobrażenie o malarskiej pracowni nie odbiega tak zupełnie od rzeczywistości. Stał teraz wśród stosów brudnych papierów, szczątków bleitramów i pustych słoików po farbach i bezradnie rozglądał się za jakimś meblem, na którym mógłby usiąść.

Świdnicki nie zwracał najmniejszej uwagi na gościa. Pochłonięty był wyciskaniem z tub farb na ogromne płótno. Co chwila odbiegał od sztalug i mrużąc oczy sprawdzał efekt swojej działalności. Trwało to dosyć długo.

Wreszcie Grabicki znecierpliwiał się. Chrząknął i powiedział donośnym głosem:

— Jestem z milicji. Przyszedłem do pana w sprawie zamordowania Iwony Tomeckiej.

Efekt tych słów był piorunujący. Malarz zamarł z podniesioną do góry tubą, z której czerwona farba zaczęła obficie wyciekać na podłogę.

— Co pan powiedział?

— Przyszedłem w sprawie zamordowania Iwony Tomeckiej — powtórzył Grabicki.

— To kłamstwo! To niemożliwe!

— Bardzo mi przykro, ale to prawda.

Świdnicki usiadł ciężko na zardzewiałej, metalowej puszcze. Mogło się zdawać, że nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

— Iwona... Iwona— Niemożliwe... niemożliwe — powtarzał ogłuszony nagłą wiadomością.

Grabicki znalazł wreszcie wśród tej rupieciarni bardzo stare, pamiętające zapewne czasy pierwszej wojny światowej, krzesło, usiadł na nim ostrożnie i zapalił papierosa.

— Więc pan znał panią Iwonę Tomecką?

— No chyba... — mruknął Świdnicki. Robił wrażenie małego, zmartwionego chłopca, któremu ktoś zepsuł ulubioną zabawkę.

— Czy to prawda, że Iwona Tomecka była pańską przyjaciółką?

W postawie malarza zaszła nagle zmiana. Wstał z metalowej puszki i wyprostował się na całą wysokość. Był to duży mężczyzna, potężnie zbudowany. Wyglądał raczej na zapaśnika ciężkiej wagi aniżeli na artystę.

— A pana co to właściwie obchodzi? — spytał agresywnie. — To są moje prywatne sprawy i nie mam najmniejszego zamiaru rozmawiać z kimkolwiek na ten temat.

Grabicki nie od razu zareagował. Skończył palić papierosa, powoli go zgasił i dopiero po chwili się odezwał. Głos jego brzmiał łagodnie:

— Doskonale rozumiem pańskie rozdrażnienie i nie mam panu za złe, że zachowuje się pan w stosunku do mnie niezbyt uprzejmie. Pragnę panu jednak wyjaśnić, że to właśnie ja prowadzę śledztwo w sprawie zamordowania Iwony Tomeckiej, która była pańską przyjaciółką. Powinien pan sobie uświadomić, że bardzo łatwo może się pan znaleźć w kręgu osób podejrzanych o tę zbrodnię.

— Ja miałbym zabić Iwonę?! Pan chyba oszalał?!

Grabicki stracił cierpliwość.

— Jestem zmuszony przywołać pana do porządku. Reprezentuję milicję i występuję w tej chwili zupełnie oficjalnie. Proszę więc o odpowiednie zachowanie się. W przeciwnym razie będę zmuszony zabrać pana ze sobą do Komendy Miasta, gdzie zostanie pan przesłuchany. Jeżeli panu nie odpowiada forma towarzyskiej rozmowy...

Świdnicki zmiękł. Od razu opuściła go pewność siebie. — Przepraszam — bąknął speszony. — Przepraszam, ale jestem tak zdenerwowany—

— Więc pani Iwona Tomecka była pańską przyjaciółką? — nastawał Grabicki.

— Tak. ale to dawno przebrzmiała historia.

— Jak dawno?

— Już od szeregu miesięcy nic nas nie łączyło poza uczuciem

przyjaźni. Bardzośmy się lubili...

— Proszę mi wybaczyć, że poruszam takie osobiste sprawy — powiedział poważnie Grabicki — ale zmuszają mnie do tego okoliczności. Chciałbym się dowiedzieć, czy to pani Tomecka odeszła od pana, czy też pan od niej?

Malarz uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Trudno mi odpowiedzieć. Myślę, że jakoś oboje doszliśmy do pewnych wniosków, które...

— Czy pan brał udział w ostatniej wycieczce, którą prowadziła pani Tomecka?

— Tak.

— Czy pan wrócił z wycieczką do Warszawy?

Świdnicki wyglądał aa zaskoczonego.

— Nie. Dlaczego pan pyta?

— Przez zwykłą ciekawość. Więc pan nie wrócił do Warszawy autokarem?

— Nie.

— Dlaczego?

— Wysiadłem po drodze, niedaleko Sochaczewa. Mój przyjaciel ma tam taką małą gospodarkę. Pasięka, sad, kury. Postanowiłem go odwiedzić.

— I zastał pan przyjaciela w domu?

— Nie. To była sobota, a Antoś przeważnie wyjeżdża na sobotę i niedzielę do Warszawy. Lubi się zabawić. Ma wóz, więc to mu bardzo ułatwia.

— I co pan zrobił, gdy pan nie zastał przyjaciela w domu?

— Zanocowałem u niego.

— To Jednak ktoś tam był?

— Nie było nikogo, ale Ja mam klucz od domu Antosia. Jak go nie ma, sam gospodaruję.

— I kiedy pan wrócił do Warszawy?

— W poniedziałek rano. W niedzielę wieczór przyjechał Antoś. Pogadaliśmy jeszcze i w poniedziałek...

— Jak się nazywa pański przyjaciel?

— Antoni Woźniak. Przemiły chłop! Jakby pan kiedyś potrzebował dobrego, prawdziwego miodu...

— I nie boi się ten pański przyjaciel zostawiać gospodarkę bez

opieki?

— Jakoś się nie boi. Ma dwa duże, bardzo złe psy. Poza tym liczy na życzliwość sąsiadów.

— Rozmawiał pan z sąsiadami?

— Nie. Tym razem z nikim nie rozmawiałem. Czy pan usiłuje sprawdzić moje alibi?

Grabicki nie odpowiedział. Zapalił nowego papierosa, wstał i przeszedł się po pracowni.

— Co mógłby mi pan powiedzieć na temat pani Tomeckiej?

— Nie bardzo rozumiem.

— Widzi pan, mistrzu... jeżeli chcę wyjaśnić tajemnicę tragicznej śmierci pani Tomeckiej, muszę o niej jak najwięcej wiedzieć. Interesuję się na przykład, czy odeszła od pana dla jakiegoś innego mężczyzny?

Twarz Świdnickiego poszarzała.

— Nie mogę wykluczyć takiej ewentualności — rzekł z pewnym wysiłkiem — chociaż nic konkretnego nie wiem.

Grabicki był prawie pewien, że jest inaczej, ale nie nalegał. Spytał:

— A może wiadomo panu o jakimś adoratorze pani Tomeckiej, który ma na imię Stanisław?

— Nie.

— Komu mogło zależeć na śmierci tej kobiety? Jak pan sądzi?

— Nie mam pojęcia. O ile się orientuję, Iwona nie miała wrogów. Wprost przeciwnie. Wszyscy ją bardzo lubili. Była niezwykle miła, uczynna, towarzyska. Miała dar zjednywania sobie ludzkiej sympatii. Nigdy bym nie przypuścił, że ktoś może jej wbić nóż w serce.

— Dlaczego pan sądzi, że pani Tomecka została zamordowana nożem? — spytał Grabicki, z trudem opanowując wrażenie, jakie na nim wywarły te słowa.

Malarz zmieszał się.

— Nie wiem... Tak sobie powiedziałem. Przecież nie wiem, że nożem. Skądże miałbym wiedzieć?

— No właśnie! Skąd pan miałby wiedzieć? Ciekawe. Czy w ostatnich czasach bywał pan w mieszkaniu pani Tomeckiej?

— Nie. Mówiłem panu przecież, że od szeregu miesięcy łączył

nas tylko bardzo luźny stosunek. Nie bywałem u niej.

Grabicki pokiwał głową.

— Tak, tak, rozumiem. Chciałbym jednak, żeby się pan nad tym dobrze zastanowił. W mieszkaniu pani Tomeckiej zebraliśmy szczegółowy materiał daktyloskopijny. Gdyby więc okazało się, że w tym materiale znajdują się odciski pańskich palców, to mogłaby się wytworzyć trochę niezręczna sytuacja. Nie sądzi pan?

Świdnicki z pewnym wysiłkiem przełknął ślinę.

— No cóż... mogło się zdarzyć, że kiedyś tam na chwilę do niej wpadłem... Teraz już dobrze nie pamiętam. Taki jestem skołowany tym wszystkim, że sam już nie wiem co, jak, gdzie i kiedy...? Możliwe. Nie wiem. Proszę mi nie mieć za złe, ale naprawdę nie pamiętam.

Grabicki wstał.

— Nie będę już pana dłużej męczył. Być może, że jeszcze kiedyś wrócimy do naszej rozmowy. Na razie dziękuję i do widzenia.

Mimo spóźnionej pory, w Komendzie czekał Olszewski.

— No i jak wam poszło? — spytał.

Grabicki pokrótce opowiedział o przeprowadzonych rozmowach, usiłując wyeksponować swoje strategiczne zdolności.

— Tak, tak — pokiwał głową porucznik. — To zawsze tak bywa na początku. Im więcej zbiera się materiału, tym sprawa wydaje się bardziej zagmatwana. Miejmy jednak nadzieję, że do czegoś się dogrzebiemy wspólnymi siłami.

Ten zwrot „wspólnymi siłami” niezbyt zachwycił Grabickiego. Usiłując nie okazać niechęci, spytał:

— A co z Tomeckim? Dowiedzieliście się czegoś o nim?

— Tak. Jest w Warszawie. Mieszka w „Bristolu”.

— Jak dawno przebywa w Polsce?

— Około dwóch miesięcy.

— Ciekawe, czy ma alibi.

— O, właśnie! — podchwycił porucznik. — Warto by to

sprawdzić. Tylko nie bardzo wiem, jak do tego podejść. Nie mamy żadnych podstaw, żeby go wprost spytać.

Grabicki westchnął.

— Tak, macie rację. Ale w każdym razie należy z nim porozmawiać. Zobaczymy, jak się potoczy ta rozmowa.

— Jeżeli nie jesteście zbyt zmęczeni, możemy spróbować jeszcze dzisiaj. Może go zastaniemy w hotelu.

Grabicki zawahał się. Spojrzał na zegarek.

— Czy nie za późno?

— Ale skąd! Taki paryżanin nie chodzi spać z kurami. Zresztą nic nie ryzykujemy. Najwyżej będziemy musieli odłożyć to do jutra. Czym prędzej jednak zawrzemy znajomość z Tomeckim, tym lepiej.

Pojechali do „Bristolu”.

Mieli szczęście. Kiedy bowiem spytali o pana Tomeckiego, urzędniczka z recepcji powiedziała:

— O, właśnie idzie do windy. To ten pan w zielonym ubraniu.

Był wysoki, szczupły, lekko pochylony. Duże, ciemne oczy południowca, przesłonięte mgiełką filozoficznej zadumy. Twarz śniada o delikatnych, chłopięcych rysach. W bujnej kasztanowatej czuprynie srebrzył się gdzieniegdzie siwy włos. Grabicki ocenił go na trzydzieści kilka lat.

Spotkanie z oficerami milicji bynajmniej go nie zdziwiło.

— Jeżeli panom to odpowiada, możemy nawet zaraz porozmawiać w moim pokoju — powiedział łagodnym, trochę jakby rozleniwionym głosem. — Proszę.

Wsiedli do windy i pojechali na czwarte piętro.

Tomecki usadowił gości i bezradnie rozejrzał się po hotelowym pokoju.

— Przykro mi, że nie mam czym panów poczęstować, ale nie spodziewałem się żadnych odwiedzin.

Grabicki i Olszewski wymienili znaczące spojrzenia. Wystarczyło przecież podnieść słuchawkę i zamówić butelkę koniaku albo maszynkę kawy. Nie przyjęliby, oczywiście, poczęstunku, ale to usprawiedliwianie się wydało im się zupełnie niepotrzebne.

Tomecki usiadł i wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

— Proszę, może panowie zapalą. Domyślam się, że panowie mnie odwiedzili w związku z nagłą śmiercią mojej byłej żony.

Był zupełnie opanowany. Robił wrażenie człowieka zmęczonego, a może znudzonego. Mówił wolno, beznamiętnie, jakby z pewnym wysiłkiem.

— Od kogo dowiedział się pan o śmierci swojej byłej żony? — spytał Grabicki.

— Och, w tym kraju tego rodzaju wiadomości rozchodzą się błyskawicznie. Już nawet nie pamiętam, kto mi to pierwszy powiedział.

— Pan mieszka stale w Paryżu, tak?

— Tak. Jestem obywatelem francuskim. Moja matka była Francuzką.

— Czy mógłby nam pan powiedzieć, w jakim celu przyjechał pan do Polski?

Uśmiechnął się blado.

— Oczywiście. To nie sekret. Mam tu rodzinę, rodzinę ojca. A poza tym łączą mnie z tutejszym terenem interesy handlowe.

— Jakiego rodzaju są te interesy handlowe? — spytał Grabicki.

— Pracuję w branży filmowej. Reprezentuję jedną z francuskich wytwórni filmowych. Ostatnio mamy zamiar nawiązać kontakt z polską kinematografią w celu wspólnego zrealizowania filmu z czasów wojen napoleońskich.

Grabicki pokiwał głową.

— Bardzo interesujące. Więc pan właśnie w tych sprawach artystycznych przyjechał do Warszawy?

— Tak. Przy okazji odwiedziłem rodziną.

— Czy to nie będzie zbyt ciekawość, jeżeli zapytam, gdzie mieszka pańska rodzina?

Tomecki nieznacznie wzruszył ramionami.

— Nie widzę wprawdzie, co to ma za związek ze śmiercią mojej byłej żony, ale jeżeli panów interesuje moja rodzina... A więc mam rodzinę w Krakowie, w Lublinie» w Warszawie, na wsi...

— Gdzie na wsi?

— Pod Sochaczewem. Cioteczny brat mojego ojca ma tam

małą gospodarkę.

— Jak się nazywa ten pański stryj?

— Antoni Woźniak. Ale naprawdę nie rozumiem, o co panu chodzi?

Grabicki uśmiechnął się.

— Nieważne. Tak zapytałem. Ma pan rację, że to nie ma nic wspólnego ze sprawą.

A więc do rzeczy. Jest pan poinformowany, że pańska była żona została zamordowana?

— Tak.

— Musiała pana zaskoczyć ta wiadomość?

— Oczywiście. To chyba zrozumiałe.

— Czy nie ma pan jakichś podejrzeń...? To znaczy, czy nie domyśla się pan, kto mógł popełnić tę zbrodnię i na jakim tle?

Tomecki potrząsnął głową.

— Nie mam pojęcia, kto mógł zabić Iwonę. Zresztą od czasu naszego rozvodu prawie się z nią nie komunikowałem. Właściwie nie wiem, z kim ostatnio przestawała, w jakim się obracała towarzystwie...

— Czy w czasie obecnego pobytu w Polsce, widział się pan z panią Iwoną?

— Nie.

— I nie był pan u niej w mieszkaniu?

— Nie. Skądże! Mówię przecież panom, że w ogóle straciłem z nią kontakt.

— I wcale pan się z nią nie widywał?

— Wcale. No... chyba że przypadkowo w jakimś towarzystwie. Ale raczej unikałem takich spotkań. Jeżeli coś likwiduję, to definitywnie. Nie po to się rozwiodłem, żeby widywać się z moją byłą żoną. Zamknąłem ten rozdział życia i koniec, kropka.

— Sądzę, że to jest właściwe stanowisko — powiedział Grabicki. — Wprawdzie teraz jest w modzie otaczać się byłymi i obecnymi żonami, ale to są bardzo indywidualne sprawy. Więc z tego, co pan mówi, wnioskuję, iż nie bardzo może pan dopomóc w wyświetleń tej zbrodni?

Tomecki bezradnym ruchem rozłożył ręce.

— Bardzo żałuję, proszę panów, ale doprawdy nie widzę, w

czym mógłbym być pomocny.

— Czy pan zna panią Wiktorię Mazurską?

— spytał nagle Grabicki.

— Ciotkę Iwony? Oczywiście, że znam.

— Czy pan ją odwiedza?

— Bardzo rzadko.

— Czy to z powodu rozwodu?

— Ach, nie, nie o to chodzi. Po prostu mam niewiele czasu, a poza tym rozmowa z ciotką Wiktorią bardzo mnie nuży. Już starsza kobieta... Pan rozumie? Skleroza. Wszystko zapomina, przekreśla. Coś jej się tam wydaje. Trudno się z nią dogadać. Od czasu do czasu ją odwiedzam, ale to dosyć uciążliwy obowiązek. Zresztą ma rodzinę. Nie jest znowu taka okropnie samotna.

Grabicki spojrział na Olszewskiego.

— No cóż? Chyba już nie będziemy zabierać czasu panu Tomeckiemu? Późno. Porucznik poderwał się skwapliwie.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Olszewski spytał: — No i co wy myślicie o tym facecie? Grabicki wykonał nieokreślony ruch ręką.

— Diabli go wiedzą. To wszystko nie wygląda zbyt wyraźnie. Po pierwsze. Jestem prawie pewien, że on się jednak kontaktował ze swoją byłą żoną. Po drugie, nie rozumiem dlaczego koniecznie z tej ciotki chce zrobić starą, nieodpowiedzialną wariatkę. Przecież z nią rozmawiałem. Babka na chodzie, super- me normalna. Ani śladu jakichś sklerotycznych zahamowań. To prawda, że nie byłem u niej zbyt długo. Ale wydaje mi się, że Tomecki powiedział to celowo. Chciał się na wszelki wypadek zabezpieczyć. Czegoś się boi. Mam wrażenie, że będę musiał jeszcze raz odwiedzić ciotkę Wiktorię. No i sprawa stryja Woźniaka. Przecież to Świdnicki się z nim przyjaźni. Co za zbieg okoliczności!

— Rzeczywiście — przyznał Olszewski. — Fantastyczny zbieg okoliczności. I tego stryja też chyba odwiedzimy.

— Naturalnie. Trzeba mu się przyjrzeć.

— Może pojedziemy jeszcze do komendy — zaproponował Olszewski. — A nuż są jakieś wiadomości.

Grabicki skrzywił się sceptycznie.

- Jakieś wiadomości?
- No, może coś z waszego terenu?
- Bardzo wątpliwe.

Okazało się jednak, że Olszewski miał dobrego nosa. Były wiadomości i to dosyć sensacyjne.

Dyżurny oficer zameldował:

— Dzwonił sierżant Kociuba. Prosił, żeby powiadomić kapitana Grabickiego, iż zatrzymał człowieka podejrzanego o zamordowanie Iwony Tomeckiej.

Olszewski gwizdnął przeciągle.

ROZDZIAŁ IV

Staszek był z siebie zadowolony. Gloria, która dopiero niedawno oswoiła się z siodłem, okazała się bardzo pojętna. Bezbłędnie przeszła kilka przeszkód i nie szalała po skoku, jak to się często zdarza nie ujeżdżonym koniom. Zaczynała już prawidłowo reagować na wodze i na łydkę. Miała temperament, ale jednocześnie nie buntowała się przeciwko woli jeźdźca. Była żywa, ale nie krnąbrna. Szybko zrozumiała, czego się od niej wymaga.

Poklepał pociemniałą od potu szyję i pozwolił swobodnie wysapać się klaczy. Stępa objechał kilka razy plac dookoła, a następnie zawrócił do stajni. Zdziwił się trochę, spostrzegłszy siedzącego na ławce Franka Kociubę.

— Cześć! — powiedział wesoło i zeskoczył z siodła.

Franek odburknął coś niewyraźnie i kończył palić papierosa. Widać było, że jest ogromnie zdenerwowany.

Rozsiodłanie i wytarcie klaczy do sucha sianem zabrało trochę czasu. Kiedy Staszek wyszedł z boksu, Franek uznał, że już dłużej nie może zwlekać.

— Muszę z tobą pogadać — rzekł z pewnym wysiłkiem.

— O co chodzi?

— Taka nieprzyjemna sprawa... Chodź, przejdziemy się trochę. Nie chciałbym, żeby nam ktoś przeszkodził.

Staszek otrzepał resztki siana ze spodni i wyjął papierosa.

— Ty służbowo? — spytał.

— Właśnie! No, chodź.

Poszli w kierunku ogrodu, w którym pasły się kłaczki ze zrebietami. Staszek nadrabiał miną, ale nietrudno się było domyślić, że jest zaniepokojony oficjalną postawą Franka.

— No, więc gadaj wreszcie, co masz na wątrobie.

— Znałeś Iwonę Tomecką?

Staszek zatrzymał się. Przez jego opaloną twarz przesunął się błysk gniewu czy zniecierpliwienia.

— A ciebie co to obchodzi, kogo ja znałem, a kogo nie znałem?

— Jak to?! - oburzył się Franek. — Znalazłem trupa tej babki w rzece, śledztwo w toku, a ty się jeszcze pytasz, co mnie to obchodzi?

Staszek niechętnie wzruszył ramionami.

— Daj mi spokój. Nie tobie się będę tłumaczył z moich znajomości. Nawet, jeżeli ją znałem, to jeszcze nie dowód, że ją...

Franek przyjacielskim gestem wziął pod rękę kandydata na szwagra.

— Słuchajże, ciężki frajerze — rzekł zniżając głos. — Czy ty do jasnej cholery, nie rozumiesz, co ci grozi? Jak będziesz tak ze mną rozmawiał, to...

— To co? To co?! — wykrzyknął zaczepnie Staszek. — Może ci się zdaje, ofermo, że mnie zamkniesz do pudła? Niedoczekanie twoje! Nie wyobrażaj sobie, że jak włożyłeś mundur milicyjny, to już będziesz ważniaka udawał. Sherlock Holmes z Psiej Wólki. Śledztwo będzie prowadził...! Już chyba zapomniałeś, jak razem kradliśmy jabłka u Wawrzyniaka?

Franek obiecał Hance, że się nie da sprowokować i postanowił dotrzymać słowa.

— Staszek! — mówił, z trudem opanowując ogarniającą go wściekłość. — Czy ty, do wszystkich diabłów, nie rozumiesz, że to jest poważna sprawa? Czy nie rozumiesz, że chcę ci pomóc?

— A dlaczegóż miałbyś mi pomagać? Ja nie potrzebuję niczyjej pomocy. Nie zrobiłem nic takiego...

Franek znowu go wziął pod rękę.

— Dobrzycki cię widział, jak wiozłeś tę babkę na motorze. To było w sobotę, akurat tego dnia, kiedy została zamordowana.

— Gdybym chciał mordować każdą babkę, którą przewiozę motorem... — próbował zażartować Staszek.

Franek stracił cierpliwość.

— Psiakrew! Przestań się wygłupiać, idioto. Co ty sobie wyobrażasz? Może jesteś nietykalny dlatego, że byłeś we Francji? Jak nie chcesz ze mną gadać po ludzku, to nie. Zawiozę cię do Komendy Wojewódzkiej i niech się tam z tobą gimnastykują.

— O co ci właściwie chodzi? — spytał cicho Staszek, rezygnując nagle z bojowej postawy.

— No zrozum wreszcie, jolo pie, że zostało popełnione morderstwo. W dzień zbrodni widziano babkę na twoim motorze. Uważasz, że to jeszcze mało?

— Nie zabiłem jej.

— Ja ci wierze, ale trzeba, żeby w to uwierzył prokurator, sędzia... Więc jednak ją znałeś?

— Jak bym nie znał, to bym jej motorem nie woził. Ja tam nie z tych, co nieznanym babki na siodełko pakują...

— Gdzieś ją poznał?

— We Francji.

— I tutaj się z nią widywałeś po powrocie?

— Nie. Spotkałem ją przypadkowo.

— Gdzie?

— Na szosie. Powiedziała, że jej wóz nawalił. Prosiła, żeby ją podwieźć, bo się bardzo śpieszy.

— Widziałeś jej wóz?

— Widziałem. Nawet próbowałem go reperować, ale nic z tego...

— I gdzieś ją zawiózł?

— Pod las. Wsiadła na skrzyżowaniu, koło kapliczki. Wiesz?

— I co dalej?

— I nic. Prosiła, żeby ją zostawić. No to ją zostawiłem i odjechałem.

— Nie spytałeś, dokąd idzie?

— Pewnie, że spytałem. Ale ona tylko się roześmiała i

powiedziała, że to nie mój interes i żebym wracał do domu.

Kociuba zdjął czapkę i podrapał się w głowę.

— Cholera, to wszystko nieklawo wygląda.

— A bo co?

— Bo tylko idiota ci uwierzy w te bajdy o rozstajnych drogach.

— Ale tak było naprawdę.

— Jeżeli nawet było, to trzeba by tego dowieść.

Staszek spojrział zdziwiony.

— Dowieść? Dobrze, ale jak?

— Właśnie! To nie takie proste. Może masz jakieś alibi?

— Alibi?

— No, może ktoś cię widział?

— Widział mnie Dobrzycki, jak wiozłem Iwonę na motorze i stąd cały kłopot.

— To znaczy, że gdyby cię nikt nie widział, nie doniósłbyś o tym milicji, tak?

— No chyba, że nie. Nie jestem taki frajer.

Franek spochmurniał.

— Niedobrze, choroba, niedobrze - mruknął pod nosem. - Słuchaj no, Staszek... Zakochałeś się w tej babce?

Chłopak spąsował.

— Tobie nic do tego. Rozumiesz?

— Rozumiem, aż za dobrze rozumieniu

— E, co ty tam wiesz. Daj mi wreszcie święty spokój ! Dostyc mam już tej całej gadaniny.

Chciał zawrócić do stajni, ale Franek przytrzymał go za rękę.

— Zaczekaj!

— Czego Jeszcze chcesz? Nic więcej nie mam do powiedzenia

— Chciałbym obejrzeć twój nóż - powiedział Franek.

— Jaki nóż?

— No ten, który przywiozłeś z Francji Pokazywałeś mi kiedyś.

Ładna finka

Staszek zbladł. Stał i całą postacią zwrócił się ku mówiącemu.

— Co ty, Franek? Co ty? — wykrztusił. — ty naprawdę...? Ty rzeczywiście myślisz, że ja..., że ja...

— Chcę obejrzeć nóż — powtórzył twardo Franek.

— No, to siadaj ze mną na motor.

Pojechali. Przez całą drogę nie odezwali się do siebie ani słowem.

W leśniczówce zastali tylko stara Maciejczakowi i Hanke. Leśniczego nie była Pojechał na objazd lasu.

Hance wystarczyło jedno spojrzenie, aby się upewnić, że sytuacja jest naprężona.

— Co się dzieje? — spytała cicho, odciągając Franka na bok. Bała się, że matka usłyszy.

Wtedy Staszek nie wytrzymał i wybuchnął:

— Czy wiesz, o co ten kretyn mnie podejrzewa?! Jemu się zdaje, że to ja zabiłem Iwonę, tę babkę, którą wyciągnęli z rzeki! Znalazłaś sobie amanta, cholera jasna! Mordercę chce ze mnie zrobić. Rozumiesz? Mordercę!

— Cicho, cicho — uspokajała go Hanka. — Bo mama...

Wyszła z izby. Franek zwrócił się do Staszka:

— No, przestań histeryzować. Pokaż nóż.

— Zaraz ci go pokażę.

Okazało się jednak, że fiński nóż z czarną rękojeścią, przywieziony z Paryża, zniknął. Na próżno Staszek przewrócił cały dom do góry nogami. Powyrzucał rzeczy z szaf, z szuflad. z kuchennego kredensu, zajrzał na strych i do piwnicy. Szukał nawet w oborze, w chlewie i w kurniku. Wszystko na nic. Noża ani śladu.

Staszek szalał. Krzyczał na matkę, zwymyślał siostrę, zbił, nie wiadomo dlaczego, psa.

— No nie ma... No nie ma... — powtarzał zdyszany. — Kto mi go zabrał, cholera jasna?! Kto mi go ukradł?! — I znowu szukał, znowu wszystko przewracał. Bez skutku.

Franek nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Zażądał od Staszka pokazania noża ot tak, dla porządku. Oo głowy mu nie przyszło, że... Teraz się wszystko komplikowało. Staszek wiozł tę babkę na motorze. Została zamordowana właśnie taką finką, a finka Staszka zniknęła. „Do diabła... Do diabła...” — powtarzał w duchu. Czuł, że wdał się w straszną historię, i że ziemia usuwa mu się spod nóg. A musiał przecież działać

konsekwentnie. Lecz co dalej? Jak się pokaże Hance, jej rodzicom? Czy w ogóle będzie mógł egzystować na tym terenie? Kochał Hankę i z całej duszy pragnął się z nią ożenić. Czy będzie jednak chciała na niego patrzeć, jeżeli on jej brata...

Wyszedł przed dom, usiadł ciężko na ławce i zapalił papierosa. Wiedział już, że Staszek noża nie znajdzie. Dobięgly go słowa starej Maciejczakowej:

— A może ojciec zabrał? Zaczekaj na ojca,

Staszek uczepił się tej myśli jak tonący przysłowiowej brzytwy.

— Gdzie Franek? Gdzie Franek? — pytał gorączkowo.

— Siedzi na ławce — powiedziała Hanka.

Oboje wybiegli na ganek.

— Matka mówi, że może ojciec zabrał ten cholerny nóż. Musimy poczekać. Słyszysz Franek?

— Dobrze! Zaczekamy na ojca — westchnął Franek.

Czekali przeszło godzinę. Wreszcie Maciejczak wrócił z lasu. Wysłuchał wszystkiego uważnie i potrząsnął głową. Nie, nie widział żadnego fińskiego noża, nie brał.

— Ale w ogóle widział pan kiedyś ten nóż? — spytał Franek.

— Widzieć widziałem — odparł leśniczy, przyglądając wąsy.

- Wtedy, jak Staszek przywiózł go z Francji. Potem już nie. Nigdy mi nie był potrzebny. A zresztą nawet bym go nie brał do jakiejś codziennej roboty.

— Ale gdzie się mógł podziać? Gdzie się mógł podziać? — lamentował Staszek.

— Możesz go komu pożyczyć?

— Ale skąd! Nikomu nie pożyczałem. Pamiętam, że włożyłem go do szuflady w komodzie

— Ja go tam widziałam — przytaknęła Hanka. Była blada i bardzo zdenerwowana. Orientowała się w sytuacji.

Natomiast ani leśniczy, ani jego żona ciągle jeszcze nie rozumieli, dlaczego tyle krzyku o głupi nóż.

— No, faktycznie, nóż był ładny, ale ostatecznie nie taka strata - mruzczał Maciejczak

Franek nie ruszał się z ławki i mocował sam z sobą. Jakże im to powie? Jakże zabierze Staszka? A przecież musi go zabrać.

Najpierw na posterunek, a potem odeślą go do Komendy Wojewódzkiej. Rany boskie!

Hanka usiadła obok niego.

— Franek...

— Co?

— Musisz zabrać Staszka?

Zgniół w palcach papierosa i odwrócił głowę.

— Musze, cholera jasna... — powiedział cicho — Muszę.

— Ale przecież nie wierzysz, że on to zrobił...?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem...

— Franek...! Bój się Boga! Zginął gdzieś nóż, ale to jeszcze nie dowód...

— Nie dowód, ale poważna poszlaka. Zrozum, że identyczny nóż ta babka miała w plecach, a Staszek ją woził na motorze właśnie w sobotę, tego samego dnia, kiedy zostało popełnione morderstwo.

Hanka ukryła twarz w dłoniach.

— Jezus, Maria!

Zaraz jednak opanowała wzruszenie, podniosła głowę i mocno szarpnęła chłopaka za rękę. — Musisz go ratować! Słyszysz, Franek? Musisz go ratować!

— Może się to jakoś wyjaśni — rzekł niepewnie.

— A jak byś w ogóle nic nie mówił? Z tą babką na motorze widział Staszka tylko Dobrzycki. Ale to przecież pijak. Można by w razie czego powiedzieć, że był pijany i że mu się przywidziało. A o nożu najlepiej wcale nie wspominać. Mało to takich noży na świecie?

Franek zdecydowanym ruchem potrząsnął głową.

— Nie mogę, Hanka. Jestem na służbie. Zrozum! Muszę złożyć raport. Sam dla siebie straciłbym szacunek, gdybym taką rzecz zataił. Ciężko mi jak wszyscy diabli, ale nie mogę.

— Brata mi chcesz do więzienia wsadzić?! — wybuchnęła.

— Może tak źle nie będzie. Zobaczysz się.

Hanka nie panowała nad sobą.

— I co to komu da? Tamtej życia nie wróci.

Zresztą niewarta była lepszego losu.

— Co ty o niej wiesz? — zainteresował się Franek. — Tak mówisz, jak byś ją знаła.

Speszyła się.

— Skądże? Co ci do głowy przychodzi?

— Nie jesteś ze mną szczerą.

— Może bym i była szczerą, gdybyś w milicji nie służył.

W tej chwili wyszedł przed dom ptaszek. Był zgaszony. Twarz miał poszarzałą, smutną.

— Nie ma. Nigdzie nie ma. Nie wiem, co się stało. — powiedział zmęczonym, apatycznym głosem. — Słuchaj, Franek! Nie mów na razie rodzicom. Dobrze? No i jak mamy jechać, to jedźmy. Szkoda czasu.

Kapitan Grabicki w skupieniu wysłuchał opowiadania sierżanta Kociuby. Porobił notatki, a następnie schował do kieszeni długopis, odsunął się od biurka i sięgnął po papierosy.

— Powiedźcie mi jeszcze, co to za typ ten Dobrzycki?

— Pijanica, obywatelu kapitanie.

— To znaczy, że nie bardzo można mieć zaufanie do tego, co mówi.

— Jak trzeźwy, to w porządku, ale jak się upije...

— A jakie stosunki łączą go z Maciejczakiem?

— Nieszczęśliwe. Staszek dał mu w mordę.

— To raczej trudno ich nazwać przyjaciółmi — uśmiechnął się Grabicki. — A za cóż dał mu w mordę?

— Nie wiem dokładnie, o co tam poszło. Pokłócili się.

Kapitan chciał jeszcze o coś spytać, ale zrezygnował.

— No, pogadamy sobie z tym sławnym jeźdźcem — powiedział.

Franek miał bardzo niewyraźną minę.

— Chciałbym prosić, obywatelu kapitanie... — bąknął.

— O co chodzi?

— Chciałbym prosić, żebyś nie był obecny przy tej rozmowie.

— A to dlaczego? — zdziwił się Grabicki.

— Bo... bo ja...

— Mówcie, u diabła, o co chodzi.

— Chodzi o to, że siostra Staszka Maciejzaka to moja narzeczona. Jakoś mi tak niezręcznie...

— Rozumiem — Grabicki z zakłopotaniem poskrobał się za uchem. — Widzicie, Kociuba, w takich sytuacjach trzeba zapomnieć o prywatnych sprawach. Chciałbym wam pójść na rękę, ale nie mogę. Musicie być obecni. Przecież to wy doprowadziliście Maciejzaka do komendy.

— Jak mus, to mus — westchnął ciężko Franek.

Milicjant wprowadził Staszka.

— Siadajcie — powiedział Grabicki, wskazując krzesło. — Więc przynajecie się do tego, że znaliście osobiście Iwonę Tomecką?

— Tak.

— Gdzie i w jakich okolicznościach poznaliście ją?

— Poznałem ją w Paryżu, w nocnym lokalu. Była z całym towarzystwem, a ja przyszedłem z gościem, u którego pracowałem.

— Jak to się stało, że znaleźliście się we Francji?

— Jeździłem na konkursach w Olsztynie. Nieźle mi poszło i właśnie ten Francuz zaproponował mi pracę u siebie. Miałem ma konie ujeżdżać i naskakiwać. On handlował końmi sportowymi.

— I wtedy właśnie, w tym lokalu poznaliście Iwonę Tomecką?

— Tak.

— Czy między wami a tą kobietą wywiązał się jakiś bliższy stosunek? Czy romansowaliście z nią?

— Nie.

— A czy jesteście pewni, że mówicie prawdę?

— Dlaczegoż miałbym kłamać?

— Nie wiem. Ale wątpię w waszą prawdomówność. — Grabicki wyjął z szuflady list znaleziony w mieszkaniu Tomeckiej i posunął go po blacie biurka.

— Czy to może wasz charakter pisma? — spytał.

Staszek bardzo się zmieszał. Z trudem przełknął ślinę i odetchnął głęboko, jakby mu nagle zabrakło w płucach powietrza.

— No więc jak? — nalegał Grabicki. — Czy to wy pisaliście ten list? Chyba orientujecie się, że zidentyfikowanie pisma nie przedstawia dla specjalistów żadnej trudności.

Chłopak spuścił głowę.

— Tak. To ja pisałem.

— To znaczy, że jednak coś was łączyło z Iwoną Tomecką. Z listu wynika, że postanowiła zlikwidować wasz stosunek. Trudno było się wam z tym pogodzić. Byliście poważnie zaangażowani uczuciowo. Kto wie, czy nie dlatego wróciliście tak wcześnie z Francji, porzucając dobrze płatne zajęcie. Iwona Tomecka nie chciała jednak słyszeć o kontynuowaniu romansu, który był dla niej tylko przelotną, nic nie znaczącą przygodą. Doszło między wami do definitywnej rozmowy i wtedy... Mamy więc motyw. Typowy przypadek zabójstwa w afekcie.

Staszek zerwał się z krzesła. Był trupio blady.

— Ja jej nie zabiłem! Ja jej nie zabiłem! Przysięgam!

— I chcecie, żebym uwierzył w to przypadkowe spotkanie na szosie?

— To nie ja! Nie ja! — powtarzał zrozpaczony chłopak.

Grabicki pochylił się nad biurkiem.

— Gdzie to się stało? — spytał cicho» sugestywnie.

— Nie, nie, to nieprawda, nieprawda...

Przez cały czas Franek w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. Kiedy przyjechał ze Staszkiem do komendy, miał w gruncie rzeczy nadzieję, że wszystko się jednak wyjaśni, że taki fachowiec, jak kapitan Grabicki potrafi odkryć prawdę, która uwolni brata Hanki od wszelkich podejrzeń. W miarę Jednak posuwania się śledztwa, widział coraz wyraźniej, że sytuacja Staszka jest beznadziejna. Ten list..., nieszczęsny list. Wszystko logicznie trzymało się kupy i wszystko przemawiało przeciwko Maciejczakowi. Co robić...? Na miłość boską, co robić?

— Obywatelu kapitanie — zaczął nieśmiało.

Grabicki przerwał mu ruchem ręki.

— Chwileczkę. Później z wami porozmawiam.

Następnie zwrócił się do Staszka:

— Przykro mi, Maciejczak, ale w tej sytuacji jestem zmuszony was zatrzymać. Zawiadomimy waszą rodzinę. Zapewne będą

chcieli wziąć adwokata.
Staszek wybuchnął płaczem.

ROZDZIAŁ V

— Dyrektor dzisiaj w kiepskim humorze. Jeżeli chcecie coś załatwić, przyjdźcie lepiej za parę dni. Chyba, że pogadacie z inżynierem.

Tego rodzaju rady coraz częściej słyszało się w stadninie. Dyrektora obchodzono z daleka i uważano, żeby mu się nie narazić. Nawet zastępca dyrektora, inżynier Kozłowski, wołał unikać rozmów z szefem i wiele spraw załatwiał we własnym zakresie. Wyczuwał, że dyrektor ma jakieś poważne kłopoty.

Stefaniak rzeczywiście był w fatalnym nastroju. Nie mógł spać po nocach, prawie nic nie jadł, schudł, zmizerniał, zrobił się przewrażliwiony, nerwowy, o byle co wpadał w złość.

Pani Maria zatroskanym spojrzeniem wodziła za mężem. Radziła, żeby pojechał do lekarza, ale on ofuknął ją tylko gniewnie, twierdząc, że jest zupełnie zdrow i że nie potrzebuje rad konowałów.

Ciągle czegoś szukał. Kiedy zdawało mu się, że nikt go nie widzi, zaglądał do szaf, szuflad, walizek. Nie ominął nawet kredensu w kuchni i toaletki żony.

Wreszcie pani Maria nie wytrzymała:

— Czego ty właściwie szukasz, Oleczku? Co ci zginęło?

— Nic, nic... Takie tam głupstwo...

— Ale co?

— Daj mi spokój! Nie warto o tym mówić.

Wzruszyła ramionami.

— Dziwny jesteś, doprawdy!

— Zostaw mnie, Marysiu! — wybuchnął. — Proszę cię!

— Ale dobrze, już dobrze. Jak sobie życzysz...

Któregoś dnia przy śniadaniu pani Maria zwróciła się do męża:

— Chciałabym pojechać do Warszawy. Może mógłbyś mi dać wóz?

— A po cóż chcesz jechać do Warszawy? — zachnął się Stefaniak. — Piękna pogoda. Nie lepiej siedzieć na wsi?

Westchnęła.

— Ty, Oleczku, nigdy o niczym nie pamiętasz. Ja wiem, że masz dużo pracy, że jesteś zajęty, że wszystko tu na twojej głowie, ale są rzeczy, o których powinno się pamiętać. Prawdę mówiąc, przykro mi, że muszę ci przypominać...

Spojrzał na nią zdziwiony.

— O czym właściwie mówisz?

— O tym, że pojutrze jest rocznica śmierci Konrada. Chciałabym być na Powązkach.

— Ach, tak, prawda... Przepraszam cię. Oczywiście, dam ci wóz.

— A ty? Nie pojedziesz na grób syna?

— Nie wiem, czy będę mógł. Mara teraz dużo pilnych spraw do załatwienia. Wiesz zresztą, że ja nie lubię cmentarnych nastrojów. Specjalnie teraz...

— Dlaczego powiedziałeś „specjalnie teraz”?

— Co? Przywidziało ci się.

— Ależ tak! Na pewno powiedziałeś.

— Dajże mi święty spokój!

— Jesteś nieuprzejmy. Nigdy taki w stosunku do mnie nie byłeś. Nie poznaję cię.

Spokorniał.

— Bardzo cię przepraszam, ale czasem naprawdę jesteś męcząca. Widzisz przecież, że jestem zdenerwowany, a zawracasz mi głowę głupstwami.

— Odwiedzenie grobu mojego syna to dla mnie nie głupstwo — powiedziała z godnością.

— Zdaje się, że mówimy o czym innym. — Machnął ręką. — A zresztą mniejsza z tym.

— Więc dasz mi wóz?

— Przecież już powiedziałem, że dam.

Na drugi dzień po tej rozmowie przyjechał Grabicki.

Stefaniak z trudem zdobył się na uprzejmy uśmiech.

Wprowadził kapitana do swojego gabinetu i poczęstował papierosami. Na pozór był zupełnie swobodny i tylko ten, kto go bardzo dobrze znał, mógł się domyślić, ile wysiłku kosztowała go udana beztroska.

— Proszę, niech pan siada, panie kapitanie. Cóż pana do nas sprowadza?

Grabicki zapali! papierosa i uważne spojrzenie utkwil w twarzy swego rozmówcy.

— Zapewne został pan już poinformowany o aresztowaniu pańskiego pracownika, Stanisława Maciejczaka?

— Tak. Muszę panu powiedzieć, że jestem zaskoczony. Czy pan rzeczywiście sądzi, że ten chłopak?...

— To nieważne, co ja sędzę — przerwał Grabicki. — W tej chwili fakty przemawiają przeciwko niemu. Jak dalej potoczy się śledztwo, trudno przewidzieć. W takich sprawach zdarzają się nieraz dosyć niezwykle niespodzianki.

— Niewątpliwie — przytakną! z wymuszonym uśmiechem Stefaniak.

Grabicki poruszy! się na krześle.

— Aha. Byłbym zapomniiał. Zupełnie przypadkowo znalazłem pańską zapalniczkę. — Sięgnął do kieszeni. — Prawda, że to pańska własność? — dodał, stawiając zapalniczkę na biurku.

Na twarzy Stefaniaka pojawiło się wahanie.

— Nie wiem... Miałem kiedyś taką zapalniczkę, ale nie mogę stwierdzić czy to właśnie ta. Tego rodzaju zapalniczek jest bardzo wiele.

— To prawda — zgodził się Grabicki — ale nie wszystkie mają wygrawerowane monogramy. A wydaje mi się, że to pański monogram. Proszę spojrzeć: A. S. Pasuje. Prawda?

Stefaniak uśmiechnął się bez entuzjazmu.

— Tak, to chyba rzeczywiście moja zapalniczka. Bardzo panu dziękuję.

— Nie ma za co. Niech mi pan powie, panie dyrektorze, od jak dawna znał pan Iwonę Tomecką?

— Powiedziałem przecież panu, że widziałem ją po raz pierwszy, gdy przyjechała tutaj z wycieczką plastyków.

Grabicki zrobił zdziwioną minę.

— Tak? Wobec tego dlaczego zostawił pan w mieszkaniu pani Tomeckiej tę właśnie zapalniczkę?

Stefaniak był najwyraźniej przygotowany na to uderzenie. Nie zmieszał się.

— A dlaczegoż pan przypuszcza, że to ja?

— Dlatego, że tam znaleźliśmy pańską własność.

— I to pan uważa za dowód, że byłem w jej mieszkaniu? Pan? Taki fachowiec od spraw kryminalnych?

— Jak to? — Grabicki nagle trochę się speszył. — To chyba jest dowód.

— Żaden, pane kapitanie, absolutnie żaden dowód.

— Więc jak pan to tłumaczy?

— Bardzo prosto. Rozmawiałem z uczestnikami wycieczki. Paliliśmy papierosy. Dawałem im swoją zapalniczkę. Prawdopodobnie pani Tomecka przez roztargnienie schowała zapalniczkę do torby. Wie pan jak to bywa?

Grabicki odzyskał już pewność siebie.

— Pańskie wyjaśnienie nosi cechy prawdopodobieństwa — powiedział z uśmiechem. — Jest w nim jednak pewna zasadnicza luka: Iwona Tomecka była osobą niepalącą. Wykazała to sekcja zwłok. Mogła oczywiście pańską zapalniczką komuś zapalać papierosa, ale to małe prawdopodobne. Mam wyrobiony pogląd na tę sprawę i byłbym bardzo rad, gdyby pan, panie dyrektorze, zechciał ze mną szczerze porozmawiać. Nie chciałbym doprowadzać do jakichś drastycznych sytuacji. Nie sprawiłoby mi na przykład przyjemności, gdybym musiał poprosić pana o odciski palców, a byłbym zmuszony to zrobić w wypadku, gdyby pan nie chciał mi powiedzieć prawdy. Na marginesie pragnę zaznaczyć, że w warszawskim mieszkaniu pani Iwony Tomeckiej zebraliśmy bardzo starannie materiał daktyloskopijny. W tej chwili to już nic trudnego stwierdzić, że pan tam był. Prócz tego przypuszczam, że pan ma klucze od mieszkania pani Tomeckiej. No więc jak, panie dyrektorze?...

Stefaniak był tak blady, iż zdawało się, że za chwilę zemdleje.

— Czy mogę prosić pana o dyskrecję, panie kapitanie?

— Oczywiście — zapewnił skwapliwie Grabicki — Może pan liczyć na moją całkowitą dyskrecję.

— Bo widzi pan... nie chciałbym, żeby moja żona...

— Ależ to zrozumiałe! Żona na pewno o niczym się nie dowie. Z pańskich słów wnioskuję, iż pozostawał pan w zażyłych stosunkach z panią Tomecką.

— Można by to tak określić.

— Dlaczego więc z początku próbował mnie pan wprowadzić w błąd? Przecież pan twierdził, że widział pan tę kobietę po raz pierwszy w życiu.

Stefaniak nerwowym ruchem przesunął dłonią po siwiejących włosach.

— Nie może się pan dziwić, że... że... Nie chciałem, aby ta cała historia wyszła na jaw.

Mam żonę, dorosłe dzieci... Pan rozumie? Poza tym moje stanowisko, moja pozycja...

— A czy pan się orientuje, czym w takim wypadku grozi wprowadzenie władzy w błąd?

— Tak wiem. Jestem gotów ponieść wszystkie konsekwencje. Nie sądzę jednak, żeby panu zależało na tym, aby mnie doszczętnie zniszczyć.

Twarz Grabickiego rozjaśnił uśmiech pełen życzliwości.

— Ależ, panie dyrektorze... Skądże znowu... Daleki jestem od tego rodzaju chęci. Mnie zależy tylko i wyłącznie na wykryciu prawdy. Mam, oczywiście, duży żal do pana, że od początku nie był pan ze mną szczery, ale mam też nadzieję, że to się jakoś wyrówna. Czy jest pan skłonny odpowiedzieć na kilka moich pytań?

— Proszę, niech pan pyta.

— A więc przede wszystkim chciałbym wiedzieć, od jak dawna utrzymywał pan ściślejsze stosunki z panią Iwoną Tomecką?

— Mniej więcej od dwóch lat, z przerwami oczywiście...

— Dlaczego uważa pan te przerwy za rzecz tak oczywistą?

— Ponieważ Iwona często wyjeżdżała za granicę. Poza tym... Poza tym bywały okresy, że nie miała ochoty widywać się ze mną.

— Czy przypuszcza pan, że w tych okresach miała innych przyjaciół?

— Nie przypuszczam, mam pewność.
— I był pan zazdrosny?
— Rzecz jasna, że to dla mnie nie były przyjemne sprawy. Ale, jeżeli pan podejrzewa, że to ja zabiłem tę dziewczynę, jest pan w błędzie. Nie zabiłem jej.

Grabicki strzepnął nie istniejący pyłek z rękawa marynarki. Leciutko się uśmiechnął.

— Dlaczego pan sądzi, że coś takiego podejrzewam?

— Bo zaczął pan mówić o zazdrości... A zazdrość, jak powszechnie wiadomo, jest jednym z motywów zbrodni w afekcie.

— W jakich okolicznościach poznał pan Iwonę Tomecką? — spytał Grabicki, rezygnując z poprzedniej tematyki.

— Poznałem ją na przyjęciu u moich znajomych.

— Czy może pan podać mi nazwisko tych znajomych?

— Oczywiście. Państwo Kaczorowscy. Nie ma pan chyba zamiaru z nimi rozmawiać?

— Jeszcze nie wiem. Być może, że to będzie niezbędne. Interesują mnie wszyscy ludzie, którzy mogą coś powiedzieć o Iwonie Tomeckiej.

— Wolałbym, żeby pan zostawił w spokoju Kaczorowskich. Oni naprawdę nie mają z tym wszystkim nic wspólnego.

— Przykro mi, ale nie mogę panu tego obiecać. Proszę mi powiedzieć, panie dyrektorze, jak wygląda pańskie alibi.

— Alibi?

— No tak! Chciałbym wykluczyć pewne możliwości i dlatego o to pytam. Iwona Tomecka została zamordowana w ubiegłą sobotę. Pan zapewne był z Niemcami na polowaniu?

— Nie. W sobotę nie byłem na polowaniu z Niemcami.

— Dlaczego pan im nie towarzyszył?

— Nie jestem obowiązany każdorazowo jeździć z nimi. Od tego jest leśniczy. A poza tym... źle się czułem, miałem trochę temperatury. Zostałem w domu.

— Z żoną?

— Nie. Moja żona tego dnia pojechała w sąsiedztwo do przyjaciół. Zanocowała u nich. Wróciła dopiero w niedzielę rano.

— Z tego wynika, że pan był sam w domu?

— Tak.

— I nikt pana nie odwiedzał?

— Nikt.

— Więc nie ma pan alibi?

Stefaniak potrząsnął głową.

— Nie. Mimo to jednak nie zabiłem tej dziewczyny.

— A czy ja twierdzą coś takiego?

— Wprost pan nie powiedział, ale pan sugeruje.

— Broń Boże! Niczego nie sugeruję. To raczej pan usiłuje mi wmówić, że podejrzewam pana o tę zbrodnię.

— A czy tak nie jest?

Grabicki westchnął głęboko.

— Trochę trudno jest się nam porozumieć, panie dyrektorze. Jakoś nie mogę panu wytłumaczyć, że prowadząc śledztwo w tego rodzaju sprawie, muszę brać pod uwagę wszelkie ewentualności. Istnieją bardzo poważne poszlaki przeciwko młodemu Maciejczakowi. Tak dalece poważne, że musiałem go zatrzymać. Teraz znowu okazało się, że pan także był zaangażowany uczuciowo. Chciałem pana wyeliminować z tej sprawy, ustalając pańskie alibi. Niestety, okazało się to niewykonalne. Zresztą, muszę panu powiedzieć, że w takich sytuacjach bywa podejrzanych przeważnie kilka osób i dopiero drogą bardzo wnikliwej eliminacji dochodzi się do właściwego sprawcy zbrodni.

— To znaczy, że jestem jednym z kandydatów na mordercę — uśmiechnął się bladeo Stefaniak.

Grabicki skinął głową.

— W pewnym sensie tak to wygląda. Proszę mi wybaczyć szczerłość, ale sędzę, że nie ma co obwijać sprawy w bawełnę. Ale wróćmy do konkretnych, nie dających się zaprzeczyć faktów. Więc to pan przeprowadzał rewizję w mieszkaniu Iwony Tomeckiej?

— Tak.

— Żeby zlikwidować wszystko to, co mogłoby pana skompromitować: listy, fotografie...

Stefaniak w milczeniu skinął głową.

— Ale nie pracował pan w rękawiczkach i zostawił pan sporo odcisków linii papilarnych.

— Nie myślałem wtedy o tym. Nie jestem fachowcem w takich rzeczach.

— Nie wątpię w to — uśmiechnął się Grabicki. — Dobrze się stało, że wyjaśniliśmy sobie przynajmniej tę sprawę. Czy pan może ma jakieś listy, które pan znalazł w jej mieszkaniu?

— Nie. Wszystkie zniszczyłem.

— Czy pana żona domyślała się pańskiej znajomości z Iwoną Tomecką?

— Nie.

— A czy znała tę dziewczynę?

— Skądże! Nigdy jej nie widziała.

— Więc na przyjęciu, na którym poznał pan Iwonę Tomecką, nie było pańskiej żony?

— Nie. O ile sobie przypominam, to był dzień Wszystkich Świętych i żona ze swoją siostrą pojechała na Powązki, na grób syna.

— A pan nie pojechał?

— Nie. Nie lubię cmentarzy. I tak prędzej czy później cmentarz mnie nie ominie. Uważam, że żywi nie powinni się naprzykrzać umarłym.

Była w tych słowach dziwnie szydercza intonacja. Grabicki uważniej spojrzął na mówiącego.

— Może pan ma rację. Ja także nie prze. padam za cmentarnymi nastrojami. Niestety, coraz więcej znajomych właśnie tam się przenosi. Chciałbym jeszcze zapytać pana, czy zna pan niejakiego Marka Świdnickiego?

— Tego malarza?

— Właśnie.

— Owszem, znam go.

— W jakich okolicznościach pan go poznał?

— Iwona zapoznała mnie z nim.

— Pani Tomecka? W jakim celu to zrobiła?

— Lubiała mieć koło siebie paru mężczyzn, którzy się nią żywiej interesowali.

Ciekawe... Prawdopodobnie ekscytowały ją takie sytuacje.

Więc pan wiedział o flircie Świdnickiego z Tomecką?

— Tak.

— I godził się pan z tym?

— A co miałem robić? Ona już była taka.

Grabicki uświadomił sobie, że głęboko współczuje temu niemłodemu już, steranemu człowiekowi, który przeżył swoją ostatnią, jakże tragiczną miłość. Umilkł i zapalił papierosa. Stracił ochotę do zadawania pytań.

Pierwszy przerwał milczenie Stefaniak.

— Więc mogę liczyć, panie kapitanie, na pańską dyskrecję? Chodzi mi przede wszystkim o żonę.

— Nie widzę powodu, dla którego miałbym informować pańską żonę o naszej rozmowie

— powiedział Grabicki. — Czy pan jednak sądzi, że tego rodzaju historia mogła pozostać w tajemnicy, że nikt się o tym nie dowiedział?

— Staralem się zachowywać jak najdalej posuniętą ostrożność. Mam więc nadzieję...

Grabicki sceptycznie potrząsnął głową.

— Nie chcę pana martwić, ale nie bardzo wierzę w to, żeby Iwona Tomecka nie pochwaliła się przed przyjaciółkami romanssem z dyrektorem stadniny.

— Chciałbym jeszcze o coś pana spytać, panie kapitanie.

— Słucham?

— Co się stanie ze Staszkiem Maciejczakiem?

Grabicki rozłożył ręce.

— Trudno mi w tej chwili przewidzieć. Nie jest jednak wykluczone, że zostanie oskarżony o popełnienie morderstwa. Chyba, że uda mi się znaleźć przekonywające dowody przeciwko komuś innemu...

— Na przykład przeciwko mnie...

— Czytałem wasz raport — powiedział pułkownik Bielniak. — Zebraliście kupę materiału i to ciekawego. Gratulacje.

Pochwała szefa zrobiła Grabickiemu wyraźną przyjemność.

— Staram się, obywatelu pułkowniku, jak mogę, ale niestety,

nie widzę jeszcze końca sprawy.

— Tak — pokiwał głową Bielniak. — Sprawa rzeczywiście zatacza coraz szersze kręgi, komplikuje się. A jakie jest wasze osobiste, subiektywne przekonanie? Wierzycie w winę tego chłopaka ze stadniny?

Grabicki wzruszył ramionami. — Dosyć poważne poszlaki przemawiają przeciwko niemu, ale z drugiej strony...

— Ale z drugiej strony, dlaczego miałyby dokonywać zbrodni tak blisko miejsca pracy? — odpowiedział pułkownik.

— Właśnie! — ożywił się Grabicki. — I mnie to także cały czas nie daje spokoju. Byłby chyba wybrał jakiś bardziej neutralny teren. Chociaż, jeżeli wychodzimy z założenia, że było to zabójstwo popełnione w afekcie...

— Macie rację — przytaknął Bielniak. — Jeżeli zabójstwo zostało popełnione w wyniku sprzeczki... Jeżeli był to jakiś akt rozpacz, to wtedy nie wybiera się miejsca. Czy sądzicie, że morderstwo zostało popełnione w pobliżu miejsca, gdzie znaleziono zwłoki?

— Na to trudno odpowiedzieć. Wprawdzie rzeczka nie płynie zbyt wartko, ale Jednak przez dwadzieścia cztery godziny zwłoki mogły przepłynąć spory kawałek, tym bardziej, że w górnym biegu rzeka jest i głębsza, i bystrzejsza.

— Nie próbowaliście ustalić, w którym miejscu mogło dojść do zabójstwa?

— Oczywiście, że próbowałem, ale nie udało mi się.

— A co z Niemcami? — spytał pułkownik.

— Mówicie o tych, co przyjechali strzelać kozły?

— Właśnie!

— Pojechali. O ile się orientuję, wybrali się na wycieczkę do Janowa Podlaskiego czy do Białowieży. Specjalnie się nimi nie interesowałem.

— A może warto by się zainteresować? Grabicki nie ukrywał zdziwienia.

— Myślicie, że...? Mówicie poważnie?

— Dlaczego was to tak zdumiewa? — uśmiechnął się Bielniak.

— W takiej sytuacji musimy brać pod uwagę wszystkie ewentualności. Wiemy, że Iwona Tomecka miała różne

powiązania, dużo podróżowała, często wyjeżdżała za granicą, gdzie miała znajomych i przyjaciół. Taka babka to łakomy kęs dla zachodnioniemieckiego wywiadu. Założmy, że próbowano ją zwerbować i że odmówiła.

I nagle zupełnie niespodziewanie spotyka na naszym terenie Niemca, który kiedyś namawiał ją do roboty szpiegowskiej. To jest może mało prawdopodobne, ale zdarzają się takie zbiegi okoliczności.

— Ależ to jest zupełnie możliwe! — zapalił się Grabicki. — Facetowi było nie na ręką, żeby go zdemaskowała i pchnął ją nożem. Właściwie niewiele by ryzykował.

Pułkownik pokiwał głową.

— Tak. Tylko, że ta koncepcja ma jedną dosyć zasadniczą lukę. Bo gdyby to się stało w piątek, wtedy kiedy przyjechała z wycieczką... Ale ona odprowadziła wycieczkę do Warszawy i wróciła.

— Mógł się ten Niemiec umówić z nią na rozmowę — powiedział Grabicki.

— Tak. To byłoby jedyne wytłumaczenie.. Wicie co? Im dłużej się nad tą sprawą zastanawiam, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że jednak powinniśmy się porozumieć z naszym kontrwywiadem. Niech oni się trochę dokładniej przyjrzą tym myśliwym. Może to nie tylko o kozły chodzi.

Grabickiemu niezbyt odpowiadała taka perspektywa. Przypomniał sobie słowa porucznika Olszewskiego. Bał się, że zabiorą mu tę niezwykle interesującą sprawę.

— Damy sobie chyba radę i bez kontrwywiadu.

Bielniak bez trudu domyślił się, o co chodzi.

— Nie bójcie się. Jeżeli się okaże, że ta sprawa nie podpada pod ich kompetencje, to na pewno nie wejdą nam w paradę. Oni tam mają dosyć własnych kłopotów. Czy wyście widzieli tych Niemców?

— Nie.

— Może byliby nieźle, żebyście się gdzieś niby przypadkowo z nimi zetknęli. Ale to dalsza sprawa. Powiedźcie mi jeszcze, co myślicie o dyrektorze stadniny? Zapomniałem w tej chwili jego

nazwiska.

— Stefaniak.

— O właśnie! Dyrektor Stefaniak. Czy, waszym zdaniem, to jest poważny kandydat na mordercę?

Grabicki potrząsnął głową.

— Nie wydaje mi się, żeby on... Chociaż... diabli wiedzą. Być może, że się dobrze maskuje. Jeżeli całą rozmowę ze mną odegrał, to trzeba przyznać, że jest znakomitym aktorem.

— Pytał o Maciejczaka?

— Tak. Chyba ze dwa razy.

— To może zaczyna mu dokuczać sumienie?

— Niewykluczone.

Zadzwoił telefon.

Bielniak podniósł słuchawkę. Przez chwilę słuchał w milczeniu, potem powiedział:

— Tak, tak, zaraz go przyjmę. Już kończę rozmowę. — Następnie zwrócił się z uśmiechem do Grabickiego. — Czy wiecie, kto do nas przyjechał?

— Nie mam pojęcia.

— Major Downar z Komendy Głównej. Czyżby i oni interesowali się tą sprawą?

Grabicki z trudem powstrzymał się od jakiejś złośliwej uwagi.

ROZDZIAŁ VI

Od dłuższego czasu Downar był w bardzo złym nastroju. Nie mógł sobie poradzić ze sprawą, którą prowadził. Zaczynał tracić wiarę we własne siły i doszedł wreszcie do melancholijnej konkluzji, że starość nie radość.

Po niewesoło spędzonej niedzieli, w poniedziałek z samego rana zameldował się u szefa.

— Coś ty dzisiaj taki mizerny? — spytał Leśniewski, przyjrzawszy się uważnie przyjacielowi. — Kaca masz, czy co?

— Od tygodnia nie miałem ani kropli wódki w ustach — powiedział ponuro Downar.

— Więc o co chodzi?

— Mam zamiar prosić cię o dymisję.

— Zwariowałeś?

— Mówię zupełnie poważnie. Powinieneś mnie przenieść na emeryturę. Ja już się nie nadaję do tej roboty. Ostatecznie, dosyć się napracowałem. Teraz niech mnie młodszy zastąpią.

Leśniewski zaniepokoił się nie na żarty.

— Słuchaj no, Stefan, może jesteś chory?

— Nigdy nie czułem się zdrowszy.

— Więc co cię, u licha, ugryzło? Gadaj wreszcie po ludzku! Może byś sobie kropnął kieliszek winiaku?

Downar potrząsnął głową.

— Nie pijam na służbie — powiedział ze śmiertelną powagą.

Leśniewski wybuchnął śmiechem.

— Widzę, że mimo wszystko humor ci dopisuje. To znaczy, że nie jest z tobą tak źle.

— Jest ze mną bardzo źle. Od dwóch tygodni nie poruszyłem się ani na krok.

— Mówisz o tych fałszywych dolarach?

— No przecież nie o podróżyach kosmicznych.

— I rzeczywiście nic nie zdziałałeś jeszcze w tej sprawie?

— Nic. Wsadziłem do pudła kilka niewinnych osób. Musiałem je oczywiście wypuścić i jeszcze ładnie przeprosić. To były jakieś idiotyczne donosy. Daj tę sprawę komu innemu, a ja pojedę do Nałęczowa leczyć nerwy.

Leśniewski, mimo wszystko, wyjął z kasy pancерnej butelkę winiaku i nalał po małym kieliszku.

— Masz tu na wzmocnienie nerwów, zapal papierosa i pogadajmy spokojnie.

Downar już nie oponował. Wypił i sięgnął po papierosa, ale natychmiast włożył go z powrotem do pudełka.

— Przecież ja się odzwyczajam od palenia — westchnął.

— No to teraz rozumiem twój pesymizm — uśmiechnął się Leśniewski. — Zdawało mi się, że jednak zacząłeś palić.

— Zacząłem i znowu rzuciłem. Albo się ma silną wolę, do cholery, albo nie. Żeby człowiek był niewolnikiem takiej głupiej rurki z odrobiną tytoniu. Zresztą tu nie chodzi o palenie. Mówię ci przecież, że nie mogę ugryźć tej sprawy. Daj ją komu

innemu.

— A komuż mogę ją dać? Walczak leży w szpitalu, Szczepański złamał nogę na motorze. Madziara wyjechał za granicę. Nawet, gdybym ich wszystkich miał pod ręką. to i tak ty nadajesz się najlepiej. Przecież jesteś fachowcem od fałszywej waluty.

Downar uśmiechnął się melancholijnie.

— To się nazywa brać kogoś pod włos lub na bajer. Ale nie zawsze takie rzeczy pomagają. Cóż z tego. że mi będziesz prawić komplementy, kiedy ani rusz nie mogę rozszyfrować tej afery.

Leśniewski niecierpliwie machnął ręką.

— Głupie gadanie! Mów, jak wygląda cała sprawa.

— Wcale nie wygląda. Tłumaczę ci przecież wyraźnie, że nic nie mogę zrobić. Co wpadnę na jakiś trop, okazuje się fałszywy.

— Cholera! — Leśniewski podrapał się z zakłopotaniem w głowę. — To niedobrze. Właśnie nie dalej jak wczoraj ponaglano mnie. Chodzi też trochę o nasz prestiż wobec zagranicy.

— Nie musisz mi tłumaczyć — mruknął Downar. — No cóż... Spróbuję jeszcze po węszyć. Może na coś przypadkowo wpadnę.

— Nawiązałeś kontakt z wojewódzkimi komendami?

— Oczywiście. I nie tylko z wojewódzkimi. Z całym terenem. Na razie jednak cisza. Mam wrażenie, że się przyczaili i na wewnętrzny rynek nie puszczają. Cholera jasna, czy akurat u nas muszą fałszować dolary? Nie mogliby tego robić gdzie indziej?

— Nie martw się, Stefanku — powiedział pocieszająco Leśniewski. — To nie są sprawy do błyskawicznego załatwienia. Jestem pewien, że w najbliższym czasie zameldujesz mi o jakimś genialnym posunięciu.

— Nie łudź się.

Wypili jeszcze po jednym winiaku i Downar wrócił do siebie. Zaledwie jednak zabrał się do przeglądania akt, kiedy zameldowano mu, że Walczakowa chce się z nim widzieć. Nie miał ochoty rozmawiać nawet z najbliższy mi przyjaciółmi, ale Helenki nie mógł odprawić z niczym. Kazał prosić.

Weszła. Od razu zauważył, że jest przygnębiona.

— Jak się ma Karol? — spytał niespokojnie.

— Dziękuję ci. Karol ma się zupełnie nieźle. Ułożył nawet balladę na temat swojego woreczka żółciowego. Ale lekarze nie chcą go wypuścić wcześniej niż za jakieś dwa tygodnie. Ja do ciebie w innej sprawie.

— Masz jakieś kłopoty?

— I to bardzo poważne. Staszka aresztowano.

— Jakiego Staszka?

— Jak to jakiego? Mojego siostrzeńca. Staszka Maciejzaka. Dzisiaj w nocy przyjechała do mnie Anna. Jest w rozpacz. Mówi, że nie przeżyje, jak jej jedynego syna powieszą.

— Wspominałaś mi, zdaje się, że on wyjechał do Francji konie ujeżdżać?

— Tak.

— I we Francji go zamknęli?

— Ale skąd! Już dawno wrócił. Nasza milicja go zatrzymała.

— O co jest podejrzany?

— O morderstwo.

— Hm... To poważna historia. A kto został zamordowany?

— Jakaś młoda dziewczyna, pracownica „Orbisu”.

Downar miał bardzo zakłopotaną miną. Niespokojnie przebierał palcami po blacie biurka.

— Posłuchaj mnie, Helenko — powiedział po chwili. — Wiesz, że zawsze chętnie w każdej sytuacji ci pomogę, ale teraz zupełnie nie mogę zająć się tą sprawą. Mam szalenie pilną robotę. Właśnie wracam od Leśniewskiego, który domaga się ode mnie pośpiechu. Myślę, że trzeba, aby twoja siostra wzięła dobrego adwokata. Śledztwo w tego rodzaju sprawach na ogół nie idzie błyskawicznie. Muszą zebrać solidny materiał dowodowy. Prokurator bez takiego materiału nie wystąpi z oskarżeniem. W późniejszym etapie śledź twa może mógłbym się włączyć, ale teraz naprawdę nie dam rady.

Walczakowa chwyciła go za rękę.

— Stefan, błagam cię! Nie odmawiaj. To przecież syn mojej siostry. Zrozum! Karol leży w szpitalu. Nie mam się do kogo zwrócić. Ty jesteś naszym jedynym przyjacielem. Potem może

być za późno. Jestem przekonana, że Staszek nie popełnił zbrodni. To jakiś fatalny zbieg okoliczności. Zmiłuj się, Stefan! Pojedź tam, pogadaj. Z tobą będą się liczyć.

Downar poruszył się niecierpliwie.

— To nie ma żadnego znaczenia, czy się będą ze mną liczyć, czy nie. Możesz być przekonana, że bez konkretnych dowodów winy nic mu nie zrobią.

— Przypomnij sobie procesy poszlakowe. Kto jak kto, ale ty chyba wiesz najlepiej, że poszlaki mogą być bardzo obciążające, a człowiek niewinny. Mało to na całym świecie pomyłek sądowych? Mało to niewinnych ludzi zostało skazanych tylko dlatego, że okoliczności przemawiały przeciw nim? Błagam cię, Stefan, zrób to dla mnie! Nie możesz mi odmówić.

— No dobra... — westchnął Downar. — Pojadę, dowiem się, jak ta sprawa wygląda.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Dziękuję ci. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

Downar uśmiechnął się i poklepał Helenkę po dłoni.

— Trzymaj się. Jeżeli chłopak jest niewinny, na pewno krzywdy mu nikt nie zrobi. Ale, ale... Znasz może nazwisko zamordowanej?

— Tak. Iwona Tomecka.

Zanotował na kartce papieru i odprowadził Walczakową do drzwi.

— Bądź dobrej myśli. Zrobię, co będę mógł.

Pocałowała go ze łzami w oczach.

Wrócił za biurko i znowu otworzył akta. Był wściekły. Miał wystarczająco dużo własnych kłopotów, a teraz jeszcze będzie się musiał zajmować Staszkiem Maciejczakiem. Tego mu tylko brakowało. Ale nie mógł Helence odmówić. Przyjaźń zobowiązuje. Będzie się musiał porozumieć z Leśniewskim i wyskoczyć na jeden dzień z Warszawy. Wiedział, że Leśniewski nie będzie zachwycony. Czekaj przecież niecierpliwie na ruszenie tamtej sprawy. Do diabła z tym wszystkim! A tu jeszcze jak na złość taka wspaniała pogoda. Ludzie siedzą na plażach, kąpią się w morzu, a ty siedz człowieku w czterech ścianach i łam sobie głowę, kto fabrykuje fałszywe dolary i czy

Staszek Maciejczak zabił, czy nie zabił.

Z niewesołych rozmyślań wyrwało Downara stukanie do drzwi. Wszedł porucznik Olszewski.

— Melduję się, obywatelu majorze — powiedział wesoło.

Downar wskazał krzesło.

— Siadajcie, kolego. Przychodźcie mnie odwiedzić, czy też macie interes?

— I jedno, i drugie.

— Słucham uważnie.

— Przypadkowo miałem wczoraj kontakt ze sprawą zabójstwa niejkiej Iwony Tomeckiej.

— O, wy także? — zdziwił się Downar.

— Nie rozumiem...

— Nic, nic, mówcie dalej.

— Przyjechał z Komendy Wojewódzkiej kapitan Grabicki.

Może go znacie?

Downar skrzywił się.

— Znam go. Straszny bufon.

— Może i ma trochę przewrócone w głowie — przyznał Olszewski — ale trzeba mu oddać sprawiedliwość, że facet inteligentny.

— No i co? — spytał niecierpliwie Downar.

— No i przyjechał do nas Grabicki, bo Iwona Tomecka mieszkała w Warszawie. Musiałem mu pomóc, czynić tu honory domu. Przy okazji rozmawialiśmy z mężem tej zamordowanej babki, Adamem Tomeckim. I wiecie, kto to jest?

— Skąd mam wiedzieć?

— To jest ten sam facet, którego widzieliśmy wtedy w Gdańsku w knajpie, w towarzystwie francuskiego marynarza. Zapomniałem, jak on się nazywał.

Downar ożywił się.

— Jedziemy — powiedział energicznie, wsuwając akta do szuflady biurka, — Powiedzcie, żeby nam dali jakiś wóz. Jeszcze na chwilę wpadnę do pułkownika.

ROZDZIAŁ VII

Franek Kociuba znalazł się w bardzo przykłej sytuacji. Wszyscy byli przeciwko niemu. W domu leśniczego nie mógł się pokazać, starzy Maciejczakowie najchętniej psami by go poszczuli, Z trudem znosili jego obecność. Hanka wprawdzie rozumiała, że musiał aresztować jej brata, ale nie witała go z dawną radością. Czuł wyraźnie, że dziewczyna ma jednak do niego głęboki żal. Przestał więc ją odwiedzać.

W rodzicielskim domu nastrój także nie był najlepszy. Matka, jak zwykle, bolała, że syn obrał sobie taki zawód.

Koniuszy milczał. Pewnego razu jednak zapytał:

— A jak to, Franeczku było z tym nożem, co go Staszek z Francji przywiózł?

— Zwyczajnie. Takim właśnie nożem została zabita Tomecka, a Staszek swojego nie ma. Szukał i nie znalazł. Cały dom przewrócił do góry nogami. A może tylko udawał, że szuka?

— Wierzysz w jego winę?

Franek wzruszył ramionami.

Franek usiadł na mchu i oparłszy głowę o pień ulubionej rozłozystej olchy, zamyślił się. W tej chwili uświadomił sobie, iż wolałby, aby się to wszystko nie stało. Początkowo wydawało mu się, że nadeszła jego wielka szansa życiowa, że wreszcie będzie się mógł wykazać, że zdobędzie awans i uznanie przełożonych. Jakże był głupi i naiwny! Śledztwo wziął w swoje ręce kapitan Grabicki z Komendy Wojewódzkiej i nie było mowy na temat, żeby sierżant Kociuba miał się włączyć do akcji. Wprost przeciwnie, wszystko wskazywało na to, że sierżant Kociuba spełnił już swoje zadanie i powinien znowu zająć się złodziejami kur i awanturnikami w gospodzie. Franek gorzko się uśmiechnął. Więc tak wygląda rzeczywistość! Jemu sprawa ta przyniesie zapewne tylko rozstanie z ukochaną dziewczyną. Hanka... Na myśl, że nie zechce go już nigdy widzieć, gwałtowny skurcz chwycił go za serce. Czy ich miłość miałyby się skończyć? Jeżeli skaza Staszka, zawsze będzie to stało pomiędzy nimi.

Jak odzyskać Hanke? Jak zrobić, żeby znowu byli razem?

Trzeba udowodnić, że to nie Staszek zabił. To jedyny sposób.

„Jak to się wszystko właściwie odbyło?” — myślał Franek, usiłując zrekonstruować sobie scenę zabójstwa. „Staszek jechał motorem i spotkał przypadkowo na szosie tę babkę. Czy można w to uwierzyć? Mało prawdopodobne. Raczej umówili się. Ale po co? Jeżeli chciała z nim pogadać, to mogła go zaprosić do siebie do Warszawy. A Jeśli Staszek mówi prawdę i rzeczywiście spotkanie było przypadkowe, czego szukała w tych stronach? Staszek twierdzi, że podwiózł ją do skrzyżowania i zostawił przy kapliczce. Co to za kombinacja? Zsiadła z motoru i co? Dokąd poszła? Musiała się z kimś umówić. Prawdopodobnie z mordercą. Czy miał przyjść pod kapliczkę? Mało prawdopodobne. Więc gdzie?” Nagle Franek uderzył się pięścią w głowę. „Stara gajówka! No tak, stara gajówka... Idealne miejsce do tajemniczych spotkań”.

Podniecony nową koncepcją, przyśpieszył kroku. Postanowił zajrzeć do starej gajówki. „A nuż znajdę tam coś takiego, co mnie naprowadzi na jakiś ślad” — zapalał się coraz bardziej. Nagle przystanął. Dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że to przecież kawał drogi. Z pałacowego parku do skrzyżowania pod kapliczką pewnie ze trzy kilometry, a potem jeszcze lasem ze sześć. Nie było sensu iść piechotą. Zawrócił do rodzicielskiego domu.

Koniuszy siedział na ławce i pykał fajeczkę. Zobaczywszy, że chłopak wyprowadza z szopy motor, spytał:

— Już odjeżdżasz, Franuś? Przecie jeszcze wczesnie.

— Wrócę. Mam coś do załatwienia w okolicy.

— Chcesz poszukać mordercy tej dziewczyny? — pytał stary Kociuba.

— Może... — uśmiechnął się Franek.

Siadł na motor i pojechał.

Do kapliczki droga była możliwa, ale potem trzeba było skręcić w las. Wąskie ścieżki, wijące się między krzakami, nie pozwalały na większą szybkość. Motocykl co chwila wpadał w jakiś wykrot, podskakiwał na korzeniach, pochylał się na gwałtownych zakrętach. Franek musiał mocno trzymać kierownicę i często pomagał sobie nogami, ratując się przed

upadkiem.

Wreszcie wydostał się na szerszą leśną drogę i odetchnął z ulgą. Mógł teraz jechać prędzej, nie bojąc się, że wpadnie w jakąś niebezpieczną dziurę.

Popołudniowe słońce, przesiane przez gałęzie drzew, jasnymi smugami rozweselało las. Przestraszona wiewiórka wspięła się błyskawicznie na ogromną sosnę. Zdziwiony dzięcioł przestał na chwilę stukać w pień i przyjrzał się człowiekowi, który robił tyle szumu.

Franek dodał gazu. Uważnie patrzył na drogę. Bał się, żeby nie minąć ścieżki, w którą trzeba było skręcić. Dawno tu nie był.

Osmalony piorunem pień zwalonej brzozy, a pod nim mrowisko ułożone misternie z suchych igieł sosnowych. To tutaj.

Zwolnił i skręcił w lewo. Od razu poczuł, że jedzie po miękkim, podmokłym gruncie. Liściaste drzewa i bujne, szeroko rozrośnięte krzaki nie przepuszczały promieni słonecznych. Było ciemno i ponuro. Od pobliskich mokradeł szedł chłód i zapach stęchłej wilgoci.

Za torfowiskiem ścieżka rozszerzała się, przechodząc w niewielką polankę, na końcu której stała stara gajówka, oparta o ścianę lasu. Ot, zwykła, wpadnięta w ziemię chata od dawna nie zamieszkała. Pochylone ściany porośłe były mchem, powojem i dzikim winem. Powybijane okna pozakładał ktoś przegniłymi deskami.

Nastrój smutku i zniszczenia przygnębiająco podział na Franka. Ogarnął go jakiś nie uzasadniony niepokój, a uczucie to było tak silne, że mimo woli dotknął kabury, w której tkwił pistolet. Rozejrzał się dokoła, następnie zaś zaczął wolno i ostrożnie iść ku walącemu się domowi. Nie wiadomo dlaczego zachowywał się tak, jakby za poczerniałymi ze starości drzwiami czaiło się jakieś niebezpieczeństwo.

Wreszcie doszedł, wyjął pistolet i lewą ręką nacisnął pokrytą grubą warstwą rdzy klamkę.

Izba była pusta. Przez szpary w deskach, zasłaniających okna, wsączały się wąskie struga anemicznego światła.

Mroczne wnętrze wypełniało wilgotne powietrze przesycone sęchlizną i ostrym zapachem gnijących roślin. Na środku stał stół, a raczej coś, co przed laty było stołem. Brakowało dwóch nóg, pęknięty i porośnięty mchem blat opierał się na brzoźowym pieńku. Prócz tego dwa połamane stołki, prosta ława z nie heblowanej deski i żelazne, zardzewiałe łóżko. Ze ścian zwieszały się olbrzymie pajęczyny i resztki ram, w których zapewne kiedyś tkwiły barwne oleodruki.

Franek wsunął pistolet do kabury, usiadł na ławie i zapalił papierosa. Nie był zadowolony z siebie. „Po jakiego diabła tu przyjechałem?” — myślał ze złością. — „Co mi strzeliło do łba, że w tej ruderze dowiem się, kto jest mordercą? Idiota ze mnie, skończony idiota!”. Był wściekły na siebie, że przed chwilą poddał się zupełnie nie uzasadnionemu nastrojowi jakiejś groźnej tajemniczości, że wszedł tutaj z pistoletem w rękę. Czuł, że zachował się jak głupi smarkacz i, chociaż nikt go nie widział, było mu wstyd.

Wąskie pasmo promieni słonecznych spływało do izby przez otwarte drzwi. W świetle tym drobinki kurzu wirowały jak maleńkie muszki, szukające bezpiecznego schronienia. Wilgotny chłód zbliżającego się wieczoru coraz szerszym kręgiem ogarniał polanę i starą gajówkę.

Franek posępnym spojrzeniem wodził po niewesołym wnętrzu izby. Nagle jego wzrok zatrzymał się na czymś, co wyglądało jak reszotka pajęczyny. Podniósł się i podszedł do stołu. Nie, to nie była pajęczyna. To były dwie czerwone nitki, wyrwane z jakiejś cienkiej tkaniny. Musiało się to stać niedawno, bo zarówno kolor, jak i konsystencja nitek nie uległy jeszcze niszczyielskiemu działaniu wilgoci.

Odkrycie to zelektryzowało Franka. Więc jednak nie na próżno tu przyjechał! Więc przecucie nie omyliło go! W jednej chwili stanęła mu przed oczami zamordowana dziewczyna. Miała na sobie popielaty kostium z cieniutkiej wełny czy też z tergalu, a pod nim czerwony sweterek. Jeżeli znalezione nitki pochodzą z tego sweterka... Ale zaraz pojawiło się zwątpienie. Mało to takich sweterków na świecie? Skąd pewność, że chodzi tu właśnie o sweterek Iwony Tomeckiej? Równie dobrze, mogła

się schronić do tej rudery jakaś zakochana para, nie mająca nic wspólnego ani z Tomecką, ani z jej mordercą. A zresztą gdyby nawet rzeczywiście Iwona Tomecka była w tej chacie, to skąd nitki z jej sweterka na stole, zaczepione o nierówność na wpół zbutwiały] deski Sweterek miała pod żakietem, więc musiałaby go zdjąć, żeby zostawić czerwone nitki na stole.

Mimo najróżnorodniejszych wątpliwości, we Franka wstąpił nowy duch. Tak czy inaczej coś jednak znalazł. Próbował zrekonstruować sobie ewentualny przebieg wypadków. „A więc założmy, że Iwona Tomecka spotkała się w starej gajówce ze swym mordercą. Mieli coś do omówienia, Ale co? I dlaczego postanowili się spotkać akurat w takiej dziurze? Porozmawiać można w pierwszej lepszej warszawskiej kawiarni. Po to nie musiała przyjeżdżać aż tutaj. Jeżeli szukali takiego odludzia, to mieli po temu jakieś bardzo poważne powody. Nie chcieli, żeby ktoś ich razem widział. A może to jakaś miłosna historia? Może facet bał się żony?“. Ostatnia koncepcja wydała się jednak Frankowi mało prawdopodobna.

Dręczony niepewnością i nie przekonany o słuszności swego rozumowania, Franek ostrożnie zwinął nitki i wsunął je do pudełka z zapalkami. W tym momencie przyszło mu na myśl, że jeżeli byli we dwoje, ofiara i morderca, to może morderca także zostawił jakiś ślad. Zaczął więc szukać, zaglądnąwszy uważnie w każdy kąt. Na próżno. Nic ciekawego nie znalazł. Dopiero, kiedy poszukiwania przeniósł poza obręb chałupy, natrafił na coś, co przykuło jego uwagę. Za domem, w wysokich pokrzywach czernił się jakiś podłużny przedmiot. Była to pochwa od fińskiego noża.

Na ten widok Franek gwizdnął przeciągle. Wyjął z kieszeni chusteczkę i ostrożnie owinął w nią dowód rzeczowy. Przez ostatni tydzień utrzymywała się słoneczna pogoda. Może więc zachowały się jeszcze odciski palców?

— Do diabła — mruzczał. — Zdaje się, że nie na darmo tu przyjechałem.

Zaczęło się ściemniać. Franek, podniecony rezultatami wyprawy, szukał jeszcze czas jakiś w pobliżu gajówki, ale nic już nie znalazł.

W drodze powrotnej po raz setny chyba analizował sprawę zabójstwa Iwony Tomeckiej. Morderca zwabił ofiarę do tej zagubionej w lesie chaty, gdzie dokonał zbrodniczego czynu. Nasuwało się jednak pytanie, gdzie zostało popełnione morderstwo, w starej gajówce czy nad brzegiem rzeki? Za umiejscowieniem zbrodni w gajówce przemawiała czarna skórzana pochwa, znaleziona w pokrzywach. Zabójca użył noża, a pochwę wyrzucił.

Był pewny, że nikt jej tam nie znajdzie. Ale co dalej? W jaki sposób przetransportował zwłoki do rzeki? Nie było to wprawdzie bardzo daleko, ale zawsze kilka kilometrów, siedem albo osiem, musiał więc zamordowaną przewieźć samochodem. Nie mógł jednak podjechać pod gajówkę. Wóz by nie przeszedł pomiędzy gęstymi krzakami. Więc jak? Przeniósł zwłoki do szerszej drogi i tam włożył do bagażnika. Sam nie dałby rady. Musiało ich być dwóch, a może dwoje? Dlaczego zostawili nóż w plecach swej ofiary? Może dlatego, żeby uniknąć krwawienia. A może morderstwa dokonano nad rzeką? Bo jeżeli zbrodniarz zabił Tomecką w gajówce, po jakiego licha miałyby nieżywą taszczyć do rzeki? Przecież o wiele prościej było wykopać dół w lesie. Łatwiej i mniejsze ryzyko. A jeżeli zamordował nad rzeką... Wszystko to jakoś nie trzymało się kupy. Zwłoki musiały być wrzucone do wody niedaleko pałacowego parku, w przeciwnym razie zatrzymałyby się o wiele dalej, w górze rzeki. Stworzenie wyraźnego obrazu sytuacji nie było łatwe. Nadaremnie sierżant Kociuba łamał sobie głowę, pragnąc zrekonstruować przebieg wypadków. Wreszcie opadły go dręczące wątpliwości. „A może zupełnie niepotrzebnie się męczę — pomyślał. — Może ta pochwa nie ma nic wspólnego z morderstwem? Może to tylko przypadek?”.

Późnym wieczorem Franek wrócił do rodzicielskiego domu.

ROZDZIAŁ VIII

Downar miał właśnie zamiar pójść na obiad, kiedy zadzwonił telefon. Posłyszał znajomy głos:

— Mógłbyś wpaść do mnie na chwilę?

— Mógłbym — odparł wkładając akta do szuflady. — Masz może dla mnie jakieś nowe sensacje?

— Może i mam. Przychodź.

Leśniewski siedział za biurkiem w koszuli z zakasаныmi rękawami. Okna jego gabinetu wychodziły na południo-zachód i, mimo zasuniętych zasłon, gorąco było nie do wytrzymania. Na bocznym stoliku stały dwa syfony z wodą sodową, kilka szklanek i wiaderko z lodem.

— Cieplutko — powiedział Downar, patrząc z uśmiechem na przyjaciela.

Leśniewski wytarł chustką mokry od potu kark.

— Topię się. Istna łaźnia parowa.

— Świetnie na twój artretyzm!

— Nie mam artretyzmu — mruknął niechętnie Leśniewski — natomiast czuję, że mi się zupełnie rozmiękczył mózg. Głowa przestaje pracować.

— To słabo. — Downar zrobił zafrasowaną minę. — Może byś wziął urlop i pojechał trochę nad morze?

Leśniewski uśmiechnął się melancholijnie.

— Pomysł znakomity, wielka szkoda, że niewykonalny. Powiedz mi, Stefan, jak nasze sprawy? Zdziałałeś coś?

— Jak dotąd niewiele. Widziałem się z Bielniakiem.

— No i cóż Bielniak? Zawsze taki pełen energii?

— Bez zmian. Wszystko trzyma w garści. Cała komenda chodzi jak szwajcarski zegarek.

— A co mówi w sprawie tego morderstwa?

— Ano nic. Wsadził do pudła Staszka Maciejczaka i czeka, co będzie dalej. Grabicki prowadzi śledztwo na tamtym terenie.

Leśniewski pokiwał głową.

— To wiem. Zdolny facet, tylko trochę zbyt pewny siebie.

— Przejdzie mu to — uśmiechnął się Downar. — Młody jeszcze. Chce się wybić. Ma duże ambicje. Z wiekiem człowiek przestaje być taki pewny siebie.

— Bielniak wierzy w winę tego chłopaka? — spytał Leśniewski.

— Nie bardzo.

— A ty?

— Ja także nie bardzo.

— Czy to prawda, że Staszek Maciejczak to siostrzeniec Walczakowej?

— Tak. Helena nawet u mnie była, prosząc, żebym się zajął tą sprawą.

— A ty nie miałeś ochoty?

— No..., niezbyt mi to pasowało. Przecież wiesz, że jestem cholernie zajęty. Ci fałszerze dolarów...

— Otrzymałem wiadomość z Paryża — powiedział nagle Leśniewski.

— O! — zdziwił się Downar. — Czegóż chce od ciebie de Gaulle?

— Policja francuska poszukuje niejakiej Iwony Tomeckiej. Może cię to zainteresuje?

Downar podskoczył na krześle.

— Do diabła! Mówisz poważnie?

— Jak najbardziej. Widzę, że cię ożywiła ta wiadomość.

— No chyba! A czy możesz mi powiedzieć, czego chce policja francuska od Iwony Tomeckiej?

— Podejrzewają ją o popełnienie morderstwa i o udział w gangu fałszerzy obcej waluty.

— Odpowiedziałeś im?

— Oczywiście. Napisałem, że Iwona Tomecka została zamordowana.

Downar zamyślony przeciągnął dłonią po czole. Następnie wstał, podszedł do stolika i napełnił szklankę wodą sodową.

— Bądź łaskaw nalać i dla mnie — poprosił Leśniewski. Wypił wodę, odsapnął i rzekł po chwili:

— No to chyba teraz nabrałeś ochoty, żeby się zainteresować zabójstwem Iwony Tomeckiej.

Downar usiadł.

— Tak... rzeczywiście... to się fantastycznie układa. Nigdy nie przypuszczałem, że...

— Co teraz myślisz o tym chłopaka, którego zamknął Bielniak?

— No cóż... Trochę mnie zastanawia fakt, że Staszek

Maciejczak siedział ostatnio prawie rok we Francji. Objeżdżał tam konie i przy jakiejś okazji poznał Tomecką, w której się zakochał. Czytałem jego list miłosny. Są w nim nawet groźby.

— Tomecka miała, zdaje się, duże powodzenie — zauważył Leśniewski.

— O tak! Ogromne. Lecieli na nią i młodzi i starzy. Nawet Stefaniak, dyrektor stadniny, romansował z nią, chociaż facet już ma wnuki.

— Taki zakochany dziadzius może być niebezpieczny — uśmiechnął się Leśniewski. — Co o nim sądzisz?

— Jeszcze nic. Nie zapominaj, że dopiero zaczynam się przyglądać sprawie. Miałbym do ciebie pewną prośbę.

— Słucham.

Downar znowu nalał sobie wody i wrzucił do szklanki kostkę lodu. — Obecnie przebywa w Polsce Adam Tomecki — rzekł, patrząc pod światło na musujący płyn.

— Mąż Iwony Tomeckiej?

— Były mąż. Rozwiedli się. On stale mieszka w Paryżu. Ma obywatelstwo francuskie.

— Czy chciałbyś, abym w związku z Tomeckim załatwił coś?

— Tak. Pomóż mi zatrzymać go w kraju w wypadku, gdyby chciał wracać do Paryża. Mam wrażenie, że mógłby mi się bardzo przydać w śledztwie.

Leśniewski skrzywił się sceptycznie.

— No... nie jestem pewien, czy mi się to uda. Nie mogę przecież obywatela francuskiego zatrzymać siłą bez bardzo ważnego powodu. Postaram się jednak jakoś tak po-kombinować, żeby ewentualnie opóźnić jego wyjazd z Polski. Zamordowana była jego żoną, z którą on prawdopodobnie utrzymywał stosunki towarzyskie. Możemy mu wysłać wezwanie do Komendy z jakąś odleglejszą datą, albo...

— Wymyśl coś — prosił Downar. Wolałbym mieć faceta pod ręką, dopóki nie wyjaśnię sprawy. Być może, że nie ma on z tym nic wspólnego, ale... Nie tak dawno widziałem go w Gdańsku w towarzystwie francuskiego marynarza, którego nasi ludzie podejrzewali o kontakt z handlarzami fałszywą walutą.

— Nie mogli zatrzymać tego marynarza?

— Nie. Nie było przeciw niemu wystarczających dowodów.

— Hm... — mruknął Leśniewski. — Wygląda na to, że ten bigosik gotuje się tym razem we francuskim sosie.

Downar pokręcił głową.

— Nie wiadomo. Mamy jeszcze i wiedenkę na okrasę.

— Wiedenkę?

— Tak. Młoda, przystojna wiedenka. Plastyczka. Brała udział w wycieczce, którą na dzień przed śmiercią prowadziła Tomecka. Podobno bardzo przyjacielsko ze sobą rozmawiały. Robiły wrażenie, jakby się znały od dawna.

— Dodatkowa komplikacja — mruknął Leśniewski, spoglądając na zegarek. — Nie gniewaj się, ale muszę zaraz jechać na Rakowiecką. Ważna konferencja. Nie chciałbym się spóźnić.

Downar wrócił do siebie. To co usłyszał, podnieciło go i zachęciło do natychmiastowej akcji. Zamordowanie tej dziewczyny rysowało mu się teraz wyraźniej. Jego tłem była prawdopodobnie afera walutowa. Międzynarodowy gang fałszerzy. Ich wewnętrzne porachunki, pozbycie się Tomeckiej, która w jakiś sposób im zagrażała — wszystko nabierało teraz realniejszych kształtów. Downar wiedział, że będzie musiał solidnie popracować, zanim tę sprawę rozszyfruje. Miał do czynienia z przeciwnikiem inteligentnym, perfidnym, nie cofającym się przed niczym, nawet przed morderstwem. Trzeba było partię rozegrać spokojnie, z zimną krwią. Każde posunięcie musiało być starannie przemyślane. Jeden nierozważny ruch mógł kosztować drogo, pociągnąć za sobą nowe ofiary. Nie ulegało wątpliwości, że przeciwnik szedł wa bank i nie miał nic do stracenia.

Myśląc o Staszku Maciejczaku, Downar doznawał uczucia gwałtownego niepokoju. Jaką rolę odegrał ten chłopak? Czy był niewinny, czy też...? Tomecka mogła go jeszcze we Francji wciągnąć do gangu. A kto się raz zwiąże z takimi ludźmi, ten już nie ma odwrotu. Możliwe, iż Tomecka chciała się wycofać i dlatego... Nie można wykluczyć, że Staszek działał na polecenie gangu i dokonał zabójstwa, chcąc ratować własną skórę. Co prawda, ostatnia hipoteza była stosunkowo mało

przekonywająca. Zakochany chłopak usiłowałby uciekać z dziewczyną. Taka reakcja byłaby bardziej prawdopodobna. Ale jeżeli to typ człowieka słabego... Jeżeli dał się zastraszyć? Wreszcie, może to nie on zamordował, może był tylko współnikiem zbrodni? Podwiózł ofiarę na miejsce, gdzie czekał właściwy morderca...

A dyrektor Stefaniak? Czy w nowej sytuacji należało go wykluczyć, skreślić z listy kandydatów na mordercę Tomeckiej? Chyba nie. W rezultacie może się okazać, że właśnie Stefaniak, zdradzony, odtrącony kochanek, w przystępie rozpaczy... Ma rację Leśniewski, że taki zakochany starszy pan może być niebezpieczny.

Downar zaczął szukać papierosów. W chwilach silnego napięcia nerkowego wracał dawny nałóg. Nie znalazł nic do palenia i wobec tego zaczął obgryzać koniec ołówka, zastanawiając się nad dalszym działaniem.

* * *

Nazajutrz z samego rana przyjechał Grabicki. Downar wezwał go telefonicznie. Wobec zmiany sytuacji przejmował śledztwo, ale nie chciał robić przykrości młodszemu koledze i zupełnie odsuwać go od sprawy. Zresztą Grabicki sporo już zdziałał i mógł być w dalszym ciągu bardzo pomocny.

Kapitan był trochę zaniepokojony, że Komenda Główna tak bardzo interesuje się tą sprawą. Na prośbę Downara opowiedział raz jeszcze wszystko od początku i czekał cierpliwie, co będzie dalej.

— Znacie bliżej sierżanta Kociubę? — spytał Downar.

Grabicki potrząsnął głową.

— Nie. Dopiero teraz zetknąłem się z nim po raz pierwszy.

— Jakie wrażenie zrobił na was ten człowiek?

— Taki sobie chłopek-roztropek — uśmiechnął się pobłaźliwie Grabicki. — Ma ogromne ambicje.

— Ambicje u młodego człowieka to cenna rzecz — zauważył Downar. — Czy Kociuba jest w jakiś sposób związany ze Staszkiem Maciejczakiem?

— Tak. Siostra Maciejczaka to jego narzeczona.

— O, do licha! Poważna komplikacja. Z waszego opowiadania wynika, że Kociuba odstawił Maciejczaka do komendy.

— Tak.

— Musiało go to sporo nerwów kosztować.

— Oczywiście.

— Przesłuchiwaliście Maciejczaka?

— Nieraz. Ostatnio nawet wczoraj z nim rozmawiałem.

— Zeznał coś nowego?

— Właściwie nie... Chociaż... Wczoraj po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że coś jest nie w porządku z tym nożem.

— To znaczy?

— Staszek Maciejczak początkowo twierdził, że swoją finkę, którą przywiózł z Francji, schował do komody. W obecności sierżanta Kociuby przeszukał cały dom i noża nie znalazł. W czasie wczorajszego przesłuchania wyczułem, jakby się trochę płątał w zeznaniach. W tej chwili już nie jestem taki pewien, czy schował nóż do szuflady w komodzie. I dlatego...

— I dlatego podejrzewacie Maciejczaka, że miał wtedy finkę ze sobą — dokończył Downar.

— Właśnie! — przytaknął Grabicki. — To mi nie daje spokoju. Bo jeżeli chłopak miał wtedy nóż przy sobie, a teraz udaje, że ktoś mu go gwizdnął...

Downar pokiwał głową.

— Tak. Macie rację. Teoretycznie rzecz biorąc, to by pogarszało jego sytuację. No cóż... zobaczymy. Nie powinniśmy się niczym sugerować. Musimy ustalić fakty, a nie bawić się w domysły.

Grabicki miał zakłopotaną minę.

— Chciałbym o coś spytać, obywatelu majorze.

— Słucham?

— Bo... właściwie nie wiem, jak teraz będzie... Jeżeli wy przejmujecie sprawę, to chyba ja jestem niepotrzebny.

Downar uśmiechnął się.

— Będę z wami zupełnie szczerzy — powiedział przyjacielsko.

— Wszystko wskazuje, że zabójstwo Iwony Tomeckiej łączy się przypadkowo z zupełnie inną sprawą, którą ja od jakiegoś czasu nadaremnie usiłuję rozszyfrować, Chodzi o fałszerzy

obecnej waluty. W tej sytuacji przejmę sprawę, ale nie chciałbym zrezygnować z waszej współpracy. Zrobiliście bardzo dużo, zebraliście sporo cennego materiału informacyjnego... Więc, jeżeli nie macie nic przeciwko temu, to może wspólnie zaczniemy działać...?

Grabicki przełknął ślinę. Z trudem usiłował maskować rozczarowanie, „Znowu sprzątnęli mi sprzed nosa ciekawą sprawę” – myślał rozgoryczony. Głośno zaś powiedział:

– Bardzo chętnie, obywatelu majorze, z największą przyjemnością. Jeżeli tylko pułkownik Bielniak się zgodzi.

– Zgodzi się, zgodzi – zapewnił Downar.

– Już ja to załatwię. A zresztą morderstwo zostało popełnione na waszym terenie, więc...

Powiedzcie mi teraz, czy widzieliście się z tym rolnikiem, co to mieszka pod Sochaczewem?

– Nie. Jeszcze u niego nie byłem.

– Myślę, że należałoby złożyć mu wizytę. Przypomnijcie mi, jakżeście do niego doszli.

– Przez malarza, który był przyjacielem Tomeckiej.

Downar zajrzał do akt.

– Marek Świdnicki. A w jaki sposób doszliście do niego?

– Podała mi jego adres Anna Mierzwińska, także malarka.

– Co to za babka?

– Taka sobie...

– Młoda, stara?

– W średnim wieku. Będzie miała ze czterdzieści parę.

Downar znowu zaczął obgryzać koniec ołówka.

– Czy podczas rozmowy nie wydało wam się, że ona interesuje się Świdnickim? – spytał.

Grabicki był wyraźnie zaskoczony. Wyglądał na człowieka, w którego myślach ktoś nagle zaczął bezceremonialnie czytać.

– Tak jest, rzeczywiście. Przyszło mi to wtedy do głowy. Mielibyśmy nowy element w naszej sprawie.

Downar skinął głową.

– Oczywiście. Możemy stworzyć sobie od razu dodatkową wersję morderstwa: starzejącą się malarkę porzuca młody przyjaciel, który zakochał się w Iwonie Tomeckiej. I gotowy

motyw zbrodni: zazdrość, chęć usunięcia niebezpiecznej rywalki.

Grabicki, zbity z tropu, niepewnie spoglądał na mówiącego.

— Przyznaję, że zupełnie nie brałem pod uwagę takiej ewentualności. Jestem trochę zaskoczony. W takim razie, co robimy?

— Przede wszystkim nie tracimy zimnej krwi — uśmiechnął się Downar. — Przyznaję, że łatwo się zgubić w takiej wielocłonowej i skomplikowanej sprawie. Wyczerpiemy wszystkie możliwe ewentualności, a następnie powoli, bez pośpiechu będziemy działać na drodze eliminacji. Coś wam zaproponuję, kolego: spróbujcie ustalić, czy rzeczywiście pani Mierzwińska jest zakochana w Świdnickim, a następnie zainteresujcie się jej alibi. Musicie oczywiście zachować jak najdalej posuniętą ostrożność i dyskrecję. Ja skontaktuję się z Tomeckim. Myślę, że jutro moglibyśmy się wybrać razem pod Sochaczew. Co wy na to?

Grabicki wstał.

— Natychmiast zabieram się do roboty — rzekł energicznie.
— Szkoda czasu.

Downar wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Cześć! — powiedział serdecznie. — Życzę wam powodzenia. A nie myślcie, że z rozmysłem sprzątnąłem wam sprzed nosa interesującą sprawę. Po prostu tak się złożyło.

Grabicki zaczerwienił się.

— Ale skądże, obywatelu majorze, nic takiego nie myślałem — bąknął speszony i wyszedł pośpiesznie z pokoju.

Początkowo Downar miał zamiar wezwać Tomeckiego do komendy, ale po namyśle zrezygnował. Doszedł do wniosku, że rozmowa w hotelu będzie miała swobodniejszy charakter. Upewnił się, że jego „pacjent” jest w swoim pokoju i pojechał windą na górę. Telefonicznie wolał nie zapowiadać wizyty.

Tomecki był niemile zaskoczony odwiedzinami. Nie silił się nawet na uprzejmy ton.

— Zupełnie nie rozumiem, panie majorze, czego wy jeszcze

ode mnie chcecie? Byli tu już u mnie z milicji i powiedziałem im wszystko, co wiem w tej sprawie, a wiem bardzo niewiele.

Downar udał zażenowanego.

— Proszę mi wybaczyć. Doprawdy bardzo mi przykro, że pana niepokoję, ale tak się złożyło, że właśnie ja przejmuję śledztwo i, niestety, jestem zmuszony zabrać panu chwilę czasu. Jeżeli dzisiaj jest to dla pana niewygodne, mogę przyjść innego dnia, jutro czy pojutrze.

Tomecki zawahał się. Szybko jednak podjął decyzję.

— Jeśli rozmowa jest niezbędna, wołałbym ją odbyć od razu — powiedział chłodno. — Nie wiem, czy jutro będę dysponował czasem. Mam już umówione spotkania. Proszę, może pan usiądzie. Słucham?

Nie wyjął papierosów, ani nie poczęstował swego gościa żadnym trunkiem.

Downar ciągle odgrywał rolę speszzonego. Mogło się zdawać, że jest młodym oficerem, który dopiero rozpoczyna karierę śledczą.

— Zapewniam, że nie zabiorę panu zbyt dużo czasu. To tylko czysta formalność. Postaram się streszczać. Pragniemy przecież, żeby nasi zagraniczni goście wywieźli z Polski jak najmilejsze wspomnienia. A rozmowy na te tematy nie należą, niestety, do najprzyjemniejszych...

— Więc słucham? — powiedział niecierpliwie Tomecki. — Jakich właściwie informacji spodziewa się pan ode mnie?

Downar odchrząknął. Zachowanie się tego człowieka zaczynało go denerwować. Postanowił jednak nie wypadać z roli.

— Zdaje się, że pan pracuje w branży filmowej?

— Tak.

— Czy pańska była żona także miała coś wspólnego z filmem?

— Nie. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo.

— Jak często przyjeżdża pan do Polski?

— Bardzo różnie. W zeszłym roku byłem dwa razy. W tym roku to moja pierwsza wizyta.

— Czy w czasie obecnego pobytu kontaktował się pan osobiście z byłą żoną?

— Nie.

Downar uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Bardzo bym prosił, żeby pan sobie przypomniał — rzekł wolno, akcentując wyraźnie poszczególne słowa — bo nie chciałbym, aby coś się panu skomplikowało.

— A cóż mi się może skomplikować? — zachnął się Tomecki.

— Widzi pan — mówił dalej Downar tym samym spokojnym, łagodnym głosem — sprawa wygląda w ten sposób, że przeprowadziliśmy dość dokładną rewizję w mieszkaniu pani Tomeckiej i przy okazji nasi specjaliści zajęli się odciskami palców. Wytworzyłyby się niezręczna sytuacja, gdyby się okazało, że mimo pańskich zapewnień, pozostawił pan jednak odciski palców w mieszkaniu zmarłej.

— Czyżby pan miał zamiar rejestrować moje linie papilarne? — spytał z niezbyt szczerą wesołością Tomecki.

Na twarzy Downara pojawił się znowu ten sam pełen zakłopotania uśmiech.

— Och, zdobycie czyichś odcisków palców to nie żadna sztuka. Stołuje się pan w hotelu. Nie sądzę, żeby pan do śniadania, czy do obiadu wkładał rękawiczki.

— O co wy mnie właściwie posądzacie?! — krzyknął wyprowadzony z równowagi Tomecki. Wypraszam sobie! Dosyć mara już tych indagacji. Wniosę skargę do pańskich władz, że nie dajecie mi spokoju i zawracacie głowę jakimiś zupełnie bezsensownymi podejrzeniami. To jest skandal. To jest...

— Więc pan przyznaje, że pan odwiedzał byłą żonę — powiedział Downar.

Tomecki milczał przez chwilę, wysapując wzburzenie. Kiedy się znowu odezwał, głos już miał prawie zupełnie spokojny.

— No więc dobrze, przyznaję, że rzeczywiście odwiedziłem moją byłą żonę. Byłem u niej jeden raz. Czy to panu wystarcza?

Downar pochylił głowę.

— Dziękuję. Chciałbym jeszcze wiedzieć, dlaczego pan usiłował to przed nami zataić?

— Och, to chyba zrozumiałe. Po tragicznej śmierci Iwony nie chciałem być zamieszany w uciążliwe formalności związane ze

śledztwem. Woląłem utrzymywać, że w ogóle już się nie komunikujemy.

— Czyżby był to nawrót uczucia? — uśmiechnął się dyskretnie Downar.

— Nie, nie — zaprzeczył żywo Tomecki. — Od dawna już nas nic nie łączyło poza serdeczną przyjaźnią. Rozstaliśmy się w najlepszej zgodzie i dlatego...

— Rozumiem. Poszedł więc pan do byłej żony z przyjacielską wizytą.

— Tak.

— Czy można wiedzieć, czyja to była Inicjatywa, pana czy jej? Tomecki bezradnym gestem rozłożył ręce.

— Nie pamiętam. Przykro mi, ale naprawdę nie pamiętam. Rozmawialiśmy telefonicznie, ale kto zaproponował spotkanie... Chyba Iwona... Zapewne ona mnie zaprosiła.

— Czy nie zwierzała się panu z jakichś kłopotów? Czy może mówiła, że się czegoś obawia, że ktoś ją prześladowuje?

— Zaraz... zaraz... — Tomecki zmarszczył brwi i oparł brodę na zwiniętej pięści. — Teraz, jak o tym rozmawiamy — mówił wolno — rzeczywiście przypomina mi się, że Iwona była jakaś dziwna...

— To znaczy jaka?

— Była zdenerwowana, niespokojna, parę razy wyjrzała przez okno. Robiła wrażenie, jakby na kogoś czekała. Nawet ją zapytałem, czy nie przeszkadzam?

— A ona?

— Zapewniła mnie, że na nikogo nie czeka. Prosiła, żebym jeszcze posiedział.

— Czy miał pan jakiś interes do byłej żony?

— Właściwie nie. Tak przyszedłem pogadać. Ale nie... owszem... Iwona chciała mi oddać pieniądze, które jej kiedyś pożyczyłem.

— Czy nie mówiła panu, dlaczego jest niespokojna i zdenerwowana?

— Nie. Skarżyła się tylko, że jest bardzo przemęczona, że ostatnio dużo pracuje.

— Czy sądzi pan, że zdenerwowanie i niepokój mogły być

spowodowane przepracowaniem?

— Bo ja wiem... Nie zastanawiałem się nad tym.

Downar niepostrzeżenie wyszedł z roli nieśmiałego debiutanta i całkowicie przejął inicjatywę w rozmowie. Panował nad sytuacją, ale ciągle jeszcze nie miał skryzalizowanego poglądu na rolę Tomeckiego w sprawie.

— Czy ma pan może jakąś swoją, prywatną opinię o tej zbrodni? Czy podejrzewa pan kogoś?

Tomecki potrząsnął głową.

— Nikogo nie podejrzewam i zamordowanie Iwony było dla mnie zupełnym zaskoczeniem. Nie mam pojęcia, komu mogło zależeć na jej śmierci. Zastanawiałem się nawet nad tym...

— I do jakich wniosków pan doszedł?

— Ze chyba była to zbrodnia na tle miłosnym. Niestety, Iwona obok bardzo wielu zalet miała jedną dużą wadę: lubiła zawracać mężczyznom w głowach. Bawiło ją to, pasjonowało igranie z czyimś uczuciem. To był jeden z najpoważniejszych powodów naszego rozvodu. Wiele razy próbowałem jej tłumaczyć, że prowadzi nieuczciwą grę. Nic nie pomagało. Przyznała mi rację, ale przy najbliższej okazji zarzucała sieci na jakąś nieszczęsną ofiarę, a że była kobietą bardzo piękną, więc...

— Zna pan Staszka Maciejczaka? — spytał Downar.

Tomecki zrobił zdziwioną minę.

— Maciejczaka? Nie. Pierwszy raz słyszę to nazwisko. Kto to taki?

— Młody jeździec. Niedawno wrócił z Francji, gdzie ujeżdżał konne w jakiejś prywatnej stadninie. Myślałem, że może się pan z nim spotkał we Francji.

— Nie. Zresztą jestem z branży filmowej, a nie z końskiej.

— Czy pozwoli pan zadać sobie jeszcze jedno pytanie?

— Bardzo proszę. Nawet więcej.

— Czy pan polował kiedyś na kaczki?

Tomecki zdumiał się. Zamrugał oczami i niespokojnie spojrzął na swego rozmówcę, jakby nie był pewien, czy ma do czynienia z człowiekiem zupełnie normalnym.

— Czy polowałem kiedyś na kaczki...?!

— Właśnie — przytaknął Downar, udając, że nie zauważa

wrażenia, jakie wywarły jego słowa.

— Ale co to ma do rzeczy...? Nie rozumiem...

Downar uśmiechnął się.

— Proszę mi nie mieć za złe. Mam, może trochę dziwne, ale własne metody prowadzenia śledztwa. Gromadzę informacje, które pozornie nie mają nic wspólnego ze sprawą. Jak panu zapewne wiadomo, zwłoki tragicznie zmarłej pańskiej byłej żony zostały znalezione w rzece, zarośniętej i otoczonej bujnymi szuwarami.

— Nic z tego wszystkiego nie rozumiem — mruknął Tomecki.

— Być może, że jestem trochę zmęczony, ale nie podążam za biegiem pańskiego rozumowania.

Downar nie zareagował na ostatnie zdanie. Spytał:

— Czy pańska była żona często jeździła do Francji?

— Tego nie wiem. Być może, że z wycieczkami „Orbisu” — Zresztą nie orientuję się, czy „Orbis” organizuje wycieczki do Paryża.

— Ale mogła jeździć indywidualnie, na zaproszenie — podsunął Downar.

— Oczywiście.

— Czy spotykał się pan ze swoją byłą żoną we Francji?

W oczach Tomeckiego błysnęło coś jakby wahanie.

— Nie. Nie spotykałem się z Iwoną w Paryżu. Powiedziałem przecież panu, że nasze kontakty były bardzo luźne. Nie interesowałem się tym, gdzie jeździ, co robi. Mam swoje sprawy, swoje życie...

— Oczywiście, oczywiście — przytaknął Downar. — Więc twierdzi pan, że we Francji nie widywał się pan ze swoją eks-żoną?

Tomecki wzruszył ramionami.

— No cóż... być może, że kiedyś spotkałem się z nią przypadkowo, ale to było dawno. Doprawdy już nie pamiętam. Tyle ludzi ciągle spotykam, w Paryżu... w Warszawie... w Wiedniu...

— Jeździ pan także i do Wiednia? — zainteresował się Downar.

— A dlaczegoż by nie? Jeżeli tego wymagają moje interesy...

Jeżdżę po całej Europie. W przyszłym roku wybieram się do Stanów.

— Ma pan bardzo urozmaicone życie — powiedział Downar.
— Zazdroszczę panu.

— Och — roześmiał się Tomecki. — Niech mi pan tak bardzo nie zazdrości. Mogę pana zapewnić, te takie urozmaicone życie bywa męczące.

— Przydałby się panu odpoczynek.

Tomecki uważniej spojrział na majora.

Wczesnym popołudniem Downar spotkał się z Grabickim.

— No i co? Dowiedzieliście się czegoś o tej malarce?

Grabicki był zniechęcony.

— Niewiele. Jeżeli chodzi o jej alibi, nie udało mi się nic ustalić. Mieszka sama, nie prowadzi ożywionego życia towarzyskiego. Tego dnia, kiedy została zamordowana Tomecka, podobno była chora. Nie wychodziła z domu. Nikt jednak jej oświadczenia nie może potwierdzić. Lekarza nie wzywała.

— A jak wygląda sprawa z tym malarzem?

Grabicki trochę się ożywił.

— Mieliście rację. Dowiedziałem się, zresztą zupełnie przypadkowo, że babka jest w nim nieprzytomnie zakochana. Świdnicki rzucił ją dla Tomeckiej. To nie ulega wątpliwości.

— Więc jednak potwierdza się moja hipoteza — zauważył Downar.

— Tak. Tylko, że miejsce zbrodni nie wydaje się...

— Oczywiście — przytaknął Downar. — Miejsce zbrodni nie bardzo nam pasuje. Trudno sobie wyobrazić, żeby pani Mierzwińska pojechała nad tę rzeczkę... To mało prawdopodobne. Chociaż czasem rzeczy zupełnie nieprawdopodobne okazują się realnymi faktami. No cóż... zobaczymy... Powiedzcie mi kolego, czy ustaliliście personalia Niemki czy Austriaczki, która brała udział wtedy w wycieczce?

— Tak, oczywiście — Grabicki wyjął z kieszeni notes. — Ewa Holzberg, wiedeńska. Zajmuje się grafiką i historią sztuki.

Przyjechała do Polski, żeby zapoznać się bliżej z polską sztuką ludową.

— Rozmawialiście z nią?

— Jeszcze nie zdążyłem. A poza tym nie mówię po niemiecku, więc...

— Gdzie ona mieszka?

— Mieszkała w „Europejskim”. Teraz przeniosła się na jakąś prywatną kwaterę. Nie znam jej obecnego adresu.

— Trzeba ją będzie odszukać — powiedział Downar. — Zajmę się tym. Czy wybierzemy się jutro z samego rana pod Sochaczew?

— Do tego pszczelarza? Bardzo chętnie. Zabiorę ze sobą bańkę na miód. Czy na dzisiaj zakończyliśmy naszą działalność?

Downar potrząsnął głową.

— Nie. Myślę, że coś niecoś moglibyśmy jeszcze załatwić. Miałbym ochotę odwiedzić Świdnickiego, Poza tym chciałbym także pojechać na miejsce zbrodni. Może pojutrze dałoby się to zrobić.

Zadzwoił telefon.

Downar podniósł słuchawkę, powiedział: — Halo? — następnie zaś zakrył dłonią mikrofon i spojrzął na Grabickiego.

— Dzwoni wasz szef — szepnął.

— Pułkownik Bielniak? Co się stało?

— Zaraz się dowiemy.

Rozmowa trwała krótko. Downar energicznym ruchem odłożył słuchawkę i wstał.

— O co chodzi? — niecierpliwiał się Grabicki.

— Podobno Bielniak ma dla nas jakieś sensacje. Mówi, że sierżant Kociuba znalazł coś niezmiernie ciekawego.

— Kociuba?

— Tak. Pułkownik twierdzi, że warto się tym zainteresować. Wobec tego zmieniamy nasze plany. Nie jedziemy jutro pod Sochaczew.

Franek skończył mówić. Był czerwony i błyszczał od potu. Po

raz pierwszy zdarzyło mu się przebywać w takim towarzystwie. Był speszony, zażenowany. Z widocznym wysiłkiem formułował zdania, szukając nerwowo odpowiednich słów. Czuł suchość w gardle i co chwila przełykał ślinę.

Downarowi żal było chłopaka. Pomagał mu, jak mógł, zadając pytania i skierowując jego myśli aa właściwe tory. Wiedział doskonale, że w takich wypadkach powstaje pustka w głowie i nie pamięta się nawet najprostszych rzeczy.

— Powiedzcie mi, sierżancie, jeszcze raz, jak te było z tymi nitkami.

Kociuba odchrząknął:

— Ano, to było tak, obywatelu majorze. Siedzę ja w chacie, czyli, znaczy się, w starej gajówce i myślę, co tu dalej robić. Bo faktycznie, wydawało mi się, że po jasną cholerę tam przyjechałem. Przepraszam!

— Nic nie szkodzi — uśmiechnął się przyjacielsko Downar. — Mówcie dalej.

— Siedzę tak, siedzę — ciągnął Franek. — A słonko akurat wpadało przez otwarte drzwi. I w słońcu widzę, że coś się czerwieni na stole. Początkowo myślałem, że tak mi się tylko zdaje, że to pajęczyna. Podnoszę się, podchodzę i widzę, że to nie pajęczyna, ale czerwone nitki, jakby z szalika czy ze sweterka... No to, ma się rozumieć, zwinąłem te nitka i schowałem do pudełka z zapalkami...

Downar spojrział na pułkownika.

— Daliście do zbadania?

— Oczywiście. Natychmiast. Ekspertyza wypadła pozytywnie: to samo włókno, z którego został zrobiony sweterek Tomeckiej.

— I ja o tym wszystkim nic nie wiedziałem — jęknął Grabicki. Bielniak uśmiechnął się.

— Nie gniewajcie się, kolego, ale byliście w terenie, a sprawę trzeba było wyjaśnić piorunem.

Downar znowu zwrócił się do Kociuby:

— Powiedzcie mi, dlaczego pojechaliście do starej gajówki?

Franek zmieszał się.

— Sam nie wiem, obywatelu majorze. Tak jakoś...

— No dobrze..., ale przecież w jakiś sposób musieliście wpaść

na ten pomysł.

— Chciałem ratować Staszka Maciejczaka I pomyślałem sobie, że nie ma chyba innej rady, tylko ruszyć głową.

— Myśl istotnie twórcza — pochwalił Downar. — No i co?

— No i zacząłem kombinować. Staszek zeznał, że podwiózł babkę do skrzyżowania przy kapliczce. Pomyślałem sobie: gdzież ona mogła stamtąd pójść? A może do starej gajówki? Może się tam z kimś umówiła? Gajówka nadawała się na tajemnicze spotkania. No to wsiadłem na motor i jazda. Nie tak przecie daleko.

Downar pokiwał głową.

— Oczywiście. I zdaje się, bardzo dobrze zrobiliście. Jak wam się zdaje, w jaki sposób na stole mogły się znaleźć nitki ze swetra Tomeckiej?

Franek poczuł się nagle jakiś pewniejszy siebie. Już nie był taki straszliwie onieśmielony.

— Mnie się zdaje, obywatelu majorze, że babka musiała się rozebrać i położyć sweterek na stole.

— I mnie także tak się zdaje — powiedział zamyślony Downar. — Sądzę, że to najprawdopodobniejsze wytłumaczenie. A jak było z pochwą od finki?

— Tak jak mówiłem. Znalazłem ją w pokrzywach za chałupą.

— To słyszałem. Chciałem się dowiedzieć, czy pasuje do niej nóż, którym została zamordowana Tomecka.

— Pasuje jak ulał.

Bielniak niecierpliwie poruszył się na fotelu.

— Jak byście się na to zapatrywali, żebyśmy zakończyli pogawędkę i pojechali do starej gajówki? Może coś tam jeszcze znajdziemy ciekawego?

— Uważam inicjatywę za znakomitą — powiedział wesoło Downar. — Proponuję, żebyśmy zabrali ze sobą fachowca. Może zdobędziemy przy okazji jakiś materiał daktyloskopijny.

Przed udaniem się do starej gajówki Downar chciał rzucić okiem na rzeczkę, w której znaleziono zwłoki Tomeckiej.

Ostatnie upały obniżyły znacznie poziom wody. Tu i ówdzie

czerniły się muliste łachy, ponad którymi sterczały wyschnięte trzciny.

Downar w skupieniu wysłuchał raz jeszcze opowiadania Kociuby. Kazał mu wskazać miejsce, wypytywał o szczegóły, obejrzał uważnie nadbrzeżne drzewa i krzaki.

— Wspomnieliście, kolego, że nieco później znaleźliście torebkę tej kobiety.

— Tak. Tam, w górze rzeki. Zaczepiła się o krzak olszyny.

— Pamiętacie dokładnie, gdzie?

— Oczywiście. O tam, przed zakrętem.

Downar poszedł za Frankiem. Za nimi ruszyli Bielniak i Grabicki.

— Co to? Wizja lokalna? — spytał Bielniak.

— Chwileczkę...

Downar pochylił się nad wodą i uważnie obejrzał gałęzie. Następnie wyciągnął pasek ze spodni i podał go Kociubie.

— Jeżeli pamiętacie, jak była zaczepiona torba, załóżcie tak samo pasek.

— O, widzę, że rzeczywiście wizja lokalna — uśmiechnął się Bielniak.

Grabicki w skupieniu obserwował ruchy Franka. Milczał.

Kiedy pasek był już zaczepiony za gałęzie. Downar spytał:

— Jesteście pewni, że właśnie tak?

— Jestem zupełnie pewny. Pamiętam doskonale. To było dla mnie ogromne przeżycie.

Downar pokiwał głową.

— Ciekawe...

— Co was tak zastanawia? — zainteresował się Bielniak.

— To, że woda nie mogła zaczepić torby w ten sposób. Musiał to zrobić człowiek. Nie wydaje mi się też, żeby prąd przyniósł zwłoki w to miejsce, gdyby spływały z góry rzeki. Spójrzcie na patyki i liście: nie płyną w naszą stronę.

— To by oznaczało, że morderca umieścił tu zwłoki i torbę, bo chciał, żeby zbrodnia została szybko odkryta — powiedział Kociuba.

Downar spojrział na niego z uznaniem.

— Rozumujecie zupełnie poprawnie. Sądzę tak samo.

— Jaki z tego wysnuwacie wniosek? — spytał Bielniak.

Downar nieznacznie wzruszył ramionami.

— Muszę to przemyśleć. W każdym razie trafiliśmy na element, który musimy koniecznie uwzględnić. To chyba wszystko, co chciałem tu zobaczyć. Możemy jechać dalej.

W drodze do starej gajówki nikt nie zdradzał ochoty do rozmowy. Downar przeglądał notatki, Bielniak wyglądał przez okno wozu, Kociuba miał ochotę coś powiedzieć, ale nie śmiał, a Grabicki przeżuwał niewesołe myśli. Nie ulegało przecież wątpliwości, że nie popisał się na początku śledztwa i że major z Komendy Głównej spostrzegł od razu to, co trzeba było spostrzec.

Dojechali do miejsca, gdzie musieli wysiąść i dalszą drogę odbyć piechotą przez las.

— Byłoby dobrze, żeby nas nikt nie obserwował — rzekł Downar.

Bielniak spojrział na niego zdziwiony.

— A któż miałby nas obserwować? Chyba nie myślicie, że...

— Właśnie tak myślę — uśmiechnął się Downar. — Wygląda na to, że mamy do czynienia z bardzo przebiegłym i nie przebierającym w środkach przeciwnikiem. Musimy działać ostrożnie, z wielką rozwagą. Nie wolno nam dopuścić do nowych ofiar. Dlatego proszę kolegów, aby nikt nie przedsięwziął żadnych kroków na własną rękę. Uważam, że w tej sytuacji należy każde posunięcie wspólnie uzgadniać.

— Czy nie sądzicie, że do naszej akcji powinien się włączyć ktoś z kontrwywiadu? — spytał Bielniak.

Downar potrząsnął głową.

— W tej chwili nie wydaje mi się to konieczne. Mogę się oczywiście mylić, ale mam wrażenie, że zamordowanie Tomeckiej nie jest związane z aferą szpiegowską. Łączy się ono chyba z międzynarodowym gangiem fałszerzy waluty.

Las się przerzedził. Niebawem wyszli na polankę, na której stała stara gajówka.

Zaczęli systematycznie oglądać smutną rudere. Fachowcy od daktyloskopii żwawo zabrali się do roboty, która nie była łatwa. Gdzie tu szukać w walącej się chałupie odcisków palców?

Posypywali proszkiem, co tylko się dało, ale nic z tego nie wychodziło.

— Chyba wrócimy z niczym, obywatelu majorze — powiedział miski, szczupły mężczyzna, którego wydłużona twarz, ozdobiona okrągłymi czarnymi oczami, przypominała do złudzenia pyszczek wiewiórki.

Downar rozejrzał się po izbie, podszedł do zasłoniętego deskami okna i pochylił się nad jakimś małym przedmiotem.

— Zabierzcie to, tylko delikatnie.

— Pudełko po „winstonach”! — wykrzyknął człowiek podobny do wiewiórki.

— Właśnie! Zupełnie nowiutkie. A przecież wszyscy dobrze wiemy, że na celofanie bardzo pięknie odbijają się linie papilarne.

— Że też ja tego nie zauważyłem — westchnął Kociuba.

Downar uśmiechnął się.

— Nie martwcie się, sierżancie. I tak znaleźliście bardzo dużo. Być może, że wasze odkrycie przyczyni się do zdemaskowania mordercy.

Franek zaczerwienił się z ukontentowania. Przeszukali dokładnie teren dookoła gajówki, przetrzasnęli pobliskie krzaki, nic jednak poza sporym niedopałkiem papierosa nie znaleźli.

W powrotnej drodze Downar stał się nagle bardzo rozmowny. Zabawiał swych towarzyszy najnowszymi kawałami, śmiał się, żartował, każdemu powiedział coś miłego, wreszcie zwrócił się do Bielniaka:

— Jak byście się zapatrywali na to, żeby pogawędzić chwilę z dyrektorem stadniny?

— Nie mam nic przeciwko temu.

— To świetnie — ucieszył się Downar. — Proponowałbym, żebym ja sam z nim pogadał. Nie trzeba przerażać człowieka przytłaczającą większością.

— Słusznie — zgodził się Bielniak. — Zaczekamy na was w wozie, albo pochodzimy sobie trochę po parku.

— Tylko błagam, nie wyciągnijcie z rzeczki nowego trupa.

— Zapewniam was, że zrobimy wszystko, co będzie w naszej

mocy — rzekł ze śmiertelną powagą Bielniak, który nie był pozbawiony poczucia humoru.

Stefaniak był zaskoczony niespodziewanymi odwiedzinami. Usiłował jednak robić dobrą minę do złej gry, zaprosił swego gościa do saloniku i poczęstował go kieliszkiem wermutu.

Downar przedstawił się, przeprosił za najście, powiedział, że jest przedstawicielem Komendy Głównej Milicji i że przejął śledztwo w sprawie zamordowanej Iwony Tomeckiej.

— Proszę się nie gniewać, panie dyrektorze, że pana niepokoję, ale chciałbym pewne rzeczy posłyszeć osobiście z pańskich ust. Kolega, który w pierwszym stadium prowadził dochodzenie, przekazał mi, oczywiście, pańskie zeznania, jednak nie wszystko. Jest dla mnie zupełnie jasne. Czy mógłbym zadać panu parę pytań?

Stefaniak wolno skinął głową. Robił wrażenie człowieka zrezygnowanego.

— Oczywiście, panie majorze. Proszę, niech pan pyta.

— Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, czy pan pali?

— Och, bardzo przepraszam — speszył się Stefaniak. — Zaraz pana poczęstuję papierosami.

Downar powstrzymał go ruchem ręki.

— Dziękuję. To nieporozumienie. Ja nie palę. Właśnie niedawno odzwyczaiłem się. Nie przyszło mi to łatwo, ale trochę silnej woli okazać trzeba w każdej sytuacji życiowej.

— Niestety — uśmiechnął się Stefaniak — ja nie mam tak silnej woli. Próbowałem się odzwyczajać, ale nic z tego.

— Jak panu smakują „winstony”?

— Owszem, niezłe papierosy, tylko dosyć kosztowne.

— Słyszałem, że miał pan tutaj zagranicznych gości — rzekł Downar, zmieniając nagle temat rozmowy.

— Tak. Przyjechali Niemcy na odstrzał kozłów.

— I jeździł pan z nimi na polowanie?

— Nie zawsze. Jak czas mi na to pozwalał.

— Podobno jest w tych stronach jakaś stara gajówka? — Downar uważnie obserwował twarz swego rozmówcy.

— Jest — odparł spokojnie Stefaniak.

— Daleko to stąd?

— Spory kawałek, jakieś szesnaście, może osiemnaście kilometrów. Zresztą dokładnie panu nie powiem. Byłem tam bardzo dawno, przed laty.

— Czy Niemcy zatrzymywali się w tej gajówce?

— Och, nie! Strzelali kozły w przeciwnej stronie,

— Długo u pana byli?

— Coś około tygodnia.

— A tego dnia, kiedy znaleziono zwłoki Iwony Tomeckiej, jeździł pan z nimi na polowanie?

— Tak.

— Po powrocie z polowania dowiedział się pan o tym tragicznym zdarzeniu?

— Tak.

— I, o ile się nie mylę, pan pierwszy zidentyfikował zwłoki.

— Tak.

— Czy oprócz pana ktoś jeszcze zidentyfikował zwłoki?

— Nie wiem. Przy mnie nikt.

— A co pan robił poprzedniego dnia, to znaczy w sobotę dwudziestego drugiego czerwca?

— Mówiłem już pańskiemu koledze, że nie mam alibi. Tego dnia nie wychodziłem z domu. Źle się czułem. Leżałem w łóżku. Downar rozejrzał się.

— Czy w tej chwili jesteśmy sami w domu? — spytał.

— Tak.

— A pańska małżonka?

— Wyjechała do Warszawy. Koniecznie chciała być na Powązkach.

— Na Powązkach?

— Tak. Od czasu do czasu jeździ na grób naszego syna.

— O! Dawno państwo stracili syna?

Stefaniak odwrócił głowę i spojrział w okno.

— Trzy lata temu — powiedział cicho. — Wolałbym na ten temat nie mówić.

— Przepraszam.

Downar żałował, że tak to niezręcznie wypadło. Jedno pytanie uniemożliwiło właściwie dalszą rozmowę. Od samego

początku atmosfera nie była najlepsza, a teraz... Wstał i pożegnał się. Był zły na siebie. Mimo długoletniej praktyki, nie zawsze umiał zapanować nad chwilowymi emocjonalnymi odruchami.

Kiedy wrócił do wozu, spytał Kociubę:

— Czy wiecie, sierżancie, w jakich okolicznościach zmarł syn dyrektora Stefaniaka?

— Ludzie gadają, że sobie życie odebrał, ale bo ja wiem, czy to prawda.

To była trudna rozmowa. Downar przygotowywał się do niej przez pół nocy.

Inżynier Zdzisław Stefaniak, syn dyrektora stadniny, był zaskoczony.

— Czy przypuszcza pan, panie majorze, że w naszych zakładach ktoś popełnia nadużycia?

Downar utkwiał badawcze spojrzenie w pociągłej, chudej twarzy.

— Nie. Nadużycia gospodarcze to nie mój resort. Chciałem z panem porozmawiać na zupełnie inny temat.

— Słucham uważnie.

— Czy nie weźmie mi pan za złe, jeżeli poruszę pewne osobiste sprawy?

— Osobiste sprawy? Nic nie rozumiem.

Downar miał zakłopotaną minę.

— Muszę się panu przyznać, panie inżynierze, że jestem zażenowany. Niestety, moja praca zbyt często wymaga zadawania ludziom niedyskretnych, a nawet przykrych pytań i dlatego chciałbym prosić, żeby pan cierpliwie zniósł moje indagacje.

Stefaniak nie miał pojęcia, do czego prowadzi ten wstęp. Zaczął się nawet trochę niepokoić. Ten niezwykle uprzejmy milicjant wprawiał go w stan pewnego rozdrażnienia.

— Chciałbym z panem porozmawiać o pańskim ojcu — powiedział Downar.

— O moim ojcu?

- Tak. Czy dawno się pan z nim widział?
- Od wielu miesięcy nie kontaktuję się z ojcem.
- Nieporozumienia rodzinne?
- Można to i tak nazwać.
- Czy byłoby zbytnią niedyskrecją, gdybym pana zapytał, czym są spowodowane rodzinne niesnaski?

Stefaniak zmarszczył brwi.

– Nie bardzo rozumiem, panie majorze, dlaczego miałbym rozmawiać z panem na ten temat.

Na twarzy Downara pojawił się łagodny, przyjacielski uśmiech.

– Doskonale zdaję sobie sprawę, że pan może być zaskoczony moimi żądaniami. Zapewne to pana zdziwi, ale wydaje mi się, że wiem co, a raczej kto jest powodem pańskich złych stosunków z ojcem.

– Nie sądzę.

– Iwona Tomecka.

Stefaniak drgnął gwałtownie.

– Co pan powiedział?

– Powiedziałem, że Iwona Tomecka jest, a raczej była powodem pańskich niesnasek rodzinnych.

– Pan ją zna?

– Nie miałem przyjemności znać pani Tomeckiej. Podobno była bardzo piękną kobietą.

– Dlaczego pan mówi o niej w czasie przeszłym?

– Ponieważ Iwona Tomecka została zamordowana.

– Zamordowana?!

– Tak. Teraz pan rozumie, dlaczego pytam o różne rzeczy. Po prostu prowadzę dochodzenie w sprawie tej zbrodni.

– Ale jak to się stało...? Kto...?

Downar uśmiechnął się.

– Właśnie usiłuję dowiedzieć się, kto? A ponieważ ta kobieta była przyjaciółką pańskiego ojca...

– Nie sądzi pan chyba, że mój ojciec...

Downar przerwał mu ruchem ręki.

– Ja w tej chwili, proszę pana, jeszcze nic nie sądzę. Dopiero zaczynam orientować się trochę w sytuacji.

Stefaniak przeciągnął dłonią po wypukłym czole.

— Niesłychane! Więc jednak istnieje jakaś sprawiedliwość na świecie, — rzekł bardzo cicho.

Tym razem zdziwił się Downar.

— Nie bardzo rozumiem pańską sentencję na temat sprawiedliwości.

Błede policzki inżyniera zabarwiły się gwałtownym rumieńcem.

— To była podła dziwka!

— Jeżeli pan w ten sposób mówi o zamordowanej kobiecie, to chyba muszą być po temu bardzo poważne powody.

— To był diabeł, nie kobieta! — wybuchnął Stefaniak. — Zrujnowała całą naszą rodzinę. Rozumie pan?! Zrujnowała naszą rodzinę! Konrad przez nią odebrał sobie życie. A teraz znowu ojciec...

— Czy Konrad to pański brat? — spytał Downar.

— Tak. To był mój młodszy brat. Powiesił się przez tę wiedźmę. Och, żeby pan wiedział, ile razy chciałem ją zamordować! A potem, kiedy się przypadkowo dowiedziałem, że zaczęła z ojcem, to...

— To co...?

— Dostałem szału. Rozumie pan?! Po prostu szału. Tyle jest przecież kobiet na świecie... Przecież to ona wepchnęła Konrada do grobu. Ona tak z każdym mężczyzną... Nie miała żadnych hamulców, żadnych zasad moralnych, nie miała nawet cienia litości dla swoich kochanków. Z dnia na dzień porzucała człowieka, który ją szczerze i prawdziwie pokochał. Wreszcie się doigrała! Jest sprawiedliwość. Od dawna to się jej należało

Downar odczekał chwilę, następnie zaś spytał:

— Czy sądzi pan, panie inżynierze, że matka pana wiedziała o romansie pańskiego ojca z Iwoną Tomecką?

Stefaniak odetchnął głęboko. Widać było, że stara się zapanować nad wzburzeniem.

— Nie wiem. Nigdy z nią na ten temat nie rozmawiałem. Wydaje mi się jednak, że mama się orientowała. Jest osobą zbyt ambitną, delikatną, żeby mówić o takich rzeczach, żeby się skarżyć. Tego by nigdy nie zrobiła, ale z pewnych nieudów-

ień, z pewnych niejasnych aluzji mogłem wywnioskować, że jednak wiedziała.

— Czy rozmawiał pan z ojcem na ten temat?

— Oczywiście. Doszło między nami do ostrej wymiany zdań i od tej pory nie kontaktujemy się. Czasem matka przyjeżdża do Warszawy i razem idziemy na grób brata...

Ale po co ja to panu właściwie mówię, zupełnie obcemu człowiekowi? To nonsens, to zupełny nonsens !

Downar ostrożnie dotknął chudej, nerwowej dłoni.

— Niech pan nie żałuje, że zwierzył się pan zupełnie obcemu człowiekowi. Czasem łatwiej jest o takich rzeczach mówić z nieznanym, niż przyjacielem. Od dawna te sprawy pana gnębiły i chyba dobrze się stało, że się pan trochę wyładował. Mogę pana zapewnić, że nikt się nie dowie o przebiegu naszej rozmowy i że wszystko, co pan powiedział, zostanie między nami. Proszę mieć do mnie trochę zaufania.

Stefaniak ukrył twarz w dłoniach.

— To wszystko jest takie trudne do zniesienia — szepnął.

Po powrocie do Komendy Downar jeszcze przez dobrą godzinę był pod wrażeniem rozmowy, która rzuciła zupełnie nowe światło na sprawę zamordowania Tomeckiej.

Młody Stefaniak ział nienawiścią. Kto wie, czy i on także nie znajdował się kiedyś pod urokiem pięknej Iwony? Nie było wątpliwości, że miał pełne dyspozycje psychiczne do popełnienia tej zbrodni. Jakżeż pragnął pomścić matkę, brata... A matka? A Stefaniakowa...? Czy także nienawidziła tej dziewczyny? Naprzód syn... potem mąż...

Downar czuł narastające zniecierpliwienie. Sprawa Tomeckiej zataczała coraz szersze kręgi, rosła liczba podejrzanych, ale ciągle jeszcze za mało było konkretnych faktów, żeby pchnąć śledztwo w jednym kierunku. Kiedyż wreszcie to się jakoś skonkretyzuje? Wyjął z szuflady kartkę papieru i napisał na niej: „Staszek Maciejczak, dyrektor Stefaniak, inżynier Stefaniak, pani Stefaniakowa, Anna Mierzwińska, Tomecki, Marek Świdnicki”. Spora galeria kandydatów na

mordercę. A może nikt z nich? Może zupełnie kto inny? Może na przykład któryś z Niemców, polujących na kozły? A może morderca ciągle jeszcze znajduje się poza ewidencją?

Od dwudziestu czterech godzin pewna uparta myśl nie dawała mu spokoju. Była to jednak tak nieprawdopodobna koncepcja, że oganiał się od niej, jak od uprzykrzonej muchy.

ROZDZIAŁ IX

Downar lubił współpracować z porucznikiem Olszewskim. Znał go od dawna i cenił za szybki refleks, inteligencję i rzetelny stosunek do pracy. To był człowiek, na którym można było polegać w każdej sytuacji. Wszystko zawsze załatwił na czas. wykazywał inicjatywę w robocie, a co najważniejsze, lubił swój zawód. Poza tym Olszewski już się trochę zapoznał ze sprawą, dotrzymując towarzystwa Grabickiemu.

Kiedy porucznik wszedł do pokoju, Downar właśnie kończył pisać raport, w którym streścił dotychczasowe wyniki śledztwa. Nie mógł jeszcze, niestety, podać nic konkretnego, ale scharakteryzował ogólną sytuację, wysuwając pewne propozycje co do dalszego działania.

— Siadajcie, kolego, siadajcie! Właśnie na was czekam. Zaraz kończę. Chwileczkę.

Olszewski usiadł i czekał cierpliwie. I on także lubił pracować z Downarem. Wiedział, że jak major wzywa go do siebie, sprawa na pewno będzie interesująca.

Downar skończył pisać, wsunął raport do szuflady i wesoło spojrział na młodego człowieka.

— Macie ochotę przeprowadzić ze mną pewną akcję?

— Oczywiście, obywatelu majorze. Mam nawet ogromną ochotę.

— To dobrze. Wiecie zapewne, że chodzi o zamordowanie Iwony Tomeckiej?

— Domyślam się. Już trochę działałem w tej sprawie z kapitanem Grabickim.

— Właśnie! Wiem o tym. Ciągle jednak mamy za mało

konkretnych danych. Rośnie nam lista kandydatów na mordercę, a prawdę mówiąc, niewiele wiemy. Chciałbym, żebyście się zajęli pewną młodą i podobno przystojną cudzoziemką.

— Bardzo chętnie, obywatelu majorze.

Downar spojrział na niego uważnie.

— Zdaje się, że macie narzeczoną...

— Mam, ale to nie przeszkadza... To znaczy... chciałem powiedzieć, że nie miałem nic złego na myślą. Zresztą każdemu przyjemniej zajmować się młodą i ładną babką, aniżeli starą i brzydką.

Downar uśmiechnął się.

— Trudno wam nie przyznać racji. Otóż chodzi o wiedenkę, która przyjechała do Polski jako turystka. Jest plastyczką, historykiem sztuki, brała udział w wycieczce, którą prowadziła tu przed śmiercią Iwona Tomecka. Wiedenka ta nazywa się Ewa Holtzberg.

Posłyszawszy to nazwisko, Olszewski drgnął.

— Ewa Holtzberg? To chyba ta sama, która jest zamieszana w rozróbę w „Krokodylu”.

— O Jakiej rozróbie mówicie?

— No... jakoś pod koniec czerwca doszło tam do maleńkiej bijatyki. Mówili mi koledzy ze Starówki.

— O co poszło?

— Podgazowali sobie faceci i tak od słowa do słowa... jeden drugiego zaprawił w szczękę. Podobno prosił do tańca babkę, która była w towarzystwie tamtego... Zapamiętałem tylko, że chodziło o Niemkę czy Austriaczkę i jak teraz posłyszałem nazwisko...

Downar wskazał telefon.

— Dzwoncie zaraz na Waliców. Niech wam podadzą dokładne dane z protokołu. Przede wszystkim chodzi mi o datę i o tego jegomościa, który był w towarzystwie Ewy Holtzberg.

Po krótkiej rozmowie telefonicznej Olszewski odczytał notatkę:

— Dwudziestego drugiego czerwca o godzinie pierwszej w nocy doszło do bójkę pomiędzy artystą malarzem Markiem

Świdnickim, a Stanisławem Boczyckim, inżynierem budowlanym. Świdnicki był w towarzystwie niejkiej Ewy Holtzberg, przybyłej do Polski z Wiednia w celach turystycznych. Ewa Holtzberg nie mogła od razu wylegitymować się, ponieważ nie posiadała przy sobie żadnych dokumentów. Zeznała, że torebkę z paszportem skradziono jej w godzinach popołudniowych, a na zapytanie, dlaczego natychmiast nie zameldowała o tym milicji, odpowiedziała, że była zajęta czym innym i że miała zamiar złożyć meldunek w niedzielę rano albo w poniedziałek dwudziestego czwartego czerwca.

Downar słuchał z natężoną uwagą. Na jego twarzy malowało się skupienie.

— Czy jesteście pewni, że podali wam właśnie te daty? — spytał.

— Tak. Słyszałem zupełnie wyraźnie. Czy to takie ważne?

— Być może, że to jest bardzo ważne — powiedział Downar.

— To by znaczyło, że... Ale nie galopujmy. Wolnego... Chciałbym jeszcze was prosić, żebyście zadzwonili do Pałacu Mostowskich. Spytajcie ich, czy zawiadomili wszystkie lotniska, porty i punkty graniczne.

Olszewski skinął głową.

— Na pewno to załatwili, ale jeszcze sprawdzę. — Wyciągnął rękę w kierunku telefonu.

Okazało się, że w nocy z dwudziestego drugiego na dwudziestego trzeciego czerwca odpowiednie władze zostały powiadomione o kradzieży. Nikt nie wyjechał z Polaki, legitymując się paszportem Ewy Holtzberg.

Downar był podniecony. Nareszcie fakty zaczynały przemawiać za jego fantastyczną hipotezą.

— Słuchajcie, kolego — rzekł, bębniąc palcami po blacie biurka. — Mam do was następującą prośbę; chciałbym, żebyście się uzbroili w cierpliwość i żebyście przez jakieś dwa, trzy dni poobserwowali tę wiedeńkę. Chodzi o to, żeby się zorientować, jak spędza czas, z kim się kontaktuje, kogo odwiedza, kto u niej bywa... Jednym słowem dobrze się jej przyjrzyjcie. Wydaje mi się, że ta babeczka Jest jednym z

ważniejszych ogniw w naszym łańcuszku. Mogę się oczywiście mylić, ale musimy to dokładnie sprawdzić.

Olszewski nic z tego nie rozumiał, ale nie śmiał pytać. Wiedział zresztą, że i tak major niewiele mu powie, dopóki sytuacja nie będzie bardziej wyklarowana.

— Zaraz zabieram się do roboty. Mam nadzieję, że pojutrze będę już mógł wam coś konkretnego powiedzieć o wiedeńskiej plastycze.

Po wyjściu Olszewskiego, Downar załatwił kilka telefonów, przejrzał raz jeszcze swój raport i usiadł do maszyny. Wtedy dano mu znać, że przyjechał sierżant Kociuba.

Franek, który po raz pierwszy w życiu znalazł się w Komendzie Głównej, był bardzo speszony. Co chwila obciągał na sobie mundur, poprawiał kołnierzyk, przyglądał włosy.

Downar poklepał chłopaka przyjacielsko po plecach, wskazał ręką krzesło i powiedział:

— Siadajcie, kolego. Wezwałem was tutaj, ponieważ chciałbym zaproponować wam wzięcie udziału w akcji, zmierzającej do wykrycia mordercy czy też morderców Iwony Tomeckiej.

Frankowi oczy się zaświeciły.

— Ja, obywatelu majorze, z wielką chęcią. Dlaczego nie?

— Cieszy mnie wasza gotowość — uśmiechnął się Downar. — Chodzi mi o przeprowadzenie pewnego wywiadu. Nie muszę wam chyba tłumaczyć, że trzeba to zrobić bardzo dyskretnie i sprytnie. Wyjaśnię wam o co chodzi, a wy zupełnie szczerze powiecie, czy czujecie się na siłach przeprowadzić tego rodzaju akcję.

— Zrobią, co będę mógł, obywatelu majorze.

— To dobrze. A teraz posłuchajcie. W pobliżu Sochaczewa, o dokładny adres jeszcze się dowiemy, mieszka na wsi pewien jegomość, który nazywa się Antoni Woźniak. To kuzyn Tomeckiego i przyjaciel Marka Świdnickiego, malarza, który był kochankiem Iwony Tomeckiej. Rozumiecie?

Franek ochotnie pokiwał głową.

— No chyba, że rozumiem. Trzeba tego Woźniaka pociągnąć za język w taki sposób, żeby się nie spostrzegł.

— Widzę, że będę miał z was pociechę — ucieszył się Downar.
— Pojedziecie więc do Woźniaka i...

— Może byłoby lepiej, żebym nie w mundurze pojechał.

— Oczywiście, pojedziecie po cywilnemu. Musicie w ogóle obmyślić sobie, za kogo się podacie. Trzeba, żebyście odegrali zgrabnie jakąś rolę. Chodzi o to, żeby Woźniak się nie zorientował. To starszy gość i na pewno kuty na cztery nogi.

— Już wiem, kogo będę udawał! — zawołał uradowany Franek. — Wiejskiego złodzieja, takiego faceta, co to lubi podgrandzić gęś, kurę albo indyczkę.

Downar z uznaniem pokiwał głową.

— Niezła myśl, tylko żeby was nie zatrzymała tamtejsza milicja, bo wtedy nici z całej roboty.

— Wątpię, obywatelu majorze, aby Woźniak tak się palił do nawiązywania kontaktu z milicją. Jeżeli coś ma na sumieniu... Zresztą jeszcze się namyślę. Pokręcę się tam koło jego obejścia. Może się najmę do jakiej roboty. Przecie ja się na wiejskiej robocie znam,

— Właśnie dlatego chcę wam powierzyć to zadanie — powiedział Downar. — Znacie wiejskie stosunki, umiecie pogadać sobie z wiejskimi ludźmi. To ma ogromne znaczenie.

— Ale czego ja tam mam właściwie szukać? — zafrasował się Franek. — Dobrze by było, żebym wiedział.

Downar zawahał się przez ułamek sekundy. Trochę się bał wtajemniczać chłopaka w szczegóły sprawy. Nie dlatego, żeby nie miał do niego zaufania, ale po prostu nie był pewny, czy Kociuba nie wyrwie się z czymś niepotrzebnym.

— Waszym zadaniem będzie zbadać, z kim się Woźniak kontaktuje, kto do niego przyjeżdża i czy jego gospodarka nie jest tylko pretekstem do jakichś innych interesów.

Franek instynktownie wyczuł wahanie majora. Miał już ochotę powiedzieć, że jak się nie ma do kogoś zaufania, to mu się nie powierza odpowiedzialnej misji, ale w ostatnim momencie ugryzł się w język.

— Kiedy mam tam jechać, obywatelu majorze? — spytał, obciążając mundur.

— Jak najprędzej. Pamiętajcie tylko, że dużo zależy od

waszego sprytu. Życzę powodzenia.

Franek wstał, wyprężył się służbiście, trzasnął obcasami i ruszył ku drzwiom.

Downar patrzył w ślad za nim. Podobał mu się ten chłopak.

Grabicki pogodził się z losem. Sprawa była najwidoczniej poważna, skoro Komenda Główna przejęła ją całkowicie. Czuł pewien żal i rozgoryczenie. „To tak zawsze, cholera” — myślał melancholijnie. — Człowiek przeorze teren, zrobi najczarniejszą robotę, a potem przychodzi ktoś inny do gotowego, a ty nie jesteś już bracie, potrzebny”.

Przestał interesować się sprawą Tomeckiej i zajął się czym innym. Roboty w Komendzie, jak zwykle, nie brakowało.

Zadzwoił telefon. W słuchawce posłyszał głos Wiesi, sekretarki szefa:

— Pułkownik prosi was do siebie.

Bielniak był w nie najlepszym humorze.

— Dostałem dzisiaj telefon z Komendy Głównej — powiedział, częstując Grabickiego papierosami. — Chcą, żebym was im odstąpił na czas trwania tego cholernego śledztwa. Co wy na to?

Grabicki wzruszył ramionami.

— Cóż ja tu mam do gadania. To przecież nie ode mnie zależy.

— Ale macie ochotę się tym zajmować w dalszym ciągu?

— Sprawa jest interesująca. A poza tym, gdy człowiek popracuje z takim specem, jak major Downar, może się dużo nauczyć.

Bielniakowi wydało się, że w ostatnich słowach kapitana zabrzmiała nuta leciutkiej ironii. Nic jednak nie powiedział.

Grabicki został przydzielony do sprawy Tomeckiej. Już na drugi dzień pojechał do Warszawy.

Downar doskonale zdawał sobie sprawę, że jego młodszy kolega z Komendy Wojewódzkiej jest rozżalony. Starał się więc tak zachowywać, żeby Grabicki nie czuł się w roli podkomendnego, a wprost przeciwnie, żeby nabrał

przekonania, iż jest traktowany jako równorzędny partner w grze.

— Chciałbym, kolego, zasięgnąć waszej opinii.

— Mojej opinii? — zdziwił się Grabicki.

— Tak. Wy przecież prowadzicie tę sprawę od początku i na pewno znacie ją gruntowniej niż ja, a przede wszystkim lepiej znacie ludzi z tamtego terenu. Wciągnąłem do roboty sierżanta Kociubę, który ma za zadanie przeprowadzić dyskretny wywiad w posiadłości Antoniego Woźniaka. Pamiętacie to nazwisko? Chodzi o faceta, który hoduje pszczoły pod Sochaczewem.

Grabicki skinął głową.

— Wiem, oczywiście. Kuzyn Tomeckiego i przyjaciel malarza... Jak mu tam...? Świdnicki.

— Właśnie! Ciekaw jestem, jak się zapatrujecie na to, że powierzyłem Kociubie takie odpowiedzialne zadanie?

— Uważam, że decyzja chyba jest słuszna. Chłopak do rzeczy, inteligentny, sprytny. Poza tym zna wieś, a to w tym wypadku dosyć zasadnicze.

— Cieszę się, że tak myślicie — powiedział Downar. — A zatem druga sprawa: chciałbym, żebyście się bliżej zainteresowali dyrektorem Stefaniakiem i jego rodziną. Nie wiem, czy się orientujecie, że syn Stefaniaka kochał się w Tomeckiej i z powodu tej nieszczęśliwej miłości odebrał sobie życie.

Grabicki był zaskoczony.

— O! Nie wiedziałem. Więc najpierw syn, potem ojciec... Okazuje się, że to była fatalna kobieta dla ich rodziny Wcale bym się nie dziwił, gdyby Stefaniakowa...

— Otóż to! — przytaknął Downar. — Miała wystarczający powód, żeby się zemścić na Tomeckiej. Chciałbym właśnie, żebyście się bliżej przyjrzeni tym ludziom. Stefaniak — zdradzony, porzucony kochanek, także pasuje do naszej kolekcji. Nie możemy go wykluczyć. Poza tym jest jeszcze drugi syn Stefaniaków, Zdzisław. Rozmawiałem z nim. Z całej duszy nienawidził Tomeckiej. Pragnął pomścić śmierć brata. Byłoby dobrze, gdyby się wam udało ustalić jego alibi.

— Postaram się. Czy to już wszystko, obywatelu majorze?

— Chyba tak. Gdybyście jeszcze zdołali się dowiedzieć czegoś o Niemcach, którzy przyjechali na polowanie... Ale nie... Tym sam się zajmę. Na razie wszystko! I tak będziecie mieli pełne ręce roboty. Tylko pamiętajcie... bardzo ostrożnie z panią Stefaniakową. Żadnych pytań wprost. Żadnego przesłuchania.

— Rozumiem.

Downar zaczynał być dobrej myśli. Wydawało mu się, że akcja posuwa się we właściwym kierunku i że niebawem powinien mieć już konkretne wyniki. Osoby, które w jego mniemaniu mogły mieć coś wspólnego z zamordowaniem Iwony Tomeckiej, znajdowały się obecnie pod dobrą obserwacją. Ewy Holtzberg pilnował Olszewski, rodziną Stefaniaków opiekował się Grabicki, Woźniaka miał obserwować Kociuba, a Tomeckiego nie spuszczał z oczu sierżant Pakuła, doskonały fachowiec w dziedzinie dyskretnej inwigilacji. Wydawało się, że teren jest dobrze obsadzony. Mimo to major miewał chwile niepokoju. A nuż to są fałszywe tropy? Może ci ludzie nie mają nic wspólnego ze zbrodnią? Przecież dotychczas nie było żadnych konkretnych dowodów. Wszystkie podejrzenia, wszystkie hipotezy obracały się ciągle w sferze teoretycznych rozważań. Ale jak było naprawdę?

Downar doszedł do wniosku, że raz jeszcze powinien wszystko sprawdzić i potwierdzić swoje dosyć mgliste przypuszczenia. Zaczął od rozmowy ze Staszkiem Maciejczakiem.

Chłopak był apatyczny i zrezygnowany. Pobyt w areszcie podziałał na niego tak deprymująco, że trudno wprost było uwierzyć, iż to doskonały jeździec, startujący w międzynarodowych zawodach.

— Przyszedłem tutaj, żeby z panem porozmawiać — powiedział Downar, nadając głosowi możliwie jak najłagodniejsze brzmienie.

Staszek wzruszył ramionami.

— Co to da...? Nie ma sensu tracić czasu.

— To się jeszcze okaże, czy rzeczywiście nie ma sensu — nie

zniechęcał się Downar.

— Przejąłem śledztwo w tej sprawie, przestudiowałem dokładnie pańskie akta i muszę panu powiedzieć, że nie wierzę w pańską winę.

Chłopak zamrugał oczami.

— Nie rozumiem. Jak to pan nie wierzy? Przecież...

— Nie wierzę w pańską winę — powtórzył Downar.

— No dobrze..., ale przecież mają przeciwko mnie dowody. Zamknęli mnie. Ma się odbyć sprawa.

— Jeszcze nie wiadomo, jak to będzie — uśmiechnął się Downar. — Sprawa na pewno znajdzie się na wokandzie sądowej, ale wcale nie jest powiedziane, że to pan będzie oskarżonym.

— Uważałem, że wszystko przepadło — rzekł Staszek. Nagle w jego oczach pojawiło się niedowierzanie. — Dlaczego pan mnie chce pocieszyć? — spytał. — Sam pan nie wierzy w to, co pan mówi.

Downar uważnie przyjrzał się chłopakowi Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że aresztowanie go było nieporozumieniem.

— Zdaje pan sobie chyba sprawę, że nie przyjechałem tutaj na rozmowę dla przyjemności, ot tak sobie, żeby pogadać. Jeżeli rzuciłem pilną pracę w Warszawie, to chyba są jakieś ważne przyczyny. Nie zawracałbym sobie głowy, gdybym był przekonany o pańskiej winie. Pewne ustalone fakty przemawiają rzeczywiście dość poważnie przeciwko panu. Jestem jednak człowiekiem zbyt doświadczonym, ażeby nie wiedzieć, iż czasami fatalne zbiegi okoliczności mogą stać się nawet przyczyną omyłki sądowej. Chciałbym panu pomóc, a jednocześnie wyjaśnić sprawę. Dlatego proponuję, żebyśmy sobie zupełnie szczerze porozmawiali. Jeden tylko warunek: musi pan mówić prawdę.

— Ależ ja cały czas mówię prawdę! — wykrzyknął Staszek.

— Może niezupełnie. — Downar przysunął się i dotknął ramienia chłopca. — Posłuchaj mnie, przyjacielu — rzekł zniżając głos. — Musisz mi powiedzieć całkowitą prawdę. Zrozum, że to twoja jedyna szansa.

- Ja nie kłamię, panie majorze. Słowo honoru!
- Czy jesteś gotów szczerze odpowiadać na moje pytania?
- Jasne! Nie mam nic do ukrywania.

— To świetnie. Więc powiedz mi przede wszystkim, czy spotkanie na szosie z Iwoną Tomecką było rzeczywiście przypadkowe?

— Tak. Zupełnie przypadkowe. W ogóle nie miałem pojęcia, że ona tam przyjedzie. Zresztą jej wóz znalazła przecież milicja na szosie. Coś tam nawaliło i dlatego poprosiła mnie o podwiezienie.

- Mogę ci wierzyć?
- Mówię prawdę. Jak Boga kocham!
- No dobrze. A jak to było z nożem?

Staszek uciekł spojrzeniem w bok.

— Jak to było z nożem? — powtórzył pytanie Downar.

— Mówi pan o mojej fince? — Chłopak najwyraźniej chciał zyskać na czasie.

- Tak. Mówię o tym fińskim nożu.
- Zginał gdzieś. Ktoś mi go musiał ukraść...
- Gdzie pan go widział po raz ostatni?
- Włożyłem go do komody, do szuflady.

Downar wstał.

— No, dosyć tego gadania! — powiedział energicznie. — Jeżeli nie chcesz, żebym ci pomógł, to nie trzeba. Zajmie się tobą prokurator. Do widzenia.

— Ależ... panie majorze, ja... Niech mnie pan ratuje. Błagam pana! Jestem niewinny.

— Jeżeli jesteś niewinny, to dlaczego kłamiesz?

— Ja nie kłamię...

— Łiesz, durniu! — zdenerwował się Downar. — A ze mną łgarstwem daleko nie za- jedziesz. Albo będziesz mówił całą prawdę, albo...

— Powiem, panie majorze, wszystko powiem. Jak na spowiedzi.

— No więc jakże wreszcie było z tym nożem? Sam go wyjąłeś z komody, tak?

Chłopak spuścił głowę.

— Tak.

— Jadąc na spacer motorem, zabrałeś ze sobą nóż? Po co? W jakim celu?

— Mam wrogów. Woląłem mieć przy sobie coś do obrony.

— Miałeś nóż na pasku?

— Zatknałem go za pasek. Urwała mi się patka przy pochewce, przez którą przesuwa się pasek, a raczej nie urwała się, tylko nici puściły, rozpruło się. Zdawało mi się, że mocno siedzi... Musiałem zgubić...

— To dlaczego kłamałeś? Dlaczego udawałeś, że szukasz noża w domu, jeżeli doskonale wiedziałeś, że go tam nie znajdziesz?

— Bałem się, panie majorze. Ludzie mówili, że Iwona została zamordowana fińskim nożem, takim samym jak mój. Bałem się, że ja będę o to podejrzany.

— Gdzie spotkałeś Tomecką?

— Na szosie. Mówiłem już, że wóz jej nawalił.

— Jaki to był wóz?

— „Syrenka”.

— Próbowaleś reperować?

— Próbowalem, ale nic z tego nie wyszło. Tam była większa awaria.

— O czym rozmawialiście z Tomecką?

— Tak sobie... Właściwie o niczym... Prosiła, żeby ją podwieźć do kapliczki, do skrzyżowania.

— Pytałeś ją, dokąd idzie?

— Oczywiście. Ale mi nic na to nie odpowiedziała. Śmiała się tylko.

— Jak ci się zdaje, dokąd mogła pójść?

— Bo ja wiem... Umówiła się chyba z kimś w lesie.

— Przyjeżdżałaby aż z Warszawy na randkę w lesie?

— No właśnie! Ja się też zdziwiłem.

— Powiedz mi... — Downar odchrząknął, — Powiedz mi, jak to było z waszą przyjaźnią?

— Mówi pan o mnie i o Iwonie?

— Tak.

Chłopak skurczył się. Podniósł ramiona, jakby chciał w nich ukryć głowę. Przypominał teraz ptaka, zmęczonego burzą, zbi-

tego deszczem.

— Ano cóż... panie majorze, zakochałem się. Paskudnie wpadłem.

Downar pokiwał głową.

— Rozumiem. Tak zwana niedobra miłość.

— To była bardzo zła kobieta... bardzo...

— Dlaczego tak uważasz?

— Każdy tak uważał. Nie tylko ja. Kto ją bliżej poznał... A zresztą, co ja będę panu opowiadał.

— Mów, mów — zachęcił go Downar. — To mnie bardzo interesuje. Zapewne musiała być bezwzględna w stosunkach z mężczyznami?

— Bezwzględna? — Staszek roześmiał się, ale był to niewesoły śmiech. — Słabe określenie, panie majorze, bardzo słabe. To była zimna, wyrachowana bestia. Mogła podeptać, zniszczyć człowieka. Myślała zawsze tylko o sobie. Można było przy niej skonać, a ona palcem nie ruszyła, żeby pomóc. Była pozbawiona wszelkich ludzkich uczuć. Z zimną krwią mogła zamordować, jeżeli ktoś by jej przeszkadzał.

— A tymczasem ona sama została zamordowana. Kto to mógł zrobić? Jak ci się zdaje?

— Nie wiem. Nie mam pojęcia. Ja jej nie zabiłem, chociaż przyznaję, że nieraz miałem na to ochotę. Musiała mieć dużo wrogów. Kto tak postępuje, jak ona postępowała, ten nie zdobywa sobie przyjaciół.

— Czy poznałeś we Francji jej byłego męża, Adama Tomeckiego? — spytał Downar.

— Nie przypominam sobie. Dużo różnych ludzi kręciło się koło niej. Lubiła towarzystwo, przede wszystkim towarzystwo mężczyzn.

— Musiało cię to denerwować?

— No chyba, że denerwowało. Mało się nie wściekłem. Z początku zdawało mi się, że to moja dziewczyna, moja narzeczona, że się z nią ożenię. Takie różne głupstwa mi się roily...

— Proponowałeś jej małżeństwo?

— Oczywiście. Powiedziałem, że się chcę z nią ożenić.

— A ona?

— Wyśmiała mnie. Tak się długo śmiała, że aż mnie to zeźliło i trzasnąłem ją w twarz. Wyrzuciła mnie za drzwi. Przysięgłem sobie, że już się nigdy u niej nie pokażę. Ale gdzie tam! Byłem jak otumaniony. Za dwa dni przyszedłem ją przeproszać. Nie mogłem sobie dać rady, nie mogłem bez niej żyć. Nic mi nie było miłe: ani konie, ani jazda, ani pieniądze. Niczego nie chciałem, tylko jej. No mówię panu, panie majorze, że całkiem mnie zamroczyło. Wtedy, żeby mi kazała, chyba bym dla niej nawet morderstwo popełnił.

— Nie zdawałeś sobie sprawy, co to za typ kobiety?

— Nie chciałem sobie z tego zdawać sprawy. Widziałem, co się dzieje, ale ciągle wmawiałem sobie, że wszystko będzie dobrze, że Iwona jednak mnie kocha. Nie mogłem tego zrozumieć, że ona tak bez miłości, bez żadnego uczucia szła ze mną do łóżka.

Downar przyjacielsko poklepał chłopaka po ramieniu.

Co było, minęło. Teraz musisz pomyśleć o tym, żeby stworzyć sobie nowe życie. Na pewno znajdziesz dzielną, uczciwą dziewczynę.

— Gdy się siedzi w pudle, to nie takie łatwe, panie majorze — uśmiechnął się melancholijnie Staszek.

— Nie martw się. Wydaje mi się, że niedługo zostaniesz zwolniony.

— Pan mnie tylko pociesza.

— Zobaczysz, że wszystko się wkrótce wyjaśni. Cześć! Trzymaj się.

— Dziękuję, panie majorze.

Wracając do Warszawy, Downar myślał o rozmowie ze Staszkiem Maciejczakiem. Był zadowolony z siebie. Po pierwsze, spełnił dobry uczynek, dodał chłopakowi otuchy, a po drugie — dowiedział się szczegółu, który mógł stać się punktem zwrotnym w śledztwie. Mgliste dotychczas hipotezy zaczynały nabierać konkretnych kształtów.

Świdnicki był zdenerwowany. Wyrzwał paletą o podłogę i wrzasnął: — Czego wy znowu ode mnie chcecie, do wszystkich diabłów? Powiedziałem już przecież, że nic nie wiem o tej sprawie, nie mam pojęcia, kto zabił Iwonę i dajcie mi wreszcie święty spokój! Łapcie mordercę i nie zwracajcie głowy porządnym ludziom.

Downar odczekał chwilę, aż się artysta wysapie, po czym chrząknął i powiedział:

— Byłoby bardzo dobrze, drogi mistrzu, gdyby pan zechciał panować nad nerwami i w sposób uprzejmniejszy odnosić się do przedstawicieli milicji. Pański sposób bycia może doprowadzić do tego, że wezwę radiowóz i każę pana odwieźć do izby wytrzeźwień.

— Ależ ja nie jestem pijany!

— Nie? To dziwne. Zachowuje się pan, jak człowiek zamroczony alkoholem. Jeżeli pan nie jest pijany, odeślę pana do aresztu, żeby się pan uspokoił. Potem będzie pan miał sprawę w kolegium orzekającym. Zapewne panu wiadomo, że obraza funkcjonariusza państwowego na służbie podlega karze.

Świdnicki dzikim wzrokiem potoczył wokoło, ale zrezygnował z agresywnej postawy.

— Jeżeli już musimy rozmawiać, niech pan siada — odezwał się już łagodniej.

Downar usiadł na zabytkowym krześle z którego niedawno korzystał Grabicki i uśmiechnął się pojednawczo. — Jeśli panu to tak bardzo nie na rękę, możemy odłożyć rozmowę do jutra.

Świdnicki machnął potężnym ramieniem.

— Nie, nie, niech pan już zostanie. Przepraszam, że się trochę uniosłem, ale tyle mam ostatnio przykrości, kłopotów... Przychodzi taka chwila, że już człowiek nie wytrzymuje.

— Któż nie ma kłopotów? — westchnął Downar. — Ja też ciągle walczę ze swoimi albo z cudzymi kłopotami.

Świdnicki rzucił na podłogę farby z taboretu, usiadł i zapalił papierosa. Twarz mu się nagle rozpogodziła. Uśmiechał się, patrząc z pewnym zaciekawieniem na swego gościa. Reprezentował typ człowieka, który łatwo przechodzi z jednego nastroju w drugi.

— Ma pan bardzo interesujący profil. Czy mógłby mi pan pozować do portretu?

— Obawiam się, że zabrałoby mi to za dużo czasu — uśmiechnął się Downar. — Może kiedyś, jak pójdę na emeryturę... Jako model mógłbym sobie dorobić parę złotych. Na razie to chyba nieaktualne.

— Szkoda! — zmartwił się szczerze Świdnicki. — Miałbym wielką ochotę pana malować. Czy pan przyszedł do mnie jeszcze w sprawie zabójstwa Iwony? Wydaje mi się, że wszystko już powiedziałem pańskiemu koledze, który mnie niedawno odwiedził w pracowni.

— Słyszałem o jakiejś awanturze w „Krokodylu” — powiedział lekko Downar, jakby do tej sprawy nie przywiązywał specjalnego znaczenia. — Chciałbym się od pana dowiedzieć, jak to było naprawdę. Przede wszystkim chodzi mi o postawę milicjantów. Czy zachowali się odpowiednio wobec cudzoziemki, która znajdowała się w pańskim towarzystwie?

— Och, mogę pana zapewnić, że milicjanci okazali się bardzo taktowni, powiedziałabym nawet — elegancy. Jeden z nich mówił dobrze po niemiecku...

— Czy zechciałby mi pan opowiedzieć całe zdarzenie?

— Oczywiście.

— Kiedy to się stało?

— Jakoś pod koniec czerwca. Zaraz po tej wycieczce krajoznawczej. Podczas wycieczki nawiązałem bardzo miły kontakt z panią Ewą Holtzberg. Umówiliśmy się, że po powrocie pójdziemy gdzieś potańczyć. O ile sobie przypominam. była sobota. Poszliśmy do „Krokodyla”. Jakiś jegomość wypił trochę za dużo i zaczął rozrabiać. Był natrętny i ordynarny. Chciał tańczyć z moją towarzyszką. Odmówiła mu. Stał się wtedy agresywny. Zdenerwowałem się i dałem mu w pysk. Stracił przytomność, bo jak biję, to już mocno. Zrobiła się awantura. Ci, którzy z nim byli, skoczyli do mnie, ale do większej rozróby nie doszło, bo podbiegli kelnerzy i zaraz przyjechała milicja.

— I co było dalej?

— Ano nic takiego. Milicjanci bardzo grzecznie nas

wylegitymowali. Ja miałem świadków, że działałem w obronie własnej, więc specjalnie mnie się nie czepiali. Było trochę kłopotu z Ewą, bo okazało się, że nie ma paszportu. Nie mogła się wylegitymować. Powiedziała, że ktoś jej ukradł torebkę razem z paszportem. Musieliśmy jechać do komendy. Spisali protokół... Już nie wróciliśmy do „Krokodyla”. Cały nastrój diabli wzięli. Nie było humoru. Odwiozłem ją do domu i sam także pojechałem do siebie.

— Czy pańska towarzyszka nie mówiła panu przed tą awanturą, że ją okradziono? — spytał Downar.

— Nie. Nie wspomniała o tym ani jednym słowem.

— Czy nie wydało się to panu dziwne? Przecież taka przygoda, jak utrata paszportu na obcym terenie, to bardzo nieprzyjemna historia.

Malarz pokiwał głową.

— To fakt! Powinna była od razu zawiadomić milicję. Mogła mieć przykrości. Ktoś mógł przecież legitymować się jej paszportem.

— No właśnie! — Downar wstał i przeszedł się po pracowni.

— Niech mi pan Jeszcze powie, mistrzu, w jakich okolicznościach poznał pan Ewę Holtzberg?

— Mówiłem już panu. Na tej wycieczce.

— Przedtem pan jej nie spotykał?

— Nie.

— A teraz pan się z nią widuje?

— Nie. Znajomość zupełnie się urwała. Próbowalem nawet nawiązać z nią kontakt, ale jakoś nie wychodziło. Dałem spokój. Tyle jest ładnych Polek, nie muszę z wiedenką...

— Czy Iwona Tomecka mówiła panu coś na temat Ewy Holtzberg?

— Ona mnie z nią poznała na wycieczce. Ale przedtem nic mi o niej nie mówiła.

— Czy pan kończył Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie?
Świdnicki spojrział zdziwiony.

— Tak. W Warszawie. Dlaczego pan pyta?

— Nic. Tak sobie. Przez zwykłą ciekawość. Studiował pan malarstwo sztalugowe?

— Niezupełnie. Właściwie kończyłem grafikę, potem przrzuciłem się do sekcji malarskiej. Zaczął mnie pasjonować kolor.

— Ale nie zarzucił pan grafiki?

— Nie. Od czasu do czasu zrobię jakąś okładkę, ilustrację. No wie pan... z czegoś trzeba żyć. Obrazów teraz nikt nie kupuje, tym bardziej, że lubię duże płótna...

Downar pokiwał głową w zamyśleniu.

— Tak, tak, ma pan rację. Grafik łatwiej zarobi niż malarz.

— Powiedział pan to takim tonem... — roześmiał się Świdnicki.

— Jakim tonem?

— Jakbym ja co najmniej podrabiał pięćsetzłotówki.

— E, zdawało się panu. Nic podobnego nie miałem na myśli.

Z pracowni malarskiej Downar pojechał do „Orbisu”, gdzie dowiedział się, że Iwona Tomecka miała wyjechać z wycieczką do Paryża w poniedziałek, dwudziestego czwartego czerwca. Wszystko zaczynało mu się układać w logiczną całość. Był coraz bardziej przekonany, że jego rozumowanie jest słuszne. Postanowił, nie tracąc czasu, odwiedzić ciotkę Tomeckiej.

Pani Wiktoria podlewała kwiaty w ogrodzie. Miała na sobie długi, granatowy fartuch. Spod kolorowej chustki wymykały się pasma ciemnych włosów, posrebrzonych siwizną.

Spostrzegłszy podchodzącego do furtki nieznanego mężczyznę, zdjęła robocze rękawiczki — przysłoniła dłonią oczy, bo słońce nie skryło się jeszcze za drzewami pobliskiego lasu.

Downar zostawił Sikorę z „wołą” nieco dalej, na uboczu, nie chcąc zbyt oficjalnie podjeżdżać służbowym wozem.

— Ależ wspaniałe róże! Cudowne. Uśmiechnęła się dziękując za miłe słowa, ale wieloletnie doświadczenie zasygnalizowało mu natychmiast w tym uśmiechu czujność i niepokój.

— Jeżeli pan przyszedł do mnie po róże, bardzo żałuję, ale nie sprzedaję.

Tym razem Downar się uśmiechnął.

– Nie. To nieporozumienie. Nie przyszedłem po róże.
– Cieszę się. Nie lubię odmawiać.
– Ma pani ogromnie miłe usposobienie.
– Sądzą, że to zbyt pochopna ocena.
– Wyciągnąłem ten wniosek, opierając się na pani stwierdzeniu, że pani nie lubi odmawiać. Taka kobieta to prawdziwy skarb.

– Och, proszę pana. W moim wieku...

– Robi pani wrażenie młodej dziewczyny. Idąc tutaj zastanawiałem się, co to za urocza ogrodniczka.

– Widzę, że chce mnie pan dobrze do siebie usposobić. Ciekawe, w jakim celu?

– Sądzę, że lepiej mieć do czynienia z ludźmi dobrze usposobionymi. Lubię, kiedy bliźni obdarzają mnie życzliwym spojrzeniem.

– Bardzo cenna dewiza życiowa. Czy można spytać, co pana tutaj sprowadza? Bo jeżeli nie róże...

– Chciałbym prosić panią o chwilę poufnej rozmowy.

– Pan jest zapewne przedstawicielem milicji?

– Podziwiam pani domyślność. Czy byłaby pani skłonna zaprosić mnie do domu?

Chwila wahania, a może było to tylko złudzenie. Downar nie miał pewności.

– Ależ oczywiście, bardzo pana proszę. Wprawdzie nie byłam przygotowana na przyjęcie gości, ale mogę pana poczęstować kawą. Mam także piaskową babkę.

– Niechże się pani nie trudzi. Nie przyjechałem do pani na podwieczorek.

Postawiła pod krzakiem agrestu konewkę i zdjęła fartuch. W zgrabnej tweedowej sukience wyglądała prawie młodzieńczo.

– Hołduję staropolskiej zasadzie, czym chata bogata, tym rada. panie... panie...

– Och, bardzo przepraszam, jeszcze się nie przedstawiłem. Nazywam się Downar, major Downar.

– Miło mi pana poznać, panie majorze. Nie wątpię, że panu jest znane moje nazwisko. Wiktoria Mazurska.

Po kilku schodkach weszli na ganek, obrośnięty winem. Pani

Wiktorii pchnęła drzwi.

Downar szybkim spojrzeniem obrzucił niewielki hall, w którym obok starych angielskich sztychów wisiały na ścianach nowoczesne, abstrakcyjne obrazy.

Znaleźli się w dużym pokoju, będącym czymś pośrednim pomiędzy biblioteką a salonikiem. Panował tu nastrojowy półmrok — gałęzie rozłożystych klonów zaglądały do okien, zagradzając drogę promieniom słonecznym.

— Myślę, że chyba zapalimy światło — powiedziała pani Wiktorii.

— Jak pani sobie życzy.

Podeszła do stojącej między dwoma fotelami wysokiej lampy i po chwili pomarańczowy blask ożywił wnętrze.

— Proszę niech pan siada. Zaraz zaparzę kawę.

— Niech pani nie robi sobie kłopotu.

— To nie jest żaden kłopot.

Downar został sam. Rozejrzał się po pokoju i podszedł do półki z książkami. Zdziwił się trochę, zobaczywszy sporo prac w różnych językach z dziedziny kryminalistyki. Zaczął wyjmować poszczególne tomy i przeglądać je. Pomiędzy kartkami jednej książki znalazł damską chusteczkę. Była pomięta i powalana szminką. Białą nitką wyhaftowany monogram I. T. Szybko schował chustkę do kieszeni i postawił „The problem of Proof” Osborna na miejsce.

W tej chwili weszła pani Wiktorii.

— Widzę, że przygląda się pan mojej bibliotece — zauważyła.

— Nie przypuszczałem, że pani interesuje się kryminalistyką.

Uśmiechnęła się.

— Nie. Ja się tymi rzeczami nie interesuję. To było hobby mojego męża. Zostawił mi masę książek. Właściwie nie wiem, co mam z nimi robić.

— I nigdy pani do nich nie zagląda?

— Nie. A po co? Mnie wystarczają dobre powieści i wydawnictwa związane z hodowlą kwiatów. Zagadnienia kryminalne wcale mnie nie pociągają. Nie lubię nawet powieści kryminalnych. Nudzą mnie. Nic mnie to nie obchodzi, kto w rezultacie okaże się mordercą.

— Świetna kawa — powiedział Downar, umoczywszy wargi w gorącym płynie. — Jest pani wybitną specjalistką w przyrządzaniu tego nektaru.

Podziękowała mu uśmiechem.

— Bardzo pan uprzejmy.

— Przykro mi, że zabieram pani cenny czas i że oderwałem panią od zajęć w ogrodzie, ale...

— Ach, to nie nie szkodzi. Właściwie już skończyłam podlewać kwiaty. W czym mogłabym być panu pomocną, panie majorze?

— Chodzi o tragicznie zmarłą pani siostrzenicę. Przejąłem prowadzenie śledztwa w tej sprawie i dlatego pozwoliłem sobie niepokoić panią.

— Właściwie chyba już wszystko powiedziałam pańskiemu koledze, który mnie któregoś dnia odwiedził.

Downar skinął głową.

— Tak. Wiem. Kapitan Grabicki poinformował mnie o przebiegu tej rozmowy. Lubię jednak porozmawiać osobiście. Chciałbym, że by mi pani powiedziała, kiedy po raz ostatni widziała pani swoją siostrzenicę?

— Dawno. Widziałam ją ostatnio chyba dwa lata temu, a może jeszcze dawniej. Dobrze nie pamiętam.

— I przez ten cały czas nie była u pani ani razu?

— Nie. Zerwałyśmy ze sobą definitywnie. Nie chciałam jej widzieć w moim domu.

— A czy widywała pani pana Tomeckiego?

— Tak. Adaś czasami do mnie zaglądał, gdy przyjeżdżał do Polski. Ale ostatnio także straciłam z nim kontakt. Podobno teraz jest w Warszawie, mnie jednak nie odwiedził.

— Zapewne pan Tomecki przywoził pani z Paryża różne takie kobiece drobiazgi: perfumy, szminki....

Roześmiała się.

— Co też pan, panie majorze...? Ja nie używam szminek. W moim wieku...

— Dlaczego pani koniecznie chce uchodzić za babcię?

— Bo nią jestem, a właściwie mogłabym być, gdybym miała wnuki.

– Czy ma pani może jakąś fotografię siostrzenicy?

Napełniła filiżanki kawą i dopiero wtedy odpowiedziała.

– Nie. Zniszczyłam wszystkie fotografie Iwony. Ta dziewczyna przestała dla mnie istnieć.

Downar wyczuł w jej słowach jakąś nieszczerą nutę. Za dużo patosu, za dużo afektacji.

– Czy pani odwiedzała kiedyś siostrzenicę w jej mieszkaniu?

Żachnęła się.

– Skądże! A co ja bym tam robiła? Tego by jeszcze brakowało, żebym chodziła do jej kawalerki!

– Czy pani siostrzenica nie próbowała nawiązać z panią kontaktu?

– Nie.

– A pani? Nigdy pani nie miała ochoty zobaczyć się z nią?

– Nie – odpowiedziała bardzo energicznie. To nie jest w moim stylu. Z chwilą kiedy pewne rzeczy dla mnie się kończą, już nigdy do nich nie wracam.

– Czy nie sądzi pani, że to nazbyt rygorystyczne podejście do tego rodzaju życiowych spraw?

Nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Każdy ma swoje zasady. Chyba nie ma pan zamiaru mnie wychowywać.

Downar uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Zdawał sobie sprawę, że ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Podtrzymywał ją jednak, ponieważ ciągle miał wrażenie, że ktoś chodzi nad ich głowami.

– Czy pani sama tutaj mieszka?

– Tak. Na razie sama. W tych dniach spodziewam się przyjazdu kuzynki. Obiecała, że posiedzi ze mną parę miesięcy, a może nawet i przezimuje.

– Nie boi się pani mieszkać samotnie na tym pustkowiu?

– Nie. Czegóż miałabym się bać? Zresztą Otrębusy to nie takie pustkowie. Mam dobrego, czujnego psa.

W górze coś głośniejsz stuknęło.

Downar podniósł głowę i spojrzął na sufit.

– Co to było?

– Niech się pan nie obawia – nie duchy – roześmiała się

pani Wiktorii. — To moi wychowankowie. Króliki, wspaniałe rasowe króliki. Obok róż to moje hobby. Chce pan zobaczyć?

— Nie, nie, dziękuję bardzo.

— Pokażę panu. Zobacz pan, jakie miłe zwierzątka. Hoduję najwięcej królików angorskich, ale mam także i kilka sztuk niemieckich baranów. Nie wyobraża pan sobie, jaką wspaniałą mam z nich wełnę. O, właśnie ten sweterek. Musi pan koniecznie zobaczyć moje króliczki. Chodźmy!

Downar, chcąc nie chcąc, poszedł na górę.

Przechodziło się przez strych. Pokój był duży, całkowicie przerobiony na królikarnię. Ogromne kłapouchy poruszały się leniwie po swoich zagrodach. Wszystko było tu doskonale zagospodarowane, przystosowane do potrzeb hodowli.

Pani Wiktorii z zapalem prezentowała swych podopiecznych. Mówiła, jak się który nazywa, chwaliła ich zalety, opowiadała o ich przyzwyczajeniach i upodobaniach. Była podekscytowana, albo doskonale udawała podniecenie.

— Pierwszy raz widzę, żeby ktoś hodował króliki na strychu — powiedział Downar. — To przecież i niewygodne i chyba niezbyt higieniczne. Czy nie lepiej wybudować szopę w ogrodzie?

Zdecydowanie potrząsnęła głową.

— Nie. Już na to nie dam się nabrać. Kiedyś miałam klatki w ogrodzie ale przyszedł lis i powybierał mi najpiękniejsze okazy. Potem znowu łasica czy tchórz... Nie, nie. Rasowe króliki za dużo kosztują, żebyś mogła tak ryzykować. Zresztą tu jest świetna wentylacja. Utrzymuję wszystko w czystości i w porządku. Chyba pan nie czuł na dole żadnego przykrego zapachu?

— Nie. Słyszałem tylko jakby czyjeś kroki.

— To właśnie króliki. Mnie także czasem się zdaje, że ktoś chodzi na górze. Ale już się przyzwyczaiałam.

Pupile pani Wiktorii były bardzo oswojone. Downar głąskał zwierzątka, delikatnie targał za uszy, podsuwał im listki sałaty, jednym słowem, udawał ogromne zainteresowanie hodowlą. Jednocześnie uważnie rozglądał się po całym pomieszczeniu. W kącie pokoju, pod słomą spostrzegł coś, co przypominało

zainstalowany w podłodze mikrofon. „Czyżby króliki słuchały koncertu z płyt gramofonowych?” pomyślał.

ROZDZIAŁ X

Leśniewski słuchał z wyraźnym niedowierzaniem. Długoletnia współpraca z Downarem nauczyła go jednak, że nie należy lekceważyć jego teorii, choćby były nieprawdopodobne i fantastyczne. Wreszcie nie wytrzymał.

— Wiesz co, Stefan? — powiedział, klepiąc przyjaciela po ramieniu. — Gdyby kto inny to wszystko mi opowiadał, to bym go wyrzucił za drzwi.

Downar poruszył się.

— Jeżeli sobie życzysz, już wychodzę.

— Nie, nie, siedź. Musimy się przecież zastanowić nad nowym aspektem sprawy. Co cię właściwie naprowadziło na to, że...

— Wiesz, kto mi najwięcej pomógł? Sierżant Kociuba.

— Cóż to znowu za sierżant Kociuba?

— Z wiejskiego posterunku. Łebski chłopak.

— No dobrze... Kociuba nie Kociuba, ale jakżeś wpadł na ten pomysł?

— Złożyło się na to kilka elementów. — powiedział Downar. Zacząłem już coś podejrzewać, kiedy Kociuba pokazał mi, w jaki sposób zaczepiona była o przybrzeżne gałęzie torba. Sama tak by się nie zaczepiła, ktoś to musiał zrobić. Rozumiesz? Celowa robota. Potem zniknięcie noża, który Staszek Maciejczak miał na pasie, a właściwie za pasem...

Leśniewski pokręcił głową z powątpiewaniem.

— Słaby argument. Chłopak mógł nóż zgubić. A może kłamie? Nie sądzę, żeby można było opierać całe dochodzenie na jego zeznaniach.

Downar westchnął.

— No cóż... Na czymś trzeba się oprzeć. Intuicyjnie wyczuwam że chłopak mówi prawdę. Wydaje mi się, że w tej sprawie musimy działać trochę na wycucie. Stuprocentowych

dowodów nigdy nie zdobędziemy. Coraz więcej nowych elementów potwierdza moją hipotezę. Zresztą nie masz chyba w tej chwili żadnych kontrargumentów, żadnej innej koncepcji?

— Zastanawia mnie jedna rzecz — rzekł Leśniewski. — Skąd Tomecka wiedziała o istnieniu starej gajówki?

Downar wzruszył ramionami.

— Nie potrafię ci w tej chwili odpowiedzieć. Być może, że to miejsce wskazali jej wspólnicy czy wspólnik. Nie jest też wykluczone, że dowiedziała się o gajówce od Staszka Maciejczaka, ale to mniej prawdopodobne. Chyba bałaby się wypytywać go o takie rzeczy.

— A co wykazała analiza śladów szminki, na chusteczce, którą znalazłeś w książce z biblioteki pani Mazurskiej?

— Pasuje. Ta sama marka.

— A te czerwone nitki, odkryte w starej gajówce?

— Także pasują. Oczywiście niejedyn taki sweterek na świecie, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że mamy do czynienia właśnie ze sweterkiem Tomeckiej.

— Tak, prawda — przyznał Leśniewski. — Powiedz mi jeszcze, jak z odciskami palców? Wobec twojej nowej koncepcji, to sprawa dość istotna.

— Dziś jeszcze mają mi przygotować cały materiał daktyloskopijny.

— A jak z opakowaniem po „winstonach”, które znalazłeś w gajówce?

— Bardzo wyraźne linie papilarne. Celofanowe opakowania to genialny wynalazek.

— Czy wiesz, że Tomecki zarezerwował bilet na samolot?

Downar skinął głową.

— Wiem. Ma zamiar odlecieć do Paryża w najbliższy wtorek.

— Obawiam się, że nie zdołamy opóźnić jego wyjazdu — wtrącił Leśniewski.

— Sądzę, że to nie będzie potrzebne.

— Jesteś optymistą.

— Być może.

Downar wstał.

— Chyba wszystko obgadaliśmy. Idę do siebie. Trzeba trochę popracować. Aha..., jeszcze jedna sprawa. Potrzebny mi zaraz szykowny, otwarty kabriolet. Może być „Jaguar”. Kolor obojętny.

— A skąd ja ci, u licha, wytrzasnę „Jaguara”?

— Nie wiem. Twoja w tym głowa. Musisz mi dostarczać niezbędnych rekwizytów.

— Może by ci wystarczył rower?

— Nie mam zwyczaju wozić pięknych kobiet na ramie. Tę technikę uwodzenia pozostawiam innym.

— Mam wrażenie, że cię nęcą „Opowieści Lasku Wiedeńskiego” — uśmiechnął się Leśniewski.

— Podziwiam twoją domyślność.

— Więc kiedy potrzebujesz szalowego kabrioletu?

— Jak najprędzej, choćby zaraz. Do wtorku nie zostało nam zbyt dużo czasu.

Downar wrócił do swego pokoju. Czekał już na niego Olszewski.

— Siadajcie, kolego. Macie dla mnie jakieś sensacje?

Porucznik skrzywił się.

— Nic specjalnego.

— A jak nasza Ewunia?

— Dziękuję, zdrowa. Pierwsza klasa babeczka !

— Jak się prowadzi?

— Bez zarzutu. Chodzi na wystawy, do muzeum, spotyka się z malarzami, z rzeźbiarzami. Żadnych podejrzanych kontaktów.

— A Tomecki?

— Nie widywał się z nią.

— Trochę za bardzo ich przepłoszyliśmy — powiedział Downar. — No, trudno... Nie można było inaczej. Rozmawialiście z nią?

— Nie. Ja, niestety, po niemiecku ani w ząb. A głuchoniemego nie ma sensu udawać.

— Jak mieszka?

— Pierwszorzędnie. Piękny domek jednorodzinny na Sadybie. Teraz ma całą willę do dyspozycji, bo właściciele wyjechali na miesiąc do Bułgarii.

- Kim są właściciele?
- On inżynier elektryk, ona dentystka. Nazywają się Pawełscy. Nieźle im się powodzi.
- Kontaktowaliście się może z sierżantem Pakułą?
- Oczywiście.
- No i co?
- Ano nic. Tomecki także cholernie grzeczny. Spaceruje sobie po Łazienkach, chodzi do kina, odwiedza muzea.
- Ale Ewy nie odwiedza?
- Ani mu to w głowie.
- Hm... — mruknął Downar. — Chyba czują, że ich obserwujemy. Pilnują się.
- A czy to pewne, że Tomecki i Ewa Holtzberg działają wspólnie? — spytał Olszewski.
- Downar już myślał o czym innym. Z roztargnieniem spojrzął na porucznika.
- Chyba pewne. Czy nie ma wiadomości od Kociuby?
- Jeszcze nie.
- Jakby się odezwał, natychmiast dajcie mi znać.
- Oczywiście. Czy w dalszym ciągu mam pilnować tej Niemki?
- Nie. Na razie zostawcie ją w spokoju. Ja się nią zajmę. A jak w Otrębusach?
- Nic nowego. Pani Mazurska podlewa swoje róże i hoduje króliki. Nasi ludzie obserwują ją dyskretnie.
- Nikt jej nie odwiedzał?
- Przyjechała do niej z Radomia jakaś kuzynka, staruszka. Poza tym nie przyjmowała żadnych gości.
- W dalszym ciągu niech ją mają na oku. Nie jest wykluczone, że Tomecki ją odwiedzi.
- Olszewski spojrzął na zegarek.
- Czy mogę się już odmeldować?
- Tak. Na razie to chyba wszystko. Aha! Powiedzcie Pakule, żeby mi jak najprędzej dostarczył odciski palców Tomeckiego. Albo może wy sami tym się zajmiecie. To bardzo ważne.

Włożył elegancki garnitur z ciemnozielonego tropiku, koszulę non iron wyprodukowaną w Szwecji i zawiązał barwny krawat włoskiego pochodzenia, za który zapłacił sto dziewięćdziesiąt złotych. Na palec prawej ręki wcisnął okazały sygnet, a w przegubie zapiął złotą bransoletę. Gładko wygoloną twarz skropił wodą kolońską, włosy wypomadał obficie brylantyną, której nie znosił, nabił fajkę tytoniem i ulokował na nosie potężne okulary przeciwsłoneczne. Tak ucharakteryzowany wsiadł do czerwonego „Jaguara” i pojechał na Sadybę. Olszewski dał mu znać, że Ewa Holtzberg jest w domu.

Rzeczywiście, była w domu. Ze zdziwieniem spojrzała na niespodziewanego przybysza.

— Ich spreche nicht polnisch — powiedziała zaraz na wstępie, pragnąc najwidoczniej uniknąć wszelkich nieporozumień.

Downar wyjaśnił po niemiecku, że przyjechał z Hamburga i że chciałby się zobaczyć z panem Pawelskim, albo z panią Pawelską.

— Państwo Pawelscy wyjechali do Bułgarii. Wrócą za miesiąc.

— Och, jaka szkoda. Nie wiem, co teraz mam robić. Znajomi powiedzieli mi, że będę się mógł tutaj zatrzymać. Nie zarezerwowałem hotelu, a w Warszawie dostać pokój to wielki problem. Jestem naprawdę w kłopotcie.

Miał tak zmartwioną minę, że wybuchnęła śmiechem.

— Niechże pan nie rozpacza. Chyba znajdzie pan jakąś kwaterę. Za dolary pan tutaj wszystko dostanie. Niestety, nie mogę panu wynająć pokoju, bo to nie moje mieszkanie. Sama jestem lokatorką.

— Pani jest Niemką?

— Wiedenką. Och, jaki pan ma wspaniały wóz! — dodała, patrząc na czerwonego „Jaguara”.

— Podoba się pani?

— Fantastyczny! Od dawna o takim marzę.

— Możemy pohandlować. Właśnie mam zamiar go sprzedać. Znudzil mi się. Jeżeli pani nie ma nic przeciwko temu, możemy się przejechać.

Potrząsnęła głową.

– Nie mogę. Czekam na ważny telefon.

– Szkoda. Może innym razem?

– Może.

Downar z upodobaniem przyglądał się zgrabnej dziewczynie. Miała jasną, delikatną cerę, kontrastującą z gęstymi, ciemnokasztanowymi włosami. Oczy szarozielone, leciutko podniesione ku górze.

– Więc nie dostanę tutaj pokoju, choćby najmniejszego? Nie jestem wymagający. Wystarczy mi nawet służbówka.

– Chyba pan rozumie, że nie mogę dysponować cudzym mieszkaniem.

Westchnął.

– Bardzo żałuję. Mam wrażenie, że świetnie by się nam razem mieszkało.

– O, nie wątpię.

– Czyżby pani nie uważała mnie za solidnego, godnego zaufania człowieka?

– Z mojego doświadczenia wynika, że w pewnych sytuacjach wszyscy mężczyźni przestają być solidni. A jeżeli chodzi o zaufanie, do nikogo go nie mam.

– To przykre!

Cała rozmowa toczyła się w otwartych drzwiach. Downar wyjął z kieszeni chustkę, otarł czoło i powiedział:

– Jeżeli pani nie chce mnie przyjąć na mieszkanie, to może chociaż zlituje się nad spragnionym wędrowcem? Czy mogłaby mnie pani poczęstować szklanką wody?

– Chyba tak. Czy może być z sokiem wiśniowym?

– Nie mam aż takich wymagań.

Cofnęła się, wpuszczając go do hallu.

– Proszę, niech pan wejdzie. Mam nadzieję, że rzeczywiście chodzi panu tylko o szklankę wody. Dla uniknięcia nieporozumień, pragnę pana poinformować, że uprawiam sporty, jestem bardzo silna i znam dżudo.

Roześmiał się.

– Mogę panią zapewnić, że nie myślę o żadnej agresji. Jestem człowiekiem cichym i spokojnym.

– Nie wygląda pan na takiego.

— Najwidoczniej pozory mylą.

— Proszę usiąść i chwilę poczekać — powiedziała i wyszła.

Szybko się rozejrzył. Na małym stoliku, koło radia spostrzegł opakowanie po „winstonach”. Wziął je przez chusteczkę i wsunął do kieszeni. Duża, kryształowa popielniczka pełna była niedopałków. Na żadnym z nich nie zauważył szminki.

Weszła, stąpając bardzo cicho. Niosła na tacy dwie wysokie szklanki, wypełnione różowym płynem, w którym pływały kawałki lodu i plasterki cytryny.

— To powinno pana orzeźwić. Niestety, nie mam słomek.

— Ach, nic nie szkodzi. Jestem pani niesłychanie wdzięczny za uratowanie mi życia. Zginąłbym z pragnienia. — Z przyjemnością pociągnął spory łyk chłodnego płynu.

— Więc pan rzeczywiście przyjechał do Warszawy z Hamburga?

Skinął głową i postawił szklankę na stoliku.

— Może pani przecież sprawdzić numery rejestracyjne mojego wozu.

Uśmiechnęła się.

— Nie jestem aż tak podejrzliwa. Dlaczegoż miałabym panu nie wierzyć?

— Ponieważ kobiety zazwyczaj bywają bardzo podejrzliwe.

— O, widzę, że pan nie jest najlepszego zdania o kobietach.

— A pani jest?

Spojrzała na niego z błyskiem wesołości w oczach.

— Wie pan, jeżeli mam być szczerą, to wolę mieć do czynienia z mężczyznami.

— No widzi pani! Z mężczyzną zawsze łatwiej się dogadać.

— Chyba tak.

Skończył pić wodę z sokiem i spytał: —

— Czy pani przyjechała tutaj w celach turystycznych?

— Turystycznych i zawodowych. Jestem plastyczką. Interesuję się polską sztuką współczesną, jak również sztuką ludową.

— Pani jest Austriaczką?

— Tak. Pan natomiast nie jest chyba Niemcem, bo akcent...

— Jest pani bardzo spostrzegawcza. Jestem Polakiem, ale od

wojny mieszkam w Hamburgu. Przyjeżdżam tutaj od czasu do czasu odwiedzić rodzinę, nawiązać kontakty handlowe... — Wyjął z kieszeni paczkę „Carmenów” i poczęstował ją.

— Proszę, może pani zapali.

Potrząsnęła głową.

— Dziękuję bardzo, nie palę, ale jeżeli pan ma ochotę, to proszę. Dym mi nie przeszkadza. Jestem przyzwyczajona. Mój ojciec dużo palił.

Downar zapalił papierosa i przyniósł popielniczkę z niedopałkami. Spostrzegł, że Fraulein Holtzberg trochę się zmieszała.

— Bardzo przepraszam, Zaraz to wyrzucę. Wczoraj byli u mnie znajomi i dużo palili... Wybiegła do kuchni i wróciła z pustą popielniczką.

— Zapewne odwiedzili panią koledzy po fachu?

— Tak. Było kilku artystów malarzy, jeden rzeźbiarz... Taka brać artystyczna.

Downar pomyślał, że „brać artystyczna” raczej nie pali „winstonów”.

— Więc jak? Przejedzie się pani ze mną na spacer „Jaguarem”?

— Dzisiaj nie mogę.

— A jutro?

— Jutro to już bardziej prawdopodobne. Niech pan do mnie rano zadzwoni. Dam panu numer telefonu.

— Czy na długo pani przyjechała do Polski?

— Och, nie wiem. Nie lubię robić zbyt dalekich planów. Sądzę jednak, że posiedzę tu jeszcze trzy, a może cztery tygodnie.

— Chciałbym się z panią widywać.

— Doprawdy? A właściwie dlaczego?

— Będę szczerzy. Po prostu podoba mi się pani.

— Czy często czyni pan kobietom tego rodzaju wyznania?

— Chyba niezbyt często. Zresztą w moim wieku...

— Nie robi pan na mnie wrażenia dziadziusia. Chyba, że pan umie się aż tak maskować.

— Nie mam zdolności aktorskich.

— Sądziłam, że jest wprost przeciwnie. Downarowi wydało

się, że w ostatnich słowach zadźwięczała jakaś specjalna nuta. „Czyżby mnie rozszyfrowała?” — pomyślał nie spokojnie, głośno zaś powiedział:

— Wydaje mi się, że pani usiłuje we mnie znaleźć same złe cechy.

Roześmiała się.

— Jest pan zabawny. Aktorskich zdolności wcale nie uważam za złą cechę.

— Wyczułem, że pani powiedziała to w sensie negatywnym, to znaczy, te uważa mnie pani za człowieka nieszczerego.

— To źle pan wyczuł. Za mało się znamy, abym mogła ocenić, czy pan jest człowiekiem szczerym, czy nieszczerym. A właściwie wcale się nie znamy.

Downar poderwał się.

— Ma pani rację. Bardzo przepraszam. Zapomniałem się przedstawić. Pani pozwoli. Nazywam się Radecki. Henryk Radecki.

— Bardzo mi miło. Ewa Holtzberg.

— Szalenie lubię to imię. A więc, panno Ewo mam nadzieję, że jutro się spotkamy?

— Niech pan zadzwoni. A jak z mieszkaniem?

— Och, jakoś sobie poradzę.

— I ja tak myślę.

Downar porozmawiał jeszcze chwilę z plastyczką, następnie wsiadł do „Jaguara” i odjechał. Był z siebie zadowolony. Wydawało mu się, że przeprowadził rozmowę dosyć zgrabnie.

Wieczorem długo myślał o pięknej Wiedence. Podobała mu się naprawdę. „Ach, że też zawsze sprawy służbowe kolidują z...” wzdychał melancholijnie. „Kiedyż wreszcie będzie można być prywatnym człowiekiem, pomyśleć o własnych przyjemnościach?”

Nazajutrz jeden z pierwszych pojawił się w komendzie. Miał chęć od razu dzwonić do Ewy, ale pomyślał, że pewnie jeszcze śpi. Nie chciał jej obudzić. Dopiero około dziesiątej nakręcił numer, który wczoraj zapisał na kartce. Długi, przeciągły sygnał. Nikt nie odbierał. Odłożył więc słuchawkę i jeszcze raz nakręcił numer. Bez skutku.

Wszedł porucznik Olszewski.

— Nie wiecie przypadkiem, co się dzieje z Ewą Holtzberg? — spytał Downar. — Dzwonię do niej i nikt nie odbiera telefonu. Jestem niespokojny.

Olszewski pokręcił głową.

— Nie wiem, obywatelu majorze. Nie kazaliście mi już jej pilnować. Powiedzieliście, że sami się nią zajmiecie.

Downar spojrzął na zegarek.

— Czyżby tak wcześnie wyszła? Za dziesięć dziesiąta. No cóż... możliwe.

W codziennej poczcie znajdował się list bez znaczka, zaadresowany na nazwisko Downara. Koperta była elegancka, i pachniała dobrymi perfumami. Na zapytanie, kto przyniósł ten list, sekretarka odpowiedziała, że jakiś chłopiec.

Downar rozerwał kopertę i przeczytał:

„Szanowny Panie Majorze, Przykro mi że muszę panu sprawić zawód, ale niestety, nie dojdzie do naszego spotkania. Zdecydowałam się wrócić do Wiednia, wprawdzie nie „Jaguarem”, ale zupełnie możliwą „Skodą”. Łączę serdeczne pozdrowienia Ewa Holtzberg”.

List był napisany poprawną polszczyzną.

ROZDZIAŁ XI

Franek Kociuba zdawał sobie sprawę, że major z Komendy Głównej powierzył mu niezwykle odpowiedzialne zadanie. Starannie przygotował się do akcji, niczego nie zaniedbując.

Zaczął od tego, że pojechał do Sochaczewa i kręcił się po okolicy, zbierając możliwie jak najwięcej informacji o Antonim Woźniaku. Dowiedział się, że to już starszy człowiek — około sześćdziesiątki, dziwak, odludek, nie utrzymujący z ludźmi prawie żadnych kontaktów. Mogło się zdawać, że nic go nie interesuje poza pszczołami. Pasiekę miał dużą i ładnie utrzymaną.

Sporo wiadomości zdobył Franek od podpitego kowala, którego spotkał przypadkiem w wiejskiej gospodzie.

— Woźniak, uważasz pan, to dziwny człowiek, niby chłop, a nie chłop. Na roli pracuje, pasiekę sobie piękną podszykował, miodem handluje, ale ludzie gadają, że coś u niego tam w głowie nie całkiem w porządku — tu kowal stuknął się palcem w czoło. — Podobnież czasami zamknie się w domu na parę dni i w ogóle na dwór nie wychodzi.

— Może pije — podsunął Franek.

— Gdzie tam pije! Nikt go nigdy pijanym nie widział i powiadają, że w ogóle wódki do ust nie bierze. Mówił mi Michał Zagóra, że Woźniak pięknie na skrzypcach kiedyś grał, ale przestał i nawet podobno skrzypce potrzaskał. Tak się czegoś zeźlił. Nikt nie wie czego.

— I sam tak mieszka?

— Ano teraz sam. Wziął sobie ładną, młodą dziewczynę, która z nim zamieszkała, ale uciekła od niego.

— Kiedy uciekła? Dawno?

— Niedawno. Będzie z miesiąc, a może trochę lepiej. Ale co się też pan tak o Woźniaka dopytuje?

Franek obojętnie wzruszył ramionami.

— Tak sobie. Słyszałem, że u niego dobrego miodu można dostać.

— O, jeżeli o to chodzi, miód pierwsza klasa, w różnych gatunkach, uczciwy, nie fałszowany. Cukru on tam pszczołom na przeróbkę nie daje. Możesz pan być spokojny. Ule ma na medal, czyściutkie, aż przyjemnie popatrzeć. Ja także wybieram się do niego po parę litrów miodu, ale jeszcze trochę zaczekam, bo wolę ten późniejszy. A tymczasem może byśmy się jeszcze napili po kieliszku, co?

Franek zgodził się chętnie. Wiedział, że nic tak języków nie rozwiązuje, jak wódka. Po chwili tęga kelnerka postawiła przed nimi ćwiartkę z czerwoną kartką i dwa śledzie w śmietanie.

— Pańskie zdrowie, panie młody — powiedział kowal, podnosząc do góry szklaneczkę.

— Aby nam się..

Wypili i zagryźli. Kowalowe oczy zaczynały się już zasnuwać rzewną mgiełką.

Franek usiłował wrócić do przerwane go tematu.

— Smutne życie w samotności, bez żony, bez dzieci. Żal mi tego Woźniaka.

— A cóżeś ty się tak Woźniaka czepił? — zdenerwował się Kowal. — Pies z nim tańczył. Każdy tak żyje, jak mu się podoba. Ja tam się nad nikim nie lubię litować.

— Toteż ja się nie lituję. Tylko mi trochę dziwno, że bogaty gość pustelnika z siebie robi. Bez kobiety...

— No przecie mówię, że sobie ładną, młodą dziewczynę wziął, ale z nim widać nie mogła wytrzymać, bo uciekła i tyła.

— Widzieliście ją?

— Co miałem nie widzieć? Piękna blondyna.

Po następnej kolejce, kowal zrobił się ogromnie serdeczny. Objął Franka za szyję i spytał:

— Jak ci na imię, kolego?

— Franciszek.

— A mnie Wawrzek. Wawrzek Studniarz. Mówmy sobie po imieniu, bo mnie to panowanie już kością w gardle staje. Nalej, Franuś, jeszcze po jednym. Jak się Wawrzek z Frankiem spotka, trzeba to oblać. Mnie tu wszyscy na całą okolicę znają. Nikt tak koniowi podkowy nie przybije. Ja ci to mówię, Franuś. Fajny chłopak jesteś. Daj pyska. Nalej jeszcze po jednym...

Franek doszedł do wniosku, że niczego więcej nie dowie się o Woźniaku. Zostawił pijanego kowala i ruszył w dalszą drogę. Zainteresowała go wiadomość o ładnej dziewczynie, która uciekła od starego pszczelarza. „Warto by się dowiedzieć, co to za jedna” — myślał, idąc do przystanku PKS.

Trochę wiadomości zdobył także od starej babki, siedzącej koło wiejskiej kapliczki. W rękę trzymała różaniec, a w koszyku miała kiełbasę i bochenek chleba.

— Woźniak! — wykrzyknęła, poruszając energicznie bezzębnymi szczękami. — To zbereźnik, panie, rozpustnik. Przywiózł sobie aż z Podkarpacia taką młodą dziewczynę, że mogłaby być jego wnuczką. Tfu... świństwo i tyle! Dobrze zrobiła, że od niego uciekła. Takich drani powinni do więzienia pakować.

— Jak się nazywała ta dziewczyna? — spytał Franek.

— A tego to ja panu nie powiem, bo faktycznie nie słyszałam.

Wołali na nią Magda, ale jak jej było na przezwisko, to nie wiem.

— Dawno uciekła?

— Nie tak dawno. Będzie ze dwa miesiące, a może i tego nie. Na starość, panie, człowiek pamięć traci. Kiedyś to...

Franek przestraszył się opowieści z lat dawnych. Pożegnał pobożną staruszkę, mówiąc, że się bardzo śpieszy i że innym razem chętnie posłucha, jak to było kiedyś.

„Co robić? Wypytywać jeszcze ludzi o starego pszczelarza i jego piękną kochankę, czy przejść już do właściwej akcji?”. Zdecydował, że musi zacząć działać.

Antoni Woźniak był w całym tego słowa znaczeniu, okazałym mężczyzną. Wysoki, dobrze zbudowany, miał potężne bary i muskularne ramiona atlety. Twarz rumiana, ogorzała, jak to zazwyczaj bywa u ludzi przebywających dużo na świeżym powietrzu. Gęste, siwe włosy zaczesane do góry jeszcze go podwyższały. Ciemne oczy patrzące spod krzaczastych brwi błyszcząły energią i niespożytą siłą witalną. Minął już dość dawno sześćdziesiątkę, ale żaden z okolicznych chłopaków nie miał chęci szukać z nim zwady. Nie cieszył się sympatią. Miał pogardliwy i niechętny stosunek do ludzi.

Było upalne popołudnie.

W przydrożnym rowie młody mężczyzna posilał się kawałkiem suchego chleba. Miał na sobie wypłowiałą flanelową koszulę i liche drelichowe portki. Na nogach bardzo zniszczone sandały.

Woźniak zatrzymał samochód i spytał:

— A ty co tu robisz?

— Siedzę — padła lakoniczna odpowiedź.

— To widzę. Pytam, skądżeś się wziął?

— Ze świata.

— O, widzę, że nie jesteś skory do rozmowy. Uważaj no przyjacielu, bo zaraz pojedę i dam znać na posterunek milicji. Nam włóczągów nie potrzeba.

— Ja nie żaden włóczęga. Czego się mnie pan czepia?

— No to gadaj, skądżeś przyszedł.

— Z Wólki

— Daleko ta Wólka?

— Daleko. Będzie stąd z pięćdziesiąt kilometrów albo więcej.

— A po co tu przyszedłeś?

— Ano, ojciec mnie wygnał z chałupy, to co miałem robić?
Idę przed siebie i tyle.

— Za cóż cię ojciec wygnał z chałupy?

— Za to, że się macosze spodobałem.

— A, toś ty taki numer! Romansów ci się zachciało z macochą?

— Przecie mówię, że nie ja z nią, ino ona ze mną. Nie moja wina. Ojciec niesprawiedliwie...

— No i co teraz masz zamiar robić? — spytał Woźniak.

— A bo ja wiem? Najmę się gdzie do roboty. Żniwa idą. Z głodu nie zdechnę.

Woźniak pomyślał chwilę, obrzucił taksującym spojrzeniem muskularną postać chłopaka i powiedział:

— Tutaj roboty nie brak. Chciałbyś u mnie pracować?

— Dlaczego nie? Co mi za różnica.

— A kosić umiesz?

— Coby nie umiał.

— A orać umiesz?

— Chyba, że umiem. Przecież wiejski chłopak.

— Do szkoły chodziłeś?

— Chodziłem trochę, ale mnie się nauka nie trzyma. Nijakiej cierpliwości do książek nie mam.

— A co najlepiej lubisz robić?

— Spać.

Woźniak roześmiał się.

— O, synku, u mnie spać nie będziesz. Już ja cię nauczę porządnie pracować. Jeszcze mi twój ojciec podziękuje. Jak się nazywałeś?

— Franciszek Kolec.

— Masz jakieś dokumenty?

— Miałem, ale zgubiłem.

— No to jakże będzie?

— A bo ja wiem...

— No dobra! — Woźniak machnął ręką. Wiedział, jak trudno jest o ludzi do pracy i nie chciał stracić krzepkiego parobka. —

— Mniejsza o dokumenty. Zostaniesz u mnie na czas żniw, a potem zobaczymy. Z milicją już sobie jakoś poradzę.

I tak Franek Kociuba został parobkiem u Antoniego Woźniaka.

Woźniak bardzo szybko zorientował się, że zupełnie przypadkowo natrafił na prawdziwy skarb. Chłopakowi, robota paliła się w rękach, pracował sprawnie i nadzwyczaj wydajnie. Nigdy nie skarżył się na zmęczenie, zawsze wesoły, zawsze pełen energii i inwencji.

Stara Michalina, która od niedawna zajmowała się drobiem i gotowała obiady, także była zachwycona nowym pracownikiem. — Gdzieś pan, panie Woźniak, wytrzasnął takiego robotnego chłopaka? — mówiła z uznaniem. — Taki to i za dwóch starczy.

Wszystko więc układało się jak najlepiej. Raz tylko doszło do strasznej awantury.

Pewnego popołudnia Franek zdrzemnął się pod jabłonką. Po obudzeniu zastanawiał się, jak zakończyć ten upalny dzień. Wszystko, co było do zrobienia, zrobił przed obiadem. Postanowił zajrzeć do pszczół. Włożył więc siatkę na twarz, kapelusz, rękawice i ruszył w kierunku uli. Zaledwie jednak przeszedł kilkanaście kroków, usłyszał, że ktoś za nim biegnie. Odwrócił się i stanął oko w oko z Woźniakiem.

— Co tu robisz!? — ryknął pszczelarz.

— Chciałem zajrzeć do uli — odpowiedział Franek, zdziwiony wściekłością chlebobdawcy.

Woźniak wymyślał, kłął, złorzeczył. Był niesłychanie podniecony. Robił wrażenie mocno podpitego.

— Tyle razy mówiłem ci, durniu, żebyś mi się nie mieszał do pszczół. Nie twoja sprawa!

Pilnuj swojej roboty, a jak nie, to cię na zbity łeb stąd wywalę!.

— Czego się pan tak siepie? — burknął Franek. — Nie

chciałem zrobić nic złego. Lubię popatrzeć na pszczoły, I myślałem, że warto by te trzy ule z brzoza ździebko podeprzeć, bo się pochyliły.

— Co cię to obchodzi, czy się pochyliły, czy nie pochyliły?... Ulami ja rządę i tylko ja! Rozumiesz?!

Franek wzruszył ramionami.

— Dobra, dobra... Mnie tam nie zależy na pańskim miodzie. W ogóle miodu nie lubią. Wolę kiełbasę.

Po tej awanturze, Franek nie zbliżał się do uli, nawet nie patrzył w stronę pasieki. Nie chciał się narażać gospodarzowi, który początkowo chodził chmurny i nasrożony, ale prędko się udobruchał i mogło się zdawać, że puścił w niepamięć całe zdarzenie. Wszystko było po dawnemu i w gospodarce znowu zapanowała idealna zgoda i harmonia.

Jednakże Franek nie mógł oprzeć się wrażeniu, że coś się kryło za dziwacznym zachowaniem się Woźniaka. Prawda, że stary pszczelarz był człowiekiem krewkim i skorym do gniewu, ale w danym wypadku trudno było znaleźć usprawiedliwienie takiego wybuchu. Pszczołom ani ulom nic przecież nie groziło. Dlaczego więc Woźniak aż tak się zdenerwował?

Teraz Franek zaczął jeszcze uważniej rozglądać się po gospodarstwie. Korzystając z tego, że Woźniak pojechał wozem po sprawunki, zakradł się przez okno do jego pokoju i bardzo ostrożnie zabrał się do szperania w szafie, w biurku i w dużym, obitym krowią skórą, kufrze. Był bardzo podniecony. Co chwila zdawało mu się, że ktoś nadchodzi i oblewał się zimnym potem. Gdyby Woźniak nakrył go tutaj, to... Wolał o tym nie myśleć. Spieszył się. Nie znajdował nic, co mogłoby go zainteresować. Miał już zrezygnować z dalszych poszukiwań, gdy nagle, zupełnie niespodziewanie, w kieszeni starej, skórzanej kurtki natrafił na fotografię. Było to powiększone zdjęcie ładnej, młodej dziewczyny. Franek spojrzał i zagwizdał cicho. Iwona Tomecka! Do licha, Iwona Tomecka. Cóż ona miała wspólnego z tym starym wariatem?

Schował fotografię do tylnej kieszeni spodni, starannie uporządkował pokój i wyskoczył przez okno do ogrodu.

To odkrycie niesłychanie go podekscytowało. Pobiegł do

szopy, spełniającej rolę garażu, i tam jeszcze raz zaczął uważnie przyglądać się fotografii. No tak, to ona, na pewno ona!

Tego wieczora Franek nie mógł zasnąć. Zastanawiał się, w jaki sposób niepostrzeżenie zawiadomić majora Downara. Był pewien, że fotografia może mieć duże znaczenie dla śledztwa. Powinien pojechać do Sochaczewa i stamtąd zatelefonować, ale jak to zrobić, żeby nie wzbudzić podejrzeń Woźniaka?

W izdebce na poddaszu było piekielnie gorąco: Franek przeniósł się do stodoły na siano, ale i tu sen nie przychodził.

Było już dobrze po północy, gdy usłyszał warkot motoru. Podniósł się i ostrożnie wyjrzał przez uchylone drzwi stodoły. Noc była widna, księżycowa. Widział, jak Woźniak wyszedł z domu i szybkim krokiem ruszył w kierunku szosy, na której rysowała się czarna sylwetka dużego samochodu.

Dwaj mężczyźni wysiedla z wozu i rozmawiali przez chwilę z Woźniakiem. Gestykulowali, tłumacząc coś z ożywieniem pszczelarzowi. Potem odjechali, a Woźniak poszedł do pasieki. Pod pachą niósł sporą paczkę.

Franek nie wiedział, co robić. Palila go ciekawość i w pierwszym odruchu chciał ostrożnie pójść za swoim gospodarzem, ale zaraz zrezygnował z zamiaru. To było zbyt ryzykowne. Żeby chociaż księżyc tak jasno nie świecił! Nie, nie wolno mu było tego zrobić. Mógł jednym nieostrożnym posunięciem pogrzebać całą sprawę. Przywarł więc do drzwi stodoły i czekał.

Czas płynął. „Co on tam robi, do jasnej cholery?” — myślał. „Szlag go trafił?”.

Wreszcie w księżycowym świetle ukazała się barczysta postać. Woźniak szedł wolno ku domowi, jak człowiek, który skończył już swoją robotę. Ruchy miał teraz ociężałe, jakby trochę niezdarne. Mogło się zdawać, że postarzał się przez te pół godziny.

Franek uważnie obserwował idącego. Woźniak zatrzymał się przy drzwiach, rozejrzał i zniknął w mrocznej sieni. Po chwili w oknie na parterze zabłysło światło.

I znowu trzeba było czekać. Z pobliskich stawów dolatywało rechotanie żab. Od czasu do czasu zaszumiał na szosie

samochód. Od czasu do czasu zaszczekał leniwie pies. Ściemniło się. Od zachodu nadciągały ciężkie, gęste chmury.

Światło w oknie zgasło. Franek z radością spojrział w górę na ginący za ciemną zasłoną blask księżyca. Było mu to bardzo na rękę. Odczekał jeszcze chwilę, następnie zaś wysunął się ostrożnie ze stodoły, w kilku susach dopadł krzaków bzu i wolno zaczął się posuwać ku pasiece. Krok za krokiem, uważnie, żeby nie potrącić kamienia, żeby nie nastąpić na suchą gałązkę.

Nagle z ciemności runął na niego jakiś ogromny, czarny kształt. O mało nie wrzasnął z przerażenia. Zupełnie zapomniał o psach. Kudłaty wilczur szczęknął radośnie, ostrym językiem przejechał mu po twarzy i pognał w kierunku domu.

Zlany potem Franek szedł dalej. Droga do pasieki wydawała mu się tak długa, jakby to było na drugim końcu Polski. Wreszcie zobaczył ule. Milczące stały wśród drzew i wyglądały jak domki krasnoludków. W ciemnościach wszystkie jednakowe, wszystkie jakby pomalowane czarną farbą.

Franek pochylił się nad jednym z nich i wtedy poczuł, że ktoś stoi za jego plecami. Odwrócił się błyskawicznie, ale było za późno na obronę. Otrzymał straszliwy cios w głowę i stracił przytomność.

ROZDZIAŁ XII

Leśniewski nie mógł ukryć zdenerwowania.

— No i co? Co lekarze? — spytał.

Downar spojrział wesoło na przyjaciela.

— W porządku. Nic mu nie będzie. Lekarze nie stwierdzili nawet wstrząsu mózgu. Twardą ma chłopak głowę. Na motorze niepotrzebny mu kask.

— Zawdzięcza ci życie. Kto wie, czy ten krzepki starszy pan nie zatłukłby go na śmierć. Powiedz mi, jak to się stało, że właśnie w tym momencie tam się zjawileś?

— Zaraz ci wszystko opowiem, tylko daj mi się czegoś napić. Gadam od samego rana, w gardle mi zaschło.

– Chcesz kieliszek winiaku?

– Nie, nie... Za gorąco. Wystarczy szklanka wody.

Leśniewski wyciągnął rękę po syfon i napełnił dwie szklanki.

– Rzeczywiście, przypieka jak wszyscy diabli. Chyba to lato tysiąclecia. Mów! Nie mogę się doczekać.

Downar wypił wodę sodową i otarł wargi wierzchem dłoni.

– Późnym wieczorem Pakuła dał mi znać, że Tomecki wsiadł do „humbera” i wyruszył w Polskę. Połączyłem się zaraz z Pałacem Mostowskich, dali cynk do wszystkich radiowozów, żeby zablokować wyjazd z miasta. Bez trudu znaleźli Tomeckiego i zaczęli sprawdzać mu dokumenty. Tymczasem jeden z naszych wywiadowców. Michalak, wiesz, taki mały rudy, otarł się swoją „syrenką” o „humbera”. Tomecki nawet nie miał pretensji, bo go tylko trochę drasnął, ale nasi ludzie zaczęli spisywać protokół. Chodziło o to, żebyśmy zdążyli przyjechać.

– Wziąłeś wóz z komendy?

– Nie było czasu. Pojechałem moją „skodą”.

– I zdążyłeś?

– Bez trudu. Tomecki pojechał szosą na Sochaczew, a ja za nim. Domyśliłem się, oczywiście, że ma zamiar odwiedzić Woźniaka. To mnie zaczęło bardzo interesować.

– Był sam?

– Nie. Miał w wozie Jakiegoś faceta, ale nie wiem, kto to. Dowiemy się,

– Nie zauważył, że za nim jedziesz?

– Chyba nie. W każdym razie zachowywał się tak, jakby niczego nie podejrzewał. Zresztą jechałem bardzo ostrożnie. Utrzymywałem duży dystans. Gospodarka Woźniaka znajduje się mniej więcej pięćset metrów za ostrym zakretem. To mi pomogło. Zostawiłem wóz przed zakretem, zgasilem światła i poszedłem piechotą. Na szczęście jest tam sporo krzaków tarniny, za którymi mogłem iść spokojnie. Mogliby mnie zobaczyć, gdyby nie te krzaki. Księżyc świecił i było widno jak w dzień.

– I Woźniak do nich wyszedł?

– Oczywiście. Pogadali chwilę, a potem dali mu pakę z

falszowymi dolarami i odjechali.

— A ty?

— Ja nie miałem zamiaru wyjeżdżać. Chciałem zobaczyć, co Woźniak zrobi z paczką. Wtedy jeszcze nie miałem pewności, że tam są dolary.

— I „świnki” — uzupełnił Leśniewski.

— Tak, nawet sporo.

— No i co?

Downar znowu napił się wody i mówił dalej:

— Woźniak poszedł z paczką do pasieki.

— Świetny pomysł!

— Pewnie, że świetny. Komu by przyszło do głowy, żeby fałszywych dolarów szukać w ulach? A poza tym niebezpiecznie. Z pszczołami nie ma żartów. Domyśliłem się, o co chodzi. Postanowiłem zaczekać, aż Woźniak pójdzie spać i poszperać w ulach.

— Nie bałeś się pszczołek?

— Trochę się bałem, ale nie miałem innego wyjścia. Zresztą liczyłem na to, że pszczołki także w nocy śpią. Zaczekałem, aż zgaśnie światło w oknie Woźniaka i zacząłem ostrożnie skradać się w kierunku pasieki. Wtedy zobaczyłem sierżanta Kociubę,

— Poznałeś go?

— Tak. Księżyc wyjrzał zza chmury i poznałem go po ruchach. Zresztą przecież wiedziałem, że on tam siedzi.

— Jak to się stało, że Woźniak ciebie nie spostrzegł?

— Przede wszystkim nie spodziewał się, że na jego terenie może znajdować się ktoś obcy.

— No dobrze, a psy? Nie zwęszyły cię?

— Tego się najwięcej bałem, ale kiedy Woźniak po raz drugi wyszedł, zamknął psy w domu.

— Widocznie obawiał się, że mu mogą przeszkodzić — powiedział Leśniewski.

Downar pokiwał głową.

— I ja tak sędzę. Znały przecież i lubiły Kociubę.

— Czy psy czekały podczas wizyty Tomeckiego?

— Nie. Były zamknięte. Woźniak wypuścił je dopiero wtedy, gdy wrócił z pasieki.

— Chciał, żeby odwiedziny Tomeckiego odbyły się możliwie jak najciszej.

— Oczywiście.

— Powiedz mi, Stefan, czy nie miałeś możliwości przeszkodzić Woźniakowi?

— Nie zdążyłem, a poza tym nie przypuszczałem, że tak od razu rąbnie chłopaka w łeb.

— Woźniak się bronił?

— Próbował, ale nic z tego nie wyszło. Wiesz, że mam jeszcze nie najgorszy prawy sierpowy. Poradziłem sobie bez specjalnego wysiłku. Zaraz założyłem facetowi kajdanki. Nie musiałem go nawet straszyć pistoletem.

— Nie powinieneś być jechać sam — rzekł Leśniewski.

— Nie miałem czasu na szukanie towarzystwa. Wiedziałem zresztą, że mam tam Kociubę do pomocy.

— A tymczasem ty musiałeś jemu pomagać. Powiedz mi, jakie są twoje plany na najbliższą przyszłość?

— Czekają mnie trzy niezbyt miłe rozmowy: z Woźniakiem, z panią Mazurską i z Tomeckim.

— Od kogo chcesz zacząć?

— Właśnie się zastanawiam.

— Czy myślisz, że Tomecki wie, co się stało z Woźniakiem?

— Nie sądzą. Wszystko odbyło się w nocy, szybko i sprawnie. Na wszelki wypadek zabrałem ze sobą starą babkę, która zajmowała się kuchnią. Woźniak często wyjeżdżał, więc jego nieobecność raczej nie zdziwi sąsiadów. Zresztą nie ma tam zbyt blisko innych gospodarstw. Myślę też, że gdyby nawet Tomecki pojechał jeszcze raz do Woźniaka, nie będzie zaskoczony, że go nie zastanie. Wydaje mi się, iż Woźniak miał za zadanie jak najprędzej pozbyć się towaru.

— Nie mogę zrozumieć, w jaki sposób poradziłeś sobie jednocześnie i z ulami, i z Kociubą, i z Woźniakiem...

Downar uśmiechnął się.

— Najpierw zaprowadziłem do samochodu Woźniaka i solidnie związałem go sznurem, który miałem w bagażniku. Potem wróciłem po nieprzytomnego Kociubę i także zaniósłem go do wozu. Następnie znalazłem siatkę, kapelusz, rękawice i w

tym stroju pszczelarza, zabrawszy ze sobą przerażoną gospozię, zacząłem szperać w ulach. Skrytki były nieźle pomyślane, ale nie tak trudno było je odnaleźć. Woźniak nie przypuszczał, żeby ktoś mógł szukać fałszywych dolarów w pasiece.

— Nie jest wykluczone, że zostawiłeś tam trochę towaru — zauważył Leśniewski.

— To nawet pewne. Jak się wszystko uspokoi, trzeba będzie u pszczółek przeprowadzić ponowną rewizję. Nie miałem przecież czasu dokładnie się tym zająć.

— Oczywiście. Więc jesteś zdania, że Tomecki o niczym nie wie?

— Chyba nie.

— A więc miejmy nadzieję, że nie skontaktuje się z Mazurską. Downar potrząsnął głową.

— Tak czy inaczej, nie zrobiłby tego. Czuje przecież, że czegoś się domyślamy.

— Źle się stało, że tak wpadłeś z tą wiedenką.

— Tak — powiedział Downar i spochmurniał. Wspomnienie porażki było dla niego bardzo przykre. — Zrobiłem duży błąd. Trochę lekkomyślnie do tego podszedłem.

— Przypuszczasz, że Tomecki?

— Chyba na pewno on. Albo był u niej w mieszkaniu, albo widział, jak podjeżdżałem pod dom, a ponieważ rozmawiałem z nim... No cóż... Stało się. Całe życie człowiek się uczy.

— Nie przejmuj się — uśmiechnął się Leśniewski. — Każdemu zdarzy się palnąć jakieś głupstwo. Babkę zatrzyma austriacka policja albo francuska, chyba, że pryśnie gdzieś dalej. A zresztą jest podrzędną postacią w całej sprawie. Więc od kogo zaczniesz akcję?

— Chyba od Woźniaka. Myślę, że od niego dowiem się sporo rzeczy, które przydadzą mi się w dalszych rozmowach.

— Nie wolisz zatrzymać Tomeckiego?

— Z nim nie muszę się śpieszyć. Nie ucieknie mi. Jest solidnie pilnowany. Liczę na to, że jeszcze nas naprowadzi na jakiś dodatkowy ślad.

— Nie zapominaj, że odlatuje we wtorek.

— Pamiętam. Niech się nacieszy wolnością jeszcze dwa dni.

— A jeżeli zrezygnuje z miejsca w samolocie i będzie chciał wiać wozem?

— Czterech ludzi pilnuje go dzień i noc. Nie ma żadnych szans. Zresztą możemy zawiadomić wszystkie punkty graniczne.

— Radzę ci to zrobić.

Antoni Woźniak przyjął taktykę milczenia. Patrzył gdzieś w przestrzeń i ignorował obecność Downara. Zachowywał się tak, jak gdy by był sam w pokoju.

— Jaki stosunek pokrewieństwa łączy pana z Adamem Tomeckim?

Żadnej odpowiedzi.

— Jak dawno zajmuje się pan handlem fałszywą walutą?

Milczenie.

— Czy, oprócz Tomeckiego, miał pan jakichś wspólników?

Kamienna twarz Woźniaka ani drgnęła.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, że milczeniem pogarsza pan tylko swoją sytuację, a nic pan nie zyskuje?

Żadnej reakcji.

Downar w długoletniej praktyce wielokrotnie spotykał się z ludźmi, którzy nie chcieli mówić. Wiedział, że przyczyny tego rodzaju postępowania bywają różne. Jedni uważają, że skoro zostali już definitywnie zdemaskowani, nie warto się wysilać na zbędne gadanie, drudzy boją się powiedzieć czegoś niepotrzebnego i wolą nie mówić nic, a są i tacy, którym się wydaje, że całkowitym milczeniem dodadzą sobie godności i zdeorientują prowadzącego przesłuchanie. Zdarzają się także i ludzie, którym po prostu strach odejmuje mowę.

— Nie jest pan obowiązany odpowiadać na moje pytania — mówił cierpliwie Downar.

— Dowody pańskiej winy są tak oczywiste, że i bez tego prokurator poradzi sobie z łatwością z aktem oskarżenia. Jeżeli tracę czas na rozmowę z panem, to tylko dlatego, że pragnę sprawę dokładnie wyjaśnić i ewentualnie znaleźć coś takiego, co mogłoby w pewnym stopniu poprawić pańską sytuację.

Proszę mi wierzyć: nie zależy mi na tym, żeby otrzymał pan najwyższy wymiar kary,

Woźniak nie poruszył się i nie odezwał ani słowem.

Downar wyjął z kieszeni długopis, otworzył notatnik i zaczął coś pisać. Zajęcie to tak go pochłonęło, że mogło się wydawać, iż zapomniał o obecności Woźniaka, który siedział ciągle nieruchomo, nie zmieniając pozycji.

Ta niema scena trwała przeszło pół godziny. Wreszcie Downar skończył pisać, zamknął notatnik i spojrzał na starego pszczelarza. Nie napotkał jego wzroku. Otworzył szufladę, wyjął z niej fotografię, którą Franek znalazł w skórzanej kurtce w domu Woźniaka i wstał.

— Poznaje pan tę dziewczynę? — spytał, pokazując zdjęcie.

Nieruchoma twarz drgnęła.

— Skąd pan to ma? — Głos zduszony, chrapliwy.

— Mój współpracownik znalazł fotografię w kieszeni pańskiej skórzanej kurtki. Zapewne pan w ogóle zapomniał, że ją tam kiedyś włożył. Czy może mi pan podać imię i nazwisko dziewczyny?

Znowu milczenie.

— Chciałem tylko posłyszeć od pana potwierdzenie zebranych przeze mnie informacji — mówił dalej niezrażony Downar. — Jest to fotografia niejakiej Magdaleny Laskowskiej. Przywiózł pan ją z Nowego Targu i namówił do zamieszkania w pańskim domu. Bardzo ładna. Szkoda, że już nie żyje.

Woźniak zerwał się. Jego szeroka twarz nabiegła krwią.

Co pan powiedział?

— To, co pan słyszał. Magdalena Laskowska nie żyje.

— To kłamstwo !

— Bardzo żałuję, ale to prawda. Dziewczyna, której fotografię przechowywał pan w kieszeni skórzanej kurtki, nie żyje. Została zamordowana dnia dwudziestego drugiego czerwca bieżącego roku. Niech pan siada. Nie będzie pan przecież ze mną rozmawiał stojąc.

Woźniak usiadł posłusznie. Ręce ma drżały.

— To nieprawda, to nieprawda — powtarzał uparcie. — Pan chce mnie wytrącić z równowagi.

Downar potrząsnął głową.

— Nie. Nie mam najmniejszego zamiaru wytrącać pana z równowagi. Pragnę tylko wyjaśnić z panem pewne szczegóły, dotyczące sprawy, którą prowadzę. Z pańskiej reakcji wnioskuję, że pan także nie jest należycie we wszystkim zorientowany. Śmierć tej dziewczyny jest dla pana dużym zaskoczeniem.

— Ona żyje, ona na pewno żyje! Przecież wyjechała...

— Miała wyjechać. Jej wyjazd był pozornie zaplanowany, ale... — Downar otworzył teczkę z aktami i wyjął z niej fotografię kobiety, wyłowionej w rzece za pałacowym parkiem. Położył także na biurku duże szkło powiększające.

— Proszę, niech się pan dobrze przyjrzy temu zdjęciu. To pańska dziewczyna. Magdalena Laskowska. Niech pan weźmie szkło powiększające. Widzi pan? Zupełnie wyraźnie można dostrzec ciemne znamię z lewej strony szyi.

Woźniak pochylił się i ukrył twarz w dłoniach.

— Boże — jęknął. — Nie może być... Przecież ona... przecież za granicę... za granicę...

Nagle wyprostował się. Wyglądał strasznie. Twarz mu posiniała, oczy wyszły z orbit.

— Kto to zrobił?! — ryknął. — Kto to zrobił?!!

— Pański krewniak, Adam Tomecki — odrzekł spokojnie Downar.

— Adam?!

— Tak.

— Ale dlaczego? Na miłość boską, dlaczego?!

— Chciał ratować żonę, z którą się pozornie rozstał. Przeprowadzili rozwód, bo to było wygodniejsze dla ich interesów. Czy pan zna Iwonę Tomecką?

— Nigdy jej nie widziałem. Znam ją tylko ze słyszenia.

— Tak.. — powiedział Downar. — Tak przypuszczałem. Gdyby pan znał ją osobiście, cała sprawa byłaby dla pana jasna. Dziwnym zbiegiem okoliczności Iwona Tomecka i Magdalena Laskowska były do siebie bardzo podobne. To właśnie podobieństwo stało się przyczyną śmierci pańskiej dziewczyny.

— Zabiję go... Zabiję go... Zamorduję — powtarzał

chrapliwym głosem Woźniak, zaciskając potężne pięści.

Downar zrobił przeczący ruch ręką.

— Nikogo pan nie zabije, panie Woźniak. Niech pan nie zapomina, że jest pan zatrzymany i w areszcie musi pan poczekać na sprawę. Po sprawie również nie od razu będzie pan miał zupełną swobodę działania. Jeżeli chce się pan zemścić na mordercy Magdaleny Laskowskiej, jest tylko jeden sposób: proszę odpowiadać na moje pytania.

— Niech pan pyta.

Tomecki najwidoczniej nie zdawał sobie sprawy z sytuacji. Był bardzo pewny siebie, a nawet zachowywał się agresywnie.

— Zupełnie nie rozumiem, co to znaczy. Nie mam czasu na nie kończące się rozmowy z milicją. Powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia na temat mojej byłej żony. To są niesłychane metody! Dostyc mam rozmów z panami. Rozumie pan? Dostyc! Przysyła pan swoich ludzi, zapraszając mnie do komendy, ale zaproszenie wygląda zupełnie tak, jak gdybym był aresztowany.

— Bo pan jest aresztowany — powiedział cicho Downar.

— Co takiego?!

— Pan jest aresztowany. Oto nakaz prokuratora.

Tomecki przybladł, ale usiłował jeszcze nadrabiać miną.

— Proszę mnie natychmiast połączyć z moją ambasadą! Jestem obywatelem francuskim! — krzyczał.

— Wiem o tym. — Downar był bardzo spokojny. Nie śpieszył się. Rozłożył przed sobą akta sprawy, wyjął długopis, rzucił okiem na protokół podpisany przez Woźniaka i dopiero wtedy przeniósł spojrzenie na twarz Tomeckiego.

— Sądzą, że powinien się pan wreszcie dowiedzieć, o co pan jest podejrzany.

— Ja? Podejrzany? Pan chyba oszalał! O cóż mógłbym być podejrzany?

— O różne rzeczy, a przede wszystkim o zamordowanie Magdaleny Laskowskiej.

— Ależ to są jakieś brednie! Ja żadnej Magdaleny

Laskowskiej nie znam i nigdy nie znałem.

— Chyba pan ma słabą pamięć — uśmiechnął się Downar. — Zostałem poinformowany, że pan doskonale znał tę dziewczynę.

— A któż pana mógł o takiej rzeczy poinformować?

— Pański wuj, Antoni Woźniak. Chyba pan nie zaprzeczy, że zna pan tego człowieka? Rozmawiałem z nim niedawno. On również został aresztowany.

Tomecki od razu stracił tupet.

— Jak to...? Antoni...? Wuj...?

Downar pokiwał głową.

— Tak, tak, zgadza się. Wuj Antoni, Antoni Woźniak, z zamiłowania pszczelarz i... handlarz fałszywą walutą.

— To jakieś straszliwe nieporozumienie, panie majorze — powiedział żałośnie Tomecki. przelękając gwałtownie ślinę, co robiło takie wrażenie, jak gdyby mu coś utkwilo w gardle.

— Nie sądzę, żeby to było nieporozumienie. Znaleźliśmy u wujaszka Woźniaka fałszywe dolary na łączną sumę sto pięćdziesiąt tysięcy, nie licząc fałszywych rubli Wszystko pomysłowo schowane w ulach. Pszczółki pilnowały zagranicznej waluty. Świetny pomysł, bo któż miałby ochotę drażnić pracowite owady? Niebezpiecznie. Przesłuchałem już pańskiego wuja i z tej rozmowy wynikło, że nikt inny, tylko pan jest mordercą Magdaleny Laskowskiej.

— To kłamstwo ! — wykrzyknął Tomecki

— Podłe, nikczemne kłamstwo! Nagadał panu jakichś bredni, żeby ratować swoją skórę.

— Na własne oczy widziałem, jak pan wręczał Woźniakowi paczkę z banknotami.

— Co innego jest popełnić morderstwo, a co innego handlować walutą...

— Fałszywą walutą — skorygował Downar.

— A jeśli chodzi o morderstwo, wszystko wskazuje na to, że pan jest mordercą Magdaleny Laskowskiej.

— Nigdy mi pan tego nie udowodni.

— To się jeszcze okaże — uśmiechnął się Downar. — Jeżeli pan uzbroi się w cierpliwość i zechce spokojnie mnie

wysłuchać, przedstawię panu swoje argumenty. Prosiłbym tylko, żeby pan mi nie przerywał.

Tomecki w milczeniu skinął głową.

— A więc moja rekonstrukcja faktów wygląda następująco — zaczął Downar: — Pan wraz z żoną nawiązaliście współpracę z międzynarodową bandą fałszerzy dolarów i carskich rubli. Baza produkcyjna znajduje się zapewne częściowo w Wiedniu, a częściowo w Paryżu czy też może w jakimś innym francuskim mieście. Interes szedł znakomicie. Wciągnął pan do niego wuja. Antoniego Woźniaka, który chciał się szybko dorobić większego majątku i wyjechać na stałe do Stanów Zjednoczonych. Stary pszczelarz mieszkający pod Sochaczewem, nie wzbudzał żadnych podejrzeń. Wszystko grało na sto dwa.

W pewnym momencie coś się zaczęło trochę psuć. Policja francuska i nasza milicja coraz uporczywiej deptały wam po piętach.

Doszło nawet do tego, że pańska żona, z którą pozornie pan się rozszedł, zabiła agenta paryskiej policji. To był oczywiście bardzo duży błąd. Musieliście się liczyć z tym, że francuska policja zawiadomi nas o tej sprawie. Pani Iwone zaczęło się robić ciasno, zarówno w Polsce, jak i za granicą. Trzeba było szybko wybrnąć z uciążliwej sytuacji.

I wtedy nasunął wam się pomysł z Magdaleną Laskowską, która była bardzo podobna do pańskiej żony. Może nie sobowtór, ale uderzające podobieństwo. Zresztą typ banalnie ładnej blondynki spotyka się dość często i jest jak gdyby powielany seryjnie.

Tomecki pobladł tak, że nawet jego krwiste zazwyczaj wargi stały się popielate.

— Nie wiem, o kim pan mówi — rzekł nie pewnie.

— O przyjaciółce pańskiego wuja. Przywiózł ją sobie podobno z Nowego Targu. Tak przynajmniej twierdzą sąsiedzi, którzy od czasu do czasu z nią rozmawiali. Dziewczyna była inteligentna, sprytna i bardzo prędko Woźniak wciągnął ją do współpracy.

Kolportowała fałszywe dolary. Wiem to z ust pańskiego wuja, chyba więc najlepsze źródło informacji. Ale Magdalena nie wytrzymała nerwowo tej roboty. Zaczęła się załamywać, tym

bardziej, że miała od czasu do czasu rozmowy z milicją. Po naradzie zdecydowaliście, że Magdalena powinna zniknąć z terenu, ponieważ staje się człowiekiem niebezpiecznym. W tego rodzaju działalności nie może tkwić ktoś, kto ulega panice. Plan był następujący: pańska żona, Iwona, miała wyjechać z wycieczką orbisowską i na granicy miała się zamienić z Magdaleną, która także mówiła trochę po francusku i trochę po niemiecku. Nie tak dobrze, oczywiście, jak pani Iwona, ale jakoś dałaby sobie radę. We Francji obiecaliście jej dostarczyć dokumenty na inne nazwisko, a wycieczkę na granicy francuskiej miała z powrotem przejąć pańska żona. Plan był może niezbyt realny, ale dla was najistotniejsze było to, że uwierzyli w niego Magdalena i Woźniak. Wasz prawdziwy plan był nieco inny. W starej gajówce, którą wskazał wam pański wuj, nastąpiła zamiana ubrań. Magdalena włożyła kostium i czerwony sweterek pani Iwony. (Dwie nitki z tego sweterka zaczęły się o chropowatą deskę stołu. Znalezienie ich bardzo nam pomogło w śledztwie.) Następnie zabiliście dziewczynę nożem, który pańska żona wyciągnęła w czasie jazdy motorem Staszкови Maciejczakowi. Niezły chwyt! Przecież wiedzieliście, że Maciejczak zakochał się bez wzajemności w pańskiej żonie. Podejrzenie o zabójstwo natychmiast skierowane zostało na niego.

Tomecki trochę przyszedł do siebie. Zdążył się już opanować. Widać było, że przygotowuje się do obrony.

— Co mi pan za brednie opowiada? Nie znam żadnego Maciejczaka i nie wiem nic o żadnej gajówce. Nie pozwolę się wrobić w tę idiotyczną, zmyśloną historię.

— Prosiłem, żeby pan mi nie przerywał

— powiedział Downar. — Czy pan twierdzi, że nie był pan w gajówce?

— Oczywiście, że nie byłem. Nonsens!

Downar sięgnął do szuflady i wyjął z niej opakowanie po „winstonach” i pochwę od fińskiego noża.

— Zapewne słyszał pan o daktyloskopii. Otóż tak się złożyło, że zarówno tę pochwę, jak i to opakowanie po „winstonach” znaleźliśmy właśnie w starej gajówce, a na tych przedmiotach

odbiły się znakomicie odciski pańskich palców. Może życzy pan sobie obejrzeć powiększone odbitki? Bardzo proszę.

Tomecki skurczył się tak, jakby mu się nagle zrobiło bardzo zimno.

— Nie, nie... Mam dosyć, mam wszystkiego dosyć. Niech mnie pan już nie męczy.

— Chwileczkę... — Downar podniósł prawą rękę. — Jeszcze nie skończyłem opowiadania. A więc zamordowaliście dziewczynę nożem, potem ciało w plastikowy worek, do wozu i nad rzekę. Chodziło wam o to, żeby jak najszybciej milicja zidentyfikowała zwłoki Magdaleny jako zwłoki Iwony Tomeckiej. Najwygodniej było podrzucić ciało dziewczyny gdzieś w pobliżu pałacu. Zarówno dyrektor mógł być podejrzany, jak i Staszek Maciejczak. Nieźle to pomyśleliście. Tylko że zawsze w takich wypadkach popełnia się błędy: torebkę z dokumentami trochę za solidnie zaczepił pan o przybrzeżne krzaki. Ten fakt wzbudził we mnie wątpliwości, czy są to rzeczywiście zwłoki Iwony Tomeckiej. Czasami pozornie mała rzecz może mieć decydujące znaczenie. Aha, jeszcze sprawa wyprawienia pańskiej żony za granicę. Miała oczywiście wyjechać na paszport Ewy Holtzberg. I byłaby chyba wyjechała. Dla dobrego fachowca zmiana fotografii w paszporcie nie przedstawia większych trudności. Przeszkodził czysty przypadek, awantura w „Krokodylu”. Pańska żona nie mogła się już posługiwać tym paszportem. Wszystkie punkty graniczne i wszystkie lotniska zostały natychmiast zawiadomione. Prawdziwy pech! No cóż... różnie bywa.

— Nie znam żadnej Ewy Holtzberg — próbował jeszcze oponować Tomecki.

Downar uśmiechnął się.

— I to nie jest zgodne z prawdą. Zna ją pan doskonale. Przecież pan z nią ściśle współpracował. Dosyć lekkomyślnie pozostawia pan opakowania po papierosach. Wiem, że chętnie pali pan „winstony”. W mieszkaniu Ewy Holtzberg także znalazłem jedno takie opakowanie z dokładnymi odciskami pańskich nieco wilgotnych palców. Na celofanie linie papilarne odbijają się fantastycznie. Miałbym jeszcze pytanie: kto jechał z

panem „humberem” do Woźniaka?

— Tego się pan ode mnie nie dowie.

— Mniejsza z tym zresztą. Nie sądzi pan chyba, że nie zdołamy odnaleźć pańskiego współnika? I jeszcze jedna sprawa: gdzie w tej chwili znajduje się pańska żona?

Tomecki nie odpowiedział.

Drzwi otworzyła stara, pochylona kobieta.

— Pani Mazurska chora, leży w łóżku — powiedziała skrzypiącym głosem. — Niech panowie przyjdą innym razem.

— Musimy się koniecznie zobaczyć z panią Mazurską — oświadczył autorytatywnie Downar, odsuwając na bok staruszkę. — Mamy bardzo pilną sprawę i nie możemy czekać.

Zamrugła zaczerwienionymi oczami.

— Chora, leży w łóżku — powtórzyła, jakby sądząc, że dwaj mężczyźni nie dosłyszeli jej słów.

— To niech wstanie, włoży szlafrok i porozmawia z nami chwilę.

— Powiedziała, żeby jej nie przeszkadzać.

— Przykro nam, ale musimy przeszkodzić. Proszę powiedzieć pani Mazurskiej, że czekamy. Jesteśmy z milicji.

Starowina zakręciła się, łypnęła spode łba na Downara i drobnym kroczeniem podreptała w głąb mieszkania.

Downar zbliżył się do Olszewskiego.

— Dom obstawiony? — spytał.

— Obstawiony, obywatelu majorze.

— Pamiętajcie, że nikomu nie wolno użyć broni.

— Chyba to nie będzie potrzebne.

Weszła pani Wiktoria Mazurska. Miała na sobie szlafrok z błękitnego jedwabiu obsyty małym futerkiem. Nie wyglądała na osobę chorą. Rumiane policzki oraz błyszczące zdrowiem oczy świadczyły raczej o jej znakomitej formie . fizycznej.

— Ach to pan, panie majorze. Proszę mi wybaczyć, ale czuję się trochę niedysponowana i dlatego... Nie weźmie mi pan chyba za złe, że przyjmuję go w szlafroku?

Downar powiedział, że jest zachwycony uroczym

szlafroczkim i przedstawił Olszewskiego.

— Witam pana — rzekła pani Mazurska, podając porucznikowi rękę do pocałowania.

— Cieszę się, że pan mnie odwiedził. Zaraz przyrządzę kawę. Downar zaprotestował energicznie.

— Niech się pani nie trzusi. Bardzo proszę! Nie przyjechaliśmy do pani na kawę.

— Pan wie, panie majorze, że lubię czymś gości poczęstować. Zresztą nie muszę się sama zajmować kawą. Jest u mnie teraz moja kuzynka i jedna bardzo miła i kulturalna panienska. Może panowie znają pannę Magdalenę Laskowską? Magdusiu, pozwól do nas! — zawołała w kierunku drzwi.

Przez chwilę Downar stracił całą pewność siebie. Do pokoju weszła ładna blondynka z fotografii, znalezionej u Woźniaka. Te same oczy, to samo czoło, ten sam profil, nawet znamię po lewej stronie szyi.

Nie robiła wrażenia speszonej czy przestraszonej. Z uśmiechem przywitała się z oficerami.

— To biedne dziecko trafiło do mnie zupełnie przypadkowo — mówiła pani Mazurska. — Miała nieprawdopodobne przygody. Niech sobie panowie wyobrażą, że uwiódł ją jakiś stary satyr, mieszkający na wsi w okolicy Sochaczewa. Uciekła od niego i, biedactwo, tułała się po całej Polsce. Wreszcie ktoś ze znajomych dał jej mój adres, wiedząc, że poszukuję kogoś do pomocy w gospodarstwie.

Downar pokiwał ze zrozumieniem głową. Uważnie przyglądał się pani Mazurskiej i ładnej blondynce, a od czasu do czasu rzucał szybkie spojrzenie w kierunku Olszewskiego. Widział, że porucznik jest zupełnie zdezorientowany.

— A jakże pani króliki? — spytał, pragnąc zyskać na czasie i uspić nieco czujność obu kobiet.

— A, dziękuję panu bardzo. Chowają się znakomicie. Niedługo będę miała z nich piękną wełnę.

Weszła staruszka, niosąc na tacy dzbanek z kawą i filiżanki. Była przerażona. Z pewnym wysiłkiem postawiła tacę na mahoniowym stolczku.

Pani Mazurska z beztróskim uśmiechem napełniła filiżanki.

— Proszę, panowie pozwolą. Kawa wtedy dobra, kiedy gorąca.

„Opanowana babka” pomyślał z uznaniem Downar, głośno zaś powiedział:

— Przykro mi, że wprowadzamy trochę zamętu, ale zmuszony jestem zaprosić panie na małą przejażdżkę samochodem.

— A to po co? — spytała pani Mazurska.

— Chodzi o załatwienie pewnych formalności w komendzie milicji. Drobiazg. Nie zabierze to paniom zbyt wiele czasu.

— Źle się czuję, panie majorze. Naprawdę.

— Taka przejażdżka pani nie zaszkodzi. Jest przecież bardzo ciepło.

— Obawiam się, że taka przejażdżka może mi bardzo zaszkodzić.

— Żałuję, ale to konieczne.

— W takim razie panowie pozwolę, że pójdę się ubrać. Chodź, Magdziu. Pomożesz mi.

— Pani zostanie z nami — rzekł rozkazująco Downar.

Wtedy stała się rzecz zupełnie niespodziewana. Nagle padł strzał. Downar syknął z bólu i chwycił się za zranione ramię. Olszewski, który stał w drugim końcu hallu, skoczył naprzód, ale było już za późno.

Wpadła w drzwi i popędziła jak szalona przez ogród. Widzieli, jak pchnęła gwałtownie furtkę i z pistoletem w ręku dobiegła do milicyjnej „warszawy”. Siadła za kierownicą, nie mogła jednak uruchomić motoru. Sikora przezornie wyjął kluczyki ze stacyjki. Trzech wywiadowców zbliżało się ostrożnie do samochodu. Zaczęła strzelać. Ukryli się za drzwiami i zaczęli aż zabraknie jej naboji.

— Jesteście ranni, obywatelu majorze — powiedział niespokojnie Olszewski.

Downar uśmiechnął się.

— Nic. Głupstwo. Draśnięcie. Puściła mi trochę krwi. To mi nawet dobrze zrobi na nerwy.

ROZDZIAŁ XIII

Zebrali się w gabinecie pułkownika: Downar, Olszewski, Grabicki, Pakuła i Franek Kociuba.

Leśniewski był w doskonałym humorze.

— No, towarzysze — oświadczył z wesołym uśmiechem — odwaliliście kawał dobrej roboty. Dziękuję wam. Jak tam twoja ręka, Stefan?

Downar podniósł rękę do góry.

— W porządku. Działa. Powierzchowne draśnięcie.

— Ale mogło być znacznie gorzej. To było z twojej strony trochę lekkomyślne.

— Do głowy mi nie przyszło, że babka zacznie strzelać.

— Ani mnie — dodał Olszewski. — Zupełnie zbaraniałem.

— Mogła was pozabijać, a sobie odebrać życie. Nie wolno wam było zapomnieć, że przez tyle dni żyła w straszliwym napięciu nerwowym. Potem przychodzi chwila, że człowiek zupełnie traci panowanie nad sobą. Dlaczego, Stefanku, nie załadowałaś babek od razu do wozu?

— Chciałem, żeby to jakoś ładniej wypadło — odparł Downar.

— Jesteś zbyt uprzejmy. W pewnych sytuacjach uprzejmość może stać się niebezpieczna. No, ale nie mówmy już na ten temat. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Mam wrażenie, że dostatecznie wyjaśniliśmy sobie wszystko. Były oczywiście pewne niedociągnięcia, ale...

— Muszą przyznać samokrytycznie — powiedział Grabicki — że pokpiłem sprawę z identyfikacją zwłok.

— To prawda — przyznał Leśniewski. — Śledztwo w pierwszym stadium było może pro wadzone trochę chaotycznie. W takich wypadkach zawsze lepiej postępować ze zbytnią pedanterią, aniżeli czegoś zaniedbać. Przyznaję jednak, że trudno było wtedy podejrzewać, iż to nie Iwona Tomecka została zamordowana. Czy są jakieś wiadomości o człowieku, który odwiedził z Tomeckim Woźniaka?

Downar skinął głową.

— Tak. Został zatrzymany na Wybrzeżu. To ten sam francuski marynarz, którego kiedyś widziałeś w towarzystwie

Tomeckiego. Przywiózł większą partię towaru, którą ulokowali w pasiece Woźniaka.

— Mamy prawie komplet — stwierdził Leśniewski. — Szkoda, że nam się wymknęła piękna wiedenka.

— Tak — westchnął ciężko Downar. — Babeczka wystawiła mnie do wiatru. Nie ma co ukrywać.

— Czy mogę o coś zapytać, obywatelu pułkownika? — odezwał się Grabicki.

— Bardzo proszę.

— Jedna rzecz nie daje mi spokoju. Dlaczego Tomecki zaraz w pierwszej rozmowie powiedział, że ma pod Sochaczewem wuj? Przecież nie musiał mnie o tym informować.

— Oczywiście, że nie musiał. Ale zastanówcie się, dlaczego to zrobił. Spytaliście go o rodzinę i facet się bał, że jeżeli nie powie o krewnym spod Sochaczewa, a my się o nim dowiemy, zaczniemy coś podejrzewać. Wołał, jak to się mówi, wziąć byka za rogi. Taka taktyka wydawała mu się bezpieczniejsza. Do Woźniaka jeździli różni ludzie po miód. Między innymi odwiedzał go także i ten malarz... zapomniałem w tej chwili jego nazwiska...

— Marek Świdnicki — podpowiedział Downar. — Czy wiesz, że w pewnej chwili podejrzewałem go o podrabianie dolarów?

Leśniewski uśmiechnął się.

— Wiem, bo mnie także takie myśli chodziły po głowie. Tymczasem okazało się, iż fałszywa waluta przyjeżdżała do nas z zagranicy. Początkowo przypuszczaliśmy, że u nas ją fabrykują.

— U nas także niezgorzej potrafią — wtrącił się Olszewski. — Mamy dobrych fachowców. Obywatel major wie coś o tym.

Porozmawiali jeszcze chwilę, wypili kawę i tak zakończyło się podsumowanie sprawy, która w swej pierwotnej fazie została nazwana sprawą zabójstwa Iwony Tomeckiej. Teraz należało zmienić nazwę.

Wyszli od pułkownika. Na korytarzu Downar wziął pod rękę sierżanta Kociubę.

— Co mógłbym dla was zrobić? — spytał. Franek stał się

czerwony jak piwonia.

— Ja, obywatelu, majorze... ja...

— Mówcie śmiało!

— Ja chciałbym pójść do szkoły oficerskiej. (L.J)

KONIEC

ebook przerobiony z „gazetowej” wersji powieści drukowanej w „Dzienniku Łódzkim” w roku 1969 pod tytułem „Dwie czerwone nitki”

— Dobrzycki cię widział, jak wiozłeś tę babkę na motorze. To było w sobotę, akurat tego dnia, kiedy została zamordowana.

— Gdybym chciał mordować każdą babkę, którą przewiozę motorem... — próbował zażartować Staszek. Franek stracił cierpliwość.

— Psiakrew! Przestań się wygłupiać, idioto. Co ty sobie wyobrażasz? Może jesteś nietykalny dlatego, że byłeś we Francji? Jak nie chcesz ze mną gadać po ludzku, to nie. Zawiozę cię do Komendy Wojewódzkiej i niech się tam z tobą gimnastykują.

(fragment)

